TRZY EPIZODY

Z DAWNEGO ŻYCIA SZLACHECKIEGO.

PIOTRA JAXY BYKOWSKIEGO.

TRZY EPIZODY

Z DAWNEGO ŻYCIA SZLACHECKIEGO.

1.

ŚWIĘCONE W ŁABUNIU
u Wojewody Stępkowskiego.

2.

CÓRKA HETMAŃSKA.

3.

MIRZA TADŻ-EL-FAHER
(z portretem).

WARSZAWA.
W DRUKARNI JANA NOSKOWSKIEGO,
ulica Mazowiecka, Nr. 11.

1879.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 10 Мая 1879 года.



Emir Wacław Rzewuski.

(Podług szkicu J. Kossaka — z portretu autentycz.).

Do

Pani Klementyny z Xiążąt Talleyrand de Périgord

Hrabiny Orłowskiej.

Jako miłującej kraj nasz i nieobojętnej na wszystko co go dotyczy, poważam się te kilka wspomnień z naszej przeszłości, z głęboką czcią i poważaniem, złożyć u stóp Pani Hrabiny.

Piotr Jaxa Bykowski.

I.

ŚWIĘCONE W ŁABUNIU

u

WOJEWODY STĘPKOWSKIEGO.

Wiadomo, iż wszystkich magnatów naszych prowadzących w zeszłym wieku domy wystawne, bezwątpienia Józef Stępkowski, wojewoda kijowski prześcignął. Lubo wielu miał bogatszych od siebie, atoli wszystkich wykwintnym gustem i spezą zakasował, żaden bowiem uad niego nie był większym znawcą sztuki gastronomicznej, nie dorównał mu w urządzaniu dworu, gromadzeniu osobliwości sztuki i układaniu fet i zabaw rozmaitego rodzaju. Król Stanisław August bez zaprzeczenia znający sztukę życia, zachwycony był dwukrotnem przyjęciem go przez wojewodę w Łabuniu.

Obecnie wypadek dał mi do ręki dokument stanowiący ciekawy epizod z rozkosznego życia tego pana — jest to, o ile wnosić można, list czy memoryał spisany przez czułego małżonka oddalónego od swojej magnifiki — szkoda że miejsca podpisu i daty wyrwane — pragnąc podzielić się tą ciekawą zdobyczą z czytelnikami, spisałem dosłownie ów dokument bez żadnych zmian, a jeżeli pozwoliłem sobie coś własnego wtrącić, to tylko na miejsce kilku wyrazów zatartych lub całkiem nieczytelnych.

„Skierowałem ku Waszej miłości dworzanina mego Koczana, niebawem po zaszłej katastrofie, aby cię moja sercem ukochana panno, przeciw fałszywym wieściom assykurować i wszelkiej ci turbacyi i niepokoju zaoszczędzić, co do przygody na wodach Chamoru, która z łaski Opatrzności, jak się już o tem dowiedziałaś z relacyi Koczana, tylko nieco szkody, ale chowaj Boże, żadnego cięższego

szwanku nie przyniosła. Skrupiło się tylko na biednej kobyłce bułanej, która wpadłszy na dno, udusiła się chomontem.

A szkoda poczciwej chudobiny! Boć to własnego chowu, a tak do zaprzęgu jako i stada dobra, a jeżeli się nie mylę, pięcioro mi źrebaków przywiodła — co łatwo zweryfikujecie jejmość, w regestrach moich stadnych.

Z racyi tedy tego casusu, pozostawiwszy Grzesia z Jaśkiem, aby tam koczobryk podreperowali, koniska mocno zziajane napaśli, uprząż przesuszyli — wyprawiwszy Koczana na wierzchowcu z siodłem, boć to mu dalsza droga, do waszej miłości, sam oklep na skarogniadym orczykowym, ledwie ku wieczorowi puściłem się do Łabunia, dokąd służba po zażyciu wczasu, miała zwolna nadciągnąć, wypadało bowiem przed festynem należycie wypocząć.

Gdy dojeżdżałem do Łabunia, przed samą karczmą o jakie półgodzinki drogi, już mi kur zapiał. Pomyślę tedy sobie, to jakaś nieczysta sprawa, kogut żydowski z djabłem trzyma, gdzie zasie mogą mu być wiadome chrześciańskie godziny, a bardziej w czas Rezurekcyi Pańskiej? A że się w karczmie świeciło, wstąpiłem dać wytchnąć szkapie i lulkę zapalić — atoli gdy spojrzę na zegarek, akurat dwunasta, jak strzelił — a no, dowiedziałem się, że kogut był nieżydowski, a gajowego z poblizkiej chałupy. Żeby na zamku skweresu nie robić, chciałem zanocować w karczemce, ale tyle tam było pijanego tałałajstwa, dążącego na rezurekcyę do Łabunia, że żadnego kącika nie znalazłem — już tedy pośpieszałem kombinując, iż w samem miasteczku dostukam się do jakiej gospody i tam moich ludzi doczekawszy, rano na zamku się postawię.

Za łaską Bożą żwawo dotarłem do miasteczka i już wjeżdżałem w pierwszą bramę, gdy mnie trzech konnych oskoczą i pytają, co zacz? Nim jeszcze zdążałem opowiedzieć się, a jeden z nich rzecze:

— Czołem! Imć panu porucznikowi dobrodziejowi, a my tu właśnie na waszmość pana czekamy, bo oprócz niego wszyscy goście już się zjechali i Jw. wojewoda o waćpana wielce zaniepokojony.

Był to Olszamowski, szlachcic, podoficer w milicyi wojewodzińskiej, znany mi niegdyś jako szeregowy w chorągwi Działyńskich, a walny chłop. Powitawszy go tedy serdecznie, pytam zdziwiony:

— A jakże to czekaliście mnie od strony Sudyłkowa, kiedy to nie moja droga i nie mogliście wiedzieć, że nie wprost z domu jadę?

— A już to proszę jegomości taki u nas porządek, że póki ostatni gość nie przybędzie, na wszystkich czterech bramach z posterunku zejść nie wolno.

Owóż to, pomyślę sobie, pomawiają wojewodę o dumę, a przecie dowód oczywisty jaka tu o niego dla najmniejszych charłaków konsyderacya, kiedy wiadomo mi było, iż zamek napchany starszą szlachtą, dygnitarzami, a nawet senatorami, bo wojewoda z jesieni liczne inwitacye poczynił. Iż dziwował się Olszamowski dla czego tak samopas i niedworno przybywam, a więc opowiedziałem mu moją przygodę i ten poczciwy chłopak wiele mi kommizeracyi okazywał. Wiodąc zaś do gospody uniżenie submitował się, że na zamku mnie nie lokują, gdyż tam już wielu wpierw przybyłych instalowano; tak to on sobie prawił przez galanteryę wrodzoną wojewodzińskim, ażeby nie powiedzieć, iż tam znajdowali się godniejsi, do których taki jak ja chudzina nie umywał się. Moją kwaterą

był niepozorny zajazd żydowski, ale tak przeobrażony, iż wewnątrz na pałac wyglądał: na ścianach makaty tureckie, na podłodze kobierce, sprzęty wytworne, obrazy i przeróżne ornamenta. Już tam ludzie czekali, a nawet kucharz z fajerką zaraz mi smaczną przekąskę przyrządził i napój tam wszelaki był, tak, iż się posiliłem z łaski Boga honeste, co w rzeczy po czterech milach drogi oklep, należało mi się. Olszamowskiego zaprosiłem do stołu, bo zasie inaczej gratulować go za usługę jako szlachcica niewypadało — daruję mu na wyjezdnem ten ryngraf szmelcowany ze św. Michałem — nie pogniewacie się moja panno, że darem waszego miłościwego brata rozporządzam, ale jakoś nic innego nie mam pod ręką. Dwom gemajnom dałem po bitym talarku i byli kontenci.

Zaledwie na dobre usnąłem, a na miękkim puchu jakiego od kiedym żyw nie zażywał — aż tu mospanie jakby się świat walił: palą z armat, biją we wszystkie dzwony, trębacze i dobosze na larum grają. Zerwę się tedy na równe nogi, bom nie mógł skombinować co się ze mną dzieje, aż odzyskawszy przytomność przypomnę, że to Rezurekcya u wojewody, równo się z dniem odprawia; a wnet nie pomału skonsternowałem się, przypomniawszy, iż byłem w prostej huni mojego woźnicy, która najsuchszą z naszego potopu wyszła i przeodziać się w co nie miałem. Narzuciwszy ją tedy na się, biedz chciałem co tchu, moich ludzi odpytać, gdy w antykamerze ten sam Olszamowski, oznajmuje mi, że ludzie moi jeszcze nie przybyli, a za nim szatny wojewody i dwaj dworscy, całą mi gotowalnię rozłożyli na stołach, a taką sutą, jakiej nietylko nigdy nie naszałem, ale wedle chudoby mojej imaginować sobie nie mogłem; a wszystko suknie wojewody, który ze mną był jednej postury: niczego tam nie przepomniano, bo kara-

bele drogiemi kamieniami sadzone, pasy złotem tkane, aprzeróżne sajety, anszkoty i altembasy, bo co prawda ten pan szychu nie tykał.

Zanim dość wydziwiłem się temu wszystkiemu, kiedy już wojewoda stał w progu, całkiem odziany, witał mnie serdecznie i uprzejmie, a na moję oną przygodę, o której już mu Olszamowski raportował, szczerą kondolencyę świadczył, lecz przy tej okazyi, jako facetus, zaraz mi łatkę przypiął:

— A to waść, jakby drugi patryarcha Noe cało wychodzisz z potopu. Co prawda szkoda kobyły, ale niewiele złego kiedy nam taki konik ocalał.

Przy tych słowach uściskał mnie i do innych gości pospieszył. Owoż chciałbym, aby to kalumniatorowie wojewody widzieli, co to za grzeczność, a jaka na wszystko obaczność w tym dworze i czyliżby jeszcze potem szczekali na tego pana, iż pyszałek jast i nieużyty. Przyodziawszy się tedy w jego paradne szaty, do kościoła za innymi spieszyłem.

Lubo kościół ten był obszerny, lecz go sami goście wojewody zajęli, tak iż pospólstwa nie puszczano, a dla nich osobno mszę w namiocie odprawiono. Nie wdam się moja panno, w deskrypcyę przepysznej ornamentacyi świątyni, raz żebym temu nie podołał, a powtóre, wieleby kart na to zapisać trzeba — dośćby powiedzieć, że czego się tylko dotknął wojewoda wrodzonym sobie smakiem, to wszystko do perfekcyi doprowadził. Świątynia była przyćmiona jako to do urządzenia „Sanctum Sepulcrum" praktykuje się — a co tam światła jarzącego i lamp rozmaitego koloru bylo, a kwiatów i wieńców i girland! Iście w duchu chrześciańskim ten spoczynek wcielonego Boga Człowieka uhonorowali.

Imć X. Biskup Turski był tylko celebransem pro forma i z przyjaźni dla wojewody na tę uroczystość z Krakowa przybył, bo na krakowski stolec już był przeniesiony — lecz że temu pasterzowi pełnemu zresztą cnót kapłańskich, natura głosu odmówiła, więc przy nim w asystencyi intonował jutrznię ojciec Klet, reformat, a kapelan wojewody, który miał bas tak silny, że sam król Imć dziwował mu się i chciał go był nawet zabrać do Warszawy. Owóż, jak huknie O. kapelan „Domine labia mea aperies...” (Panie otwórz wargi moje). To zaiste, jakby mu Pan Bóg wargi otworzył, taki głos stentorowy wyszedł z niego. Aż tu jak zagrzmią kotły, surmy pod kościołem ustawione, puszkarze zaś jak nie podpalą działa, tak aż się skóra na grzbiecie wstrząsła! I w najgorętszych potrzebach gdzie się bywało, takiego piekielnego hałasu nie pamiętam. Ze dwadziaścia szyb brzękło, a kilka podwik omdlało, z sędziną zaś Omiecińską, że to teraz jest świeża mężatka, była na seryo turbacya, wyniesiono ją z kościoła, i Wolfart chirurg nadworny wojewody asystował, a za nim białogłowy pospieszyły, ale że po chwili Bogu dzięki, pacyentka zdrowo wróciła, więc piękne nabożeństwo szło swoim trybem. Szczególnie wspaniałą była procesya dokoła świątyni, a do pieśni: „Wesoły nam dzień dziś nastał, którego z nas każdy żądał...” pięknie wtórowała kapela nadworna i melodyjny akompaniament, kapelmistrz Waniasek, czech, skomponował. Przy każdem „Aleluja“ z haubic i moździerzy tylko salwy dawano, działa zaś wałowe nie funkcyonowały, bo sam wojewoda bacząc na przygodę Imć pani Omiecińskiej, dla zapobieżenia czemuś podobnemu, salwy umitygować rozkazał.

Nabożeństwo trwało ze trzy godziny, bo oprócz jutrzni, była msza cicha i kazanie, które arcypięknie

wypowiedział O. Domicyan kaznodzieja OO. Dominikanów z Lubaru, tak o znaczeniu tajemnicy Zmartwychwstania Pańskiego, jako i gorliwości w beneficyach dla kościołów JW. wojewody, a choć się szybko duchowni sprawiali, jednak to sporo czasu zajęło.

Podczas procesyi, wojewoda wymknąwszy się cichaczem, stał już we drzwiach pałacu z gołą głową, gości witając, a każdemu stosowną rewerencyę oddawał, nikogo zaś bez pięknego komplimentu nie przepuścił. Mężczyzn wszystkich kordyalnie za szyję obłapiał i choćby to najmłodszemu do kolan sobie schylać się nie dawał, lecz do konfidencyi ucałowania dostojnego oblicza swojego dopuszczał. Białogłowy w ręce całował, i to bes excepcyi, choć tam były żony i córki zastawników lub oficyalistów z licznych dóbr jego. Co prawda, wielki to taktyk i galant światowy z tego pana. A ta procesya, nie przesadzając powiem, trwała dobrą godzinę i aż za ostatnim gościem gospodarz w dom swój wstąpił.

Co to już powiedzieć o wspaniałości i przepychu wojewodzińskiej rezydencyi; a co tam X. Chmielowski w „Nowych Atenach" o cudach watykańskiego zamku Ojca świętego opowiada; to Boże odpuść grzechu, do magnificencyi tego zamku, przystosować mi się zachciewa. Nareszcie, rad jestem nieskończenie, moja sercem ukochana Anulko, że i ty, da Bóg zdrowo doczekasz, jeszcze w tym roku i oglądać to wszystko będziesz, albowiem kazał obiecać sobie imć pan wojewoda, że cię na 18 septembris na św. Józefa z Kopertynu, jego solenizacyę, przywiozę do Łabunia — lubo to sprawiedliwe imieniny wojewody, na św. Józefa Oblubieńca przypadają, atoli on sobie dwa razy do roku solenizuje i jak słusznie imć pan skarbnik wołyński, a człek mądry powiada, iż dla takiego pana, je-

dnego patrona za mało, kiedy zwłaszcza niejeden prostak nosi dwa i trzy imiona.

Wprowadzono nas wszystkich do onych sal paradnych, gdzie ustawiono paschę. Owożem tu już tarł oczy i szarpałem się na wsze strony czyli nie śnię lub w malignie nie majaczę o takich subtelnościach i wykwintach jakie tu oglądałem. Już to mniejsza z tem co bogactwo i przepych naczynia mieściło w sobie cudowności i jak tam zasypywał blask złota, srebra, drogich kamieni, kryształów i rozmaitych precyozów. Toż przecie wiadomo, że wojewoda Ruski dawał Imci panu Stępkowskiemu, jeszcze wówczas regimentarzowi, klucz Olszański z jedenastu wsi złożony za wszelkie jego klejnoty, kredens, galeryę obrazów etc. etc. (1) — bo jak powiadają, że żaden z magnatów nic podobnego nie posiada, a co do bogactwa i gustu, to skarbiec jego i przed koronnym nie skonfunduje się może. Ale da Bóg, na własne miłe oczęta, droga panno, będziesz oglądała te wszystkie splendory, a więc o tem referować zbytecznie. Jedno coć powiem, że nie tkniesz tu żadnego podłego kruszcu lub czegoś, coby raritasem i misterną robotą w podziw nie wprawiło. Aliści bogactwo, to dar Opatrzności zasłużonym udzielony i komu predestinowano jest posiąść one może; wszelako w tem jest kunszt niepośledni, aby je zażyć umieć, a na pożytek i uciechę bliźnich obrócić — otóż z tej racyi admiruję ja tego wspaniałego pana, który kunszt uszczęśliwienia wszystkich otaczających go posiada, a daru Bożego użyć potrafi.

Jedno w tem sęk, że takiemu jak ja prostaczkowi, do deskrypcyi dokładnej tych cudów, jakie sztuka i dowcip dworu, pod wodzą kunsztownego pana stworzyły, dojść

(1) Dotąd trwa to podanie.

trudno — chyba że nie siląc się na barwność i elokwencyę, powiem po prostu, na co tam olśnione moje oczy patrzały. Potem com widział, żadna baśń o zaczarowanych zamkach nadzwyczajnąby się nie wydała.

Pomimo, iż nas czterdziestodniowym postem zmacerowanych, tak pożądany odor doskonale przyprawnego mięsiwa zalatywał, jednakowoż za wnijściem do tej ogromnej sali, okiem prawie z końca do końca nie zmierzonej, znaleźliśmy się jakby w najświeższym lesie drzew, których dotąd w tak znacznej ilości oglądać mi się nie zdarzyło. I to nietylko nasze dęby, sosny, jawory etc., ale masz tam cytryny, pomarańcze, palmy, cyprysy i rozmaite planty obcych światów, których mi nawet nomenklatura nieznana A pomiędzy tym lasem istna arka Noego. Trudno dać wiarę wszystkim osobliwościom — jakie tam konsystowały: Tu ogromny odyniec kły wystawia, tak, że co do mnie, mimowoli cofnąłem się i za broń u boku chwyciłem; indziej o drzewo opiera tęskliwą głowę łania; tam gdzieś z mchu dobywa się zajączek, a pierzchliwy jeleń zda się przed łowcem umyka — owdzie znowu, z jaskini lwia głowa wychyla się i połyska okrutnem okiem. A wszędzie tyle złudzenia.

Na drzewach znów wspina się rozmaite ptactwo, niektóre ze skrzłydłami rozstawione do lotu, tak iż spłoszyć się boisz. Jednem słowem, całe theatrum zwierzęcej natury exponowane w komplecie! Białogłowy wejść się wzbraniały i z przerażenia każda prawie krzyknęła. A biedaczce sędzinie Omiecińskiej, bacząc na jej stan i poprzednią trwogę, chirurg lubowania się tym rozkosznym widokiem wzbronił, na co mi się biedaczka ze łzami potem żaliła. A już to, uczciwszy uszy panów junaków, powiem,

że nie jednemu z nich na ten niespodziany aspekt dusza na ramię wstąpiła.

Ot już i głodu zabaczyliśmy, tak nas podziw zaprzątnął, gdy wtem dostojny gospodarz począł obdzielać święcone jaje, przyczem do każdego wystosował taką oracyę i dowcip, iż trudno było skombinować, co bardziej podziwienia godne, czy przepych i bogactwo dworu tego pana, czy rozum i uprzejmość jego?

Pod ten czas służba rzuciła się do owego lasu, usunęła trawy i mech sztucznie w krzakach ukryty, a z pod tego wydobyły się holenderskie obrusy, na nich złote, srebrne, a z przedniego kryształu i porcelany naczynia. One zaś srogie zwierzęta, wnet kuchmistrzowie należycie, a ze świadomością swojego kunsztu, rozpłatali i zgłodniałych obdzielili. A inne zamorskie bestye, jak lwy, tygrysy, hyeny, etc. dostały się pod nóż cukierników, pasztetników i piekarzy — bo w rzeczy były to przedziwne marcypany, konfekty, mrożone sorbety i już nazwać nie potrafię, ale coś bardzo przedniego. Gdy to się wykonywało, a ze zręcznością właściwą dworzanom wojewody, jeden okrzyk podziwienia wszyscy wydali, a potem już było śmiechu i żartów bez końca. Daj Boże zdrowie i długie lata takiemu uprzejmemu a konceptownemu panu, bo zaprawdę po jego najdłuższem życiu już nikt na takich godach nie będzie.

Kiedy już nasyciliśmy się mięsiwem wszelkiego rodzaju — o którego misternej przyprawie i powiadać co nie ma, skoro wyszła z łabuńskiej kuchni, której sam Król Imć wielki na tych rzeczach konesor sprawiedliwość oddawał, otwarły się drzwi przyległej sali i gospodarz poprosił nas na wety. Tu już dopiero wszelaka deskrypcya na niewiele się przyda, a kunszt cukierniczy doścignął szczytu perfekcyi. Zdawało mi się, że wstępuję w progi

jakiegoś ze sławnych starożytnych skulptorów, bowiem złudzenie było bez granic. Figura zmartwychwstałego Zbawiciela stała tam z chorągwią na grobie, u spodu leżeli uśpieni żołnierze, z boku anioł Pański grób odwalający. Dalej dyalogi z Pisma Św.: Przybycie Jezusa do Emaus, spotkanie niewiast, niewiernego Tomasza etc. Wszystko to zaś oddane z taką naturą, iż nie jeden głowę pobożną schylił lub przeżegnał się.

Skoro zblizka obejrzeliśmy te osobliwości, najbardziej nas zajęły dwa baranki — wyobrażone według widzenia Apokalipsis, to jest na księgach o siedmiu pieczęciach spoczywające po obu stronach u nóg Chrystusa.

Były to jakby dwa jagniątka żywe, a zdaje się tylko co nie słychać jak zabeczą, duże oczy przymglone utkwiwszy w postaci Zbawiciela. Pomimo tylu osobliwości nagromadzonych w tej komnacie, wszystkich najbardziej owe baranki zajęły. Nikt z nas jednak nie miał presentymentu jakiej wprzód krotofili, a następnie niepośledniej turbacyi miały nam one apokaliptyczne, a niewinne stworzeńka przyczynić.

Zaraz tedy Imćpan Łowczy koronny, Jan Orłowski, że to był miłośnik wszelkiego kunsztu, jął się onym barankom pilnie przypatrować i zachodził to z tej i owej strony wojewodę, pytając zkądby te baranki miał i wiele go kosztowały? Ten zaś rad, gdy mu coś pochwalono, uśmiechając się tajemniczo, żartobliwie zbywał pytającego ni tem ni owem. Aż łowczy po długiej prefacyi ad rem przystąpił i tak, ex abrupto, do wojewody prawi:

— Słuchajcie-no, mości Józefie (zażywali ze sobą przyjaznej i poufałej konfidencyi), ten oto baranek, wielceby mi się przydał do kościoła w Jarmolińcach, bo właśnie obstalowałem piękne cyboryum w Wenecyi, lecz z abrysu,

który mi przysłano, dostrzegam jakiegoś niewykończenia, a wnoszę że ów baranek bardzoby tam dopasował, — czybyś mi go nie był łaskaw ustąpić?

Wiedzieć należy, że pan łowczy właśnie kościół i klasztor bernadynów w swojej majętności z gruntu odnawiał, a niemały sumpt na to łożył.

Zanim wojewoda z cicha uśmiechający się na odpowiedź się zdobył, aż tu z drugiej strony obseduje go Imć pan Rafał Myszka Chołoniewski starosta Dubieniecki, dziedzic Janowa w województwie Bracławskiem, który także kościół Bernardynów, niedawno przez ogień uszkodzony; odbudowywał. Obaj zaś ci ichmościowie zelowali w tem jeden przed drugim i przeróżne sobie wzajem sztuki płatali; to majstrów odmawiali jeden drugiemu, to zagraniczne obrazy i skulptury jeden przed drugim przekupowali — to wreszcie księży Bernardynów, jeżeli który był lepszym kaznodzieją lub exorcystą, a nakoniec i kwestarzy doświadczonych, z jednego do drugiego klasztoru przeciągali.

— A ciekaw jestem, gdzie panie starosto, taką sporą sztukę jak ów baranek w swojej kapliczce pomieścisz? — zagaił łowczy z przekąsem.

Na tę apostrofę starosta zaperzony, gdyż żółciowy i hipokondryk był, z gniewem wykrztusił:

— Już też pewnie nie pójdę pożyczać na to altany waszmości zbudowanej w pogańskim stylu, którą na świątynię chrześciańską przeznaczasz.

— Znasz się waćpan na strukturze i kunszcie architektonicznym jak z przeproszeniem, kura na pieprzu, toć przecie mój kościół jest w rotundę, a nie w rodzaju szopy jak Janowski.

— Już tam szopa czy nie szopa, a wżdy ma nadane

od Ojca św. sześć odpustów dorocznych i to zupełnych. A coś w Jarmolińcach o tem nie słychać?

— „Ut sum sodalis," zaraz po przewodach pchnę mojego plenipotenta Kobylińskiego do Rzymu, żeby mi sześćdziesiąt odpustów u Ojca św. wyjednał, a taki do kapliczki Janowskiej po indulgencyę nie pójdę. Ale nie mam co z waszmością mówić, gdyż nie znasz się na architekturze.

Tu zamilkł wzgardliwie, a zwracając się do wojewody, który delektował się wielce ilekroć ci panowie na dysputę bernardyńską wpadli — rzekł:

— Mości wojewodo! co chcesz za oba baranki? zapłacę z góry, bez targu i gotówką.

— A ją — ozwał się starosta — za dwadzieścia cztery godzin wyłożę tu na stół dziesięć tysięcy ważnych czerwonych złotych.

— To ja w każdym razie dam wyżej nad starostę dziesięć tysięcy, a pewny jestem, że taki moje dziesięć będzie zawsze na wierzchu — zagaił z przekąsem łowczy.

— A no, to ja oddaję ci, panie wojewodo Janów cum attinentiae i wszystko co posiadam, a sam do zakonu bernardynów wstąpię! — zawołał zaperzony starosta.

— To jeszcze nie tak wiele i kwestya czy ten dar ostatni, persony waszmościnej przyjmą ojcowie Bernardyni?

Obaj panowie tak się zakogucili, że ich przegrodzić musiano, żeby chowaj Boże jaki despekt z tego nie wyniknął. A tymczasem wojewoda jął ich mitygować, a potem rzekł:

— Ot nie wiem jak waszmościów pogodzić, albowiem tylko jednego z tych baranków mam do zbycia...

— A więc dla mnie, dla mnie! — przerwali obaj zapaśnicy jednocześnie.

— Nie wiem tylko — ciągnął z udaną powagą wojewoda — azali który z waszmościów zgodzi się na moją kondycyę, bo ciężka?

— Ja! ja! przyjmuję z góry — znów obaj jednocześnie wrzasnęli.

— Ej! Ale zapowiadam, że warunek uciążliwy...

— Wszystko równo, przyjmuję — zawołał starosta.

— I ja także! — dorzucił łowczy.

— A! jeżeli zgoda, oto jest: ten z was dostanie jednego z tych baranków, który drugiego sam lub przez swego plenipotenta spożyje i to dziś jeszcze przed zapaleniem światła.

— Spożyje? — wrzasnęli wszyscy z podziwieniem i śmiech ogólny powstał.

— A tak, trzeba spożyć i to z nogami, racicami i z księgą, na której leży — słowem, całego — wtrącił wojewoda.

— Nie spodziewałem się po waszmość panu takiego niewczesnego żartu — rozpoczął do wojewody urażony łowczy — wyczytywałem ci ja wprawdzie w nowem dziele Imć księdza Kluka o zamorskim ptaku, strusiem zwanym, który przeróżne kruszce i kamienie spożywa a trawi, ale takiej niewczesnej komparacyi z ust pańskich dla siebie nie oczekiwałem.

— A któż tedy waszmości powiedział, że oba te baranki są z metalu, bo ja powiadam, iż jeden jest do spożycia, inaczej nie śmiałbym proponować i z szanownych gości moich żarty sobie stroić.

Po tych słowach skinął na dworzan, ażeby owe baranki z elewacyi zdjęli. Jakoż gdy pierwszego z nich we trzech aż dźwigali, drugiego jeden tylko wyrostek snadno podjął; wówczas dopiero przekonaliśmy się, że tamten

był lany ze srebra, a szerść dziwnym kunsztem kręcącą się, miał z drogiej emalii, rogi szczerozłote, a kwiaty strojące je, były z drogich kamieni, księga wreszcie czerwona, na której spoczywał, była koralowa z jednej bryły; siedm zaś onych apokaliptycznych pieczęci, wyrobionych z krwawnika.

Sztuka to była cudowna, a i drogo też kosztować musiała. Tymczasem drugi baranek, który na optykę do tamtego, jak dwie krople wody podobny, zrobiony był z masła, inne zaś akcesorya miał z karmelu, marcypana i tym podobnych cukierniczych ingredyencyj, a także czekolady, nowowynalezionego włoskiego specyału, który tylko na pańskich dworach bywał. Jam ten specyał pierwszy raz tu pokosztował i dla ciebie, moja panno, spory kęs onego zachowałem. Baranek ten tak zręcznie był wykonany, że zaprawdę nie wiedziano co bardziej podziwiać, czyli kunszt złotniczy w pierwszym, czy biegłość cukierniczą w drugim. Nie mogła się szlachta dość nacieszyć takim krotofilnym pomysłem, a wojewoda tylko z pod oka poglądał, bo lubił takie niespodzianki sprawiać. Łowczy ze starostą spuścili nosy na kwintę — pierwszy że był popularny, a siła posiadał adherentów, zacżął sznurkować pomiędzy szlachtą, azali mu który w jedzeniu tego baranka nie wygodzi — a wreszcie ofiarowywał dwie wsie z całym inwentarzem, z Jarmolinieckiego klucza, temu ktoby się tego podjął. Tentacya była nielada — jeden tedy i drugi przyjrzał się barankowi, ruszył ramionami i westchnąwszy odchodził.

Chołoniewski także intrygował pomiędzy swoimi, atoli nie więcej uzyskał. Zaburzyło się jednak pomiędzy szlachtą, a każdy łapczywem okiem na baranka poglądał. Aż wysunęło się jakichś pięciu już podpiłych i ofiarowali

się razem baranka onego spożyc. Lecz wojewoda ze śmiechem im prawi:

— A czemuż lepiej panowie nie złożycie się w pięćdziesięciu, wtedy jeszczeby łatwiej było tego dokonać. Wszakże kondycya moja jest, że jeden tylko ma to skonsumować.

Pretendenci odeszli skonfudowani przy ogólnym śmiechu.

Najdowali się tam także dwaj Bernardyni z Jarmoliniec, ulubieńcy Jmćpana łowczego Orłowskiego. Ojciec Humilis, przełożony konwentu, w sprawie jego restauracyi wielce pomocny, a kapłan niepośledniej nauki i cnót wielkich, oraz braciszek zakonny, Kandyd, ulubieniec łowczego, bez którego on nigdy się nie ruszał, raz że to był niepospolity facetus i człek jowialny—powtóre strzelec i myśliwy zawołany — znał także przeróżne gospodarskie i kuchenne sekreta, sycił miody, a warzył piwo przewybornie posiadał tedy wiele kondycyi do uzyskania afektu pańskiego.

Bratem Kandydem, nim jego zalety wypróbowano, spernowały wszystkie klasztory, albowiem zdawał się z powierzchowności ociężałym i tuszy był niepomiernej, tak że trzech potężnych brzuchaczów na ostatni węzeł jego paskiem opasywało się—a jadał za dziesięciu, tak że klasztoryby rujnował, gdyby przez spryt kwestarski w trójnasób więcej niż zjadł nie zarabiał. Ztąd go jeden przed drugim chwytały. Łowczy zaś go z Janowa od Chołoniewskiego do siebie przyciągnął, a raz pozyskawszy już więcej nie puścił.

Owóż, podczas kiedy szlachta o spożycie baranka nadaremnie kusiła się— dojrzałem, że ojciec Humilis, odprowadziwszy Kandyda do przyległej komnaty, długo mo-

lestował i widocznie coś przekładał na osobności—aż braciszek pochylony z pokorą na znak obedyencyi, ucałowawszy pasek św. Franciszka, do owego powszechnie podziwianego baranka zbliżył się i pilnie mu się przyglądnąwszy, przemówił do wojewody:

— Znany mi jw. panie jest sposób robienia tego baranka, bo sam nieraz podobne dla klasztoru konfekcyonowałem, a inaczej być nie może, tylko wałek drewniany masłem oblepia się; skoro tedy jest warunek zjedzenia całego baranka, cóż tedy będzie z onym drzewem?

— A waść widzę w ciemię nie bity. Otoż żebyś się także jak Imćpan łowczy nie uraził, że cię za strusia za morskiego ptaka poczytuję, a więc zjedz tylko baranka—mniejsza o drzewo. Ale czyli waszeć chciałbyś w rzeczy samej eksperyencyi tej podjąć się? — spytał uśmiechnięty wojewoda.

— Dla chwały Bożej i dla wygodzenia najdostojniejszemu naszemu fundatorowi, jw. łowczemu, a gwoli świętej obedyencyi zakonnej — rzekł mnich z pokorą, wzrok w ziemię opuściwszy.

Wszyscyśmy osłupieli i cisza zaległa komnaty, dopytaliśmy się już bowiem od służby, że na onego baranka użyto blizko dwa garnce samego masła—a co już cukru, migdałów i różnych ingredyencyj na akcesorya, tego wyliczyć nie umiano. Braciszek tymczasem najspokojniej baranka onego na wszystkie strony obracał, pilnie mu się przypatrując, aż w końcu pokłoniwszy się wojewodzie, rzekł:

— Śmiem suplikować jw. pana o parę garnczyków onego peszteńskiego cienkuszu, co to go sam w jesieni ściągałem.

— Gdzie zaś znowu! toż wino jest dla drugiego stołu.

Wybierz waść sobie raczej małmazyi lub sektu, a z chęcią dać ci rozkażę.

— Z przeproszeniem jw. pana, lecz to wino najlepiej mi do smaku przypada.

— A więc dobrze, skoro taka wola — odparł wojewoda i skinąwszy na ludzi, rozkazał żądane wino przynieść, — do Kandyda zaś jeszcze ozwał się:

— Ale cóż będzie, jeśli waść barankowi nie podołasz?

— Ufam w łaskę Bożą, że mi do obedyencyi zakonnej i dla przysporzenia swej świętej chwały dopomoże—odparł mnich pokornie i zabrał się do jédzenia.

Rzekłszy to, brat Kandyd zawinąwszy rękawy, z powagą usiadł przed barankiem i zrzucając go z podstawy na misę, napoczął najpierw ową księgę z marcepanu zrobioną; krajał ją na kęsy, a masłem je smarując, najspokojniej zajadał i onym cienkuszem popijał, czasem, znać dla zmiany smaku przegryzł szmat mięsiwa lub twarde jaje i takowe mocniejszem winem dla dywersyi zapił; już to poprosił o kufel kamienny, gdyż reguła zakonna użycie drogich kruszców i szkła zabrania. Cicho się zrobiło między szlachtą jak mak siał. Orłowski chodził po izbie; a przyglądając się faworytowi, posapywał z ukontentowania. Starosta blady, niemal zielony z tej aprehensyi, szyderczo na to poglądał i szeptał do swoich:

— Tysiąc przeciw jednemu trzymam, że braciszek pęknie, a łowczy baranka nie złapie.

Już tylko parę godzin brakowało do zmroku, a jeszcze więcej niż ćwierć onego baranka pozostawała, gdy wtem marszałek dworu oznajmił, że pani wojewodzina prosi do swoich apartamentów „na rosołek“. Ten rosołek był to obiad według ścisłego kucharskiego regulaminu.

— A cóż teraz, bracie Kandydzie—ozwie się wojewo-

da—chyba cię tu bez dozoru na własne sumienie pozostawimy, abyś dokończył mężnie rozpoczętego dzieła.

Starosta Chołoniewski rozpoczął już przeciw temu protestacye. Kandyd zaś zgartując skrzętnie wszystkie kawały rozpoczętego baranka na srebrną misę, rzekł z pokorą:

— Przy pomocy bożej „et haec facienda et illa non omittenda“, bo u jw. pani czemś smacznem człek się obłowi — więc szkoda opuszczać.

A niosąc misę, którą pilnie konwojował Chołoniewski, żeby tam z niej czego nie ściągnięto, za innymi do komnat wojewodziny pospieszył.

Trudno opisać co to były za delicye i specyały na stole wojewodziny, która uprzedzona o rozpoczętem dziele, wielce się tej krotofili ucieszywszy, Kandyda przy sobie usadowiła, a ciągle mu na farfury dokładała, co on uprzejmie przyjmując zmiatał regularnie, a w intermedyach swojego baranka przegryzał; aż Chołoniewski siedząc naprzeciw bladł, to czerwieniał naprzemian i choć to jeszcze na zmierzch się nie zabierało, ciągle wrzeszczał o światło, przymawiając się:

— Oho! tylkom co tego dobrego kęsa w ucho nie włożył, tak już ciemno, snadź dnie jeszcze krótkie.

Jego adherenci także niby sobie pomrukiwali.

— W istocie zdałoby się już światło.

Łowczy siedząc po prawicy wojewodziny, a poglądając z tryumfem na Kandyda blizkiego już końca rozpoczętego dzieła, uśmiechał się w duchu i staroście odpowiadał:

— Do czego tam światła, lepiejby je zakonserwować do kapliczki Janowskiej, gdzie go jest omal.

Tak się tam sobie sekowali ci panowie. Ja ulokowa-

łem się tak szczęśliwie, żem ich wszystkich miał na oku i dostrzegłem, gdy Chołoniewski wsunąwszy nieznacznie w łapę marszałkowi dworu, szepnął coś przytem. Marszałek zaraz półgłosem wydał hajdukom rozkazy, ale tak, że mi się słyszał ten wyraz „światła“. Spojrzę na Kandyda, któremu jakoś mimowoli sprzyjałem, ile że mnich ubogi dla chwały bożej i zadośćuczynienia obedyencyi, bez żadnego dla się profitu, zdrowie przez to żarłoctwo mógł narazić—aż tu u biedaka jeszcze spory kęs na misie pozostawał. Snadź i on czujny, dosłyszał rozkazu marszałka, rozwarł tedy gębę szeroko i wsypał w nią resztę z misy. Zrazu poczerwieniał i posiniał nieborak, że mu aż na ratunek biedz chcieliśmy, a starosta już tryumfował; wszakże trwało to parę momentów tylko, a skoro iuż światło ukazało się w progu komnaty, Kandyd próżniuteńką, jakby wylizaną misę, w powietrzu przewrócił i dzwonił w nią onym wałkiem z drzewa, niby tryumf swój ogłaszając.

Krzyk pomieszany z wiwatami, powstał w sali, a pomimo że obiad nie był skończony i nie bacząc na decorum, wszyscy się z miejsc pozrywali. Orłowski brata Kandyda do serca przyciskał. Chołoniewski zaś przykrywszy się chustką, niby że mu się krew nosem puściła, a może i w rzeczy samej z tej aprehensyi, gdyż mocno był zalterowany, wymknął się z izby, a za nim kilku z jego partyi.

Dostrzegliśmy wszakże, że biedny brat Kandyd srodze był zziajany przez ten wypadek i obawiano się, ażeby nieborak szwanku na zdrowiu nie poniósł. Już wojewoda chciał posyłać po chirurga, ale brat Kandyd prosił, aby mu dano petercymentu, którego sporych trzy czarki wychylił, mocnym konfektem imbirowym zakąsując i jakoś orzeźwial, tylko sapał mocno. Tymczasem wojewoda wydał ciche rozkazy marszałkowi dworu — a w minut kilka

rozwarły się podwoje i weszli w nie trębacze przodem, grając na trąbach zwycięzką fanfarę, a za nimi służba wojewody wniosła na tacy srebrnej onego baranka i przed łowczym postawiła; a wtedy O. kaznodzieja Domicyan, czy z insynuacyi wojewody lub z własnego popędu — nie wiem, piękną z tej okazyi allokucyę uczynił; lecz pomimo szczerej chęci, tego pięknego słowa zapamiętać nie mogłem, albowiem przeładowany żołądek wybornem jadłem i głowa szumiąca napojem, na przeszkodzie stanęły. Snadź to prawda, że „plenus venter non studet libenter“— a tyle tylko przypominam, że począł z textu: „Oto baranek Boży, który gładzi grzechy świata“. A zręczną allegoryę do łowczego wystosował, napominając, ażeby nie wbijał się w pychę, z posiadania daru, który niebo łaskawe, przez poświęcenie sługi swojego, zsyła mu ku ozdobie świątyni przezeń wznoszonej. Mówił żaś tak pięknie i tak w sentyment trafił, że Imć pan Orłowski rozpłakał się, a odpasawszy trzos ze złotem na tacę dla służby rzucił. Chołoniewski zaś znów się wsunął do komnaty i stojąc we drzwiach z animozią wszystkiemu się przypatrywał. Tymczasem wniesiono wielki roztruchan herbowny wojewody, w rzadkich okazyach używany, a z bogactwa i kunsztownej roboty słynący na świat cały. Piękna ta sztuka zaiste ze szczerego złota, ma kształt urny, przy której dwie antaby do ujęcia oburącz, bo przy dwugarncowej mierze ciężar to był niezwykły i do udźwignienia trudny; klejnot na nich Stępkowskich: Suche Komnaty, według barw, złożony z drogich kamieni. Na polu czerwonem z całkowitego rubinu, jest trąba z rzadkiej perły czarnej, a nad nią krzyż, że biały być winien, z czystych dyamentów. Wniósł wojewoda zdrowie brata Kandyda, jako tryumfatora dnia tego—a starosta znów ze swoimi za drzwi smyknął. Gdy

kolej przeszła i Kandyd miał dziękować, ogólnym głosem chcieliśmy go zwolnić, lecz on stał mocno przy tem, aby go zaszczytu nie pozbawiano, a wychylił roztruchan jakby czarkę zwyczajną. Dalej my tedy obnosić go w tryumfie po komnatach i wiwatować rozmaicie. Że był ciężki to prawda, a prosząc nas, ażeby nim nie podrzucać, bo jakiego wypadku się bał, rzekł do nas zcicha, abyśmy go gwoli trawieniu w gąszcz ogrodu wynieśli, co też uczyniliśmy. On zaś po półgódzince tego wczasu, na nowo do kompanii powrócił.

Rozmaitej już potem rozrywki zażywaliśmy, w sali balowej grała kapela i młodzież tańcem zabawiała się, a inni tam według fantazyi, kielichem, kartami lub rozmową; Orłowskiego zaś i Chołoniewskiego straciłem z oczu. Już tedy dobrze po północy, kiedy z innymi zabieram się do wczasu, Imćpan Gruja, starosta Kotełłski, odciągnąwszy mnie na stronę, prawi:

— Słuchaj no mości Michale, muszę ci zwierzyć sub secreto, na parol kawalerski, że jutro dodnia łowczy ma się rozprawić ze starostą; owóż ja piérwszemu sekunduję, a że kondycya jest, abym w tej inprezie obrał sobie jeszcze socyusza, a więc ciebie umyśliłem zaprosić, w nadziei, iż mi nie zrekuzujesz, a jako homo peritus w wojennem rzemiośle, broń należycie przygotujesz, bo mnie już staremu trudniej się z tem sprawić.

Wprawdzie nie bardzom się zadziwił; że starosta z łowczym na harc wychodzą, bo już to sobie wzajem nieźle dosolili przy konkurencyi o onego baranka. Propozycyi czynionej odrzucić też nie mogłem, raz że się tego statecznym a poczciwym ludziom nie odmawia, a powtóre, że jak ci, moja panno wiadomo, z Grują łączy mnie zażyłość, a więc rzeknę:

— Zawszem skory na wasze usługi mości Józefie, kiedy więc i gdzie stawić mi się każesz? A nadto mogę jeszcze i tem wygodzić, że już ludzie moi przybyli i mam z sobą dwie szable, jak jedna równiuteńkie, niby dwie rodzone siostry; wożę je na wszelki wypadek, a nieraz już w rozprawach posługiwały, pewno zaś nie zamokły, bo łosiową grubą skórą owinięte; natychmiast je opatrzę i wypucuję należycie.

— Za pierwszą chęć waszą szczerzem wdzięczen, atoli z drugiej co dotyczy oręża, korzystać nie możemy.

— A więc biją się na własne szable, tem lepiej.

— Ba! gdyby to na szable, ale na pistolety...

— A! Na rany Chrystusa! Chrześcianie i ludzie stateczni strzelać mają, jeden do drugiego jakby uczciwszy uszy, do dzikiej świni! I wy człek stateczny przyjmujecie taką sekundę?

— A cóż czynić, kiedy zamiar nieodwołalny, a taka w obydwóch sierdzistość i animozya, że jak twierdzą, gdyby sekundantów nie znaleźli, to w obecności swoich hajduków strzelać się będą. A tóż piękna, żeby panom tak poważnym na sekundę chłopską przychodziło, trudno się zatem nie podjąć.

— Ależ możeby jeszcze molestować, trafiać do przekonania?

— Już wszystko należycie czyniąc, wyczerpaliśmy wszelkie perswazye — jeżeli tedy wasza łaska nie odmówić, to stawić się racz na piątą godzinę punctum, w suszarni nad sadzawką ogrodową i przynieś pistolety olstrowe, które wiem, że wozisz zawsze ze sobą.

Wprawdzie zafrasowałem się wielce, że dwóch tak zacnych panów na zgubę widoczną idą, atoli Gruja tak mnie skonwinkował, że rekuzować mu nie mogłem. Uda-

łem się tedy na kwaterę i miasto użyć wczasu, wziąłem się do opatrzenia i odczyszczenia pistoletów, poczem próbowałem zasnąć, lecz że z tej aprehensyi, sen mi się oczu nie imał, więc zlałem się dla orzeźwienia zimną wodą i na piątą wyszedłem z pistoletami, a pro zapas, gdyby się udało zawziętość tych panów zmiękczyć, wziąłem z sobą i pałasze, wprzód je dokładnie obejrzawszy.

Idąc frasowałem się srodze myśląc o tej barbarzyńskiej rozprawie, której podobnej nie byłem świadkiem, a słyszałem tylko dotąd, że podobnego pojedynku dopuścili się hetman Branicki z jakimś włóczykijem przybłędą, a podobno zwał się z włoska Casanowa, choć co prawda to i pisarz Rzewuski z generałem Kozłowskim pukaja do siebie za każdem spotkaniem i już pono po trzykroć podziurawili się — pomimo to, iż księża ich wyklinają, a wszyscy stateczni sarkają na takie barbarzyństwa.

Wszedłszy do suszarni będącej opuszczonym budynkiem, chociaż terminu nie chybiłem, bo jeszcze piątej godziny nie było i na jutrznię nie dzwoniono — zastałem już tam łowczego siedzącego z Grują na kłodzie. Coś tam sobie w najlepsze dyskurowali, a starosta palił lulkę, którą namiętnie lubił. Skoro mnie łowczy ujrzał, kordyalnie przywitał, a dziękował, że sekundę przyjąłem — potem zaś dojrzawszy broń przezemnie dzwiganą, rzekł ze śmiechem:

— A cóż to waszmość na jaką kampanię wybrany, że tyle oręża dźwigasz ze sobą? Pałasze nam się nie przydadzą, ale co pistolety, to prosiłbym o pokazanie.

Skorom wolę jego wypełnił, łowczy wziął jeden pistolet, a mierząc rzekł:

— Żal mi Bernadynów Janowskich, bo coś mi się widzi, że stracą fundatora, przeniosę tedy wszystkich do mojego konwentu... Ba! ale to mosanie purum kuchen-

reitery! Jegomość jak widzę znasz się na broni. A jak doskonale utrzymane!

Gruja tedy, pochwyciwszy tę myśl łowczego, że adwersarz jego rozpoczął fundacyę kościoła, wziął to za asumpt do molestowania go, ażeby sług bożych opieki i schronienia nie pozbawiał, a w mnożeniu chwały Boskiej przeszkód nie stawił. Wszakże łowczy ofuknął go tylko, ale w końcu powiedział.

— Owoż żeby waszmość panom dowód ich łaski dla mnie zawdzięczyć, czynię tu votum solenne, że w razie gdyby Chołoniewskiemu koniec był sądzony, własnym sumptem kościól i klasztor dokończę, a że lepiej to sprawie niż ten ciemięga nie znający się na architekturze, pewni waćpanowie być możecie.

Wtem nadszedł starosta ze swoim sekundantem, a był nim brat jego stryjeczny Chołoniewski podkomorzyc bełzki, socyuszem zaś jego takim jak ja Grui, Adam Weryha Darowski podsędek kamieniecki. Pokłonili się sobie adwersarze z galanteryą i obaj prosili nas, aby bez zwłoki do rozprawy przystąpić. Natenczas Gruja jako wiekiem od wszystkich poważniejszy, rozpoczynał koncyliacyjną przemowę, lecz przerwał mu podkomorzyc Chołoniewski:

— Widzi mi się, mości starosto, że rezulucya tych ichmość panów po statecznej rozwadze przedsięwzięta, cofnięta być nie może, a zatem wszelkie admonicye miejsca tu nie mają, zwłoka zaś nie potrzebna, prosimy tedy pana porucznika — dodał zwracając się do mnie — jako użyczającego nam łaskawie broni, ażeby ją należycie przygotować raczył.

Nie było już co tergiwersować; rad nie rad rozwinąłem tedy, a przyznaję drżącą ręką, ładownicę owiniętą

w płachtę i kiedy z niej patrony miałem dobywać, nagle przed nami stanął wojewoda, ną czele kilku przedniejszych swoich gości.

Poczęli tedy zapaśników wszyscy molestować, a moralizować co siła, ściskać a do nóg padać—atoli wszystko to na niewiele się przydało, gdyż obaj adwersarze, równo byli zawzięci. Skoro wszelakie wyczerpali argumenta — wojewoda w ten sposób rzecz zagaił:

— Obaj jesteście ludzie pracujący gorliwie około chwały Bożej, obaj wznoście świątynie Pańskie...

— Tylko nie obory — mruknął złośliwie łowczy.

— Ani pagody chińskie — poszedł za nim starosta Dubieniecki.

Wojewoda nie zważając na owo aparte, ciągnął rzecz swoją:

— ... i tyle prawdziwej zasługi chcecie zniszczyć przez okropny grzech mężobójstwa.

— Już tam jak sobie chcecie! Jeżeli nam tu przeszkodzicie, to daliśmy sobie z Imćpanem łowczym parol, że rzecz swoję w ten sposób rozstrzygniemy, chociażby i bez sekundantów, osobliwie takich, którzy do babskich strategii, dla pojednania adwersarzy uciekają się.

Co powiedziawszy, starosta spojrzał na swoich sekundantów i na nas, jakby posądzał wszystkich, o niedochowanie sekretu i zażycie środków pojednania, przy rozprawie niewłaściwych. Co prawda to i my także pomiędzy sobą, jeden drugiego podejrzewaliśmy.

Toż i Orłowski z pogardą na nas poglądał i do starosty rzekł:

— Coby tam pomiędzy nami nie zaszło mości starosto, zawsze pomimo tego dość się szanujemy, ażebyśmy mogli rozprawić się bez sekundentów, w obec naszych

sług, co uczynimy za pierwszą miedzą Imćpana wojewody, ażeby jego gościnności nie postponować.

— Zgoda — odparł Chołoniewski.

Wtedy do nas się zwracając łowczy, prawił z resentymentem:

— Waszmość panom zaś dziękujemy za oną zbyt gorliwą sekundę.

— Zawsze waść panie Janie gorączka i bierzesz rzeczy za ostro, a daję ci kawalerski parol, iż żaden z tych panów, ni też ktobądźkolwiek, słówka mi o tem nie pisnął, lecz ja sam widząc was zwaśnionych, śledziłem każdy wasz krok, niespuszczałem was z oka — ot, Panie odpuść, szpiegowałem po prostu, ażeby ten płochy zamysł, a obrazę Bożą od ludzi statecznych, a godnych wszelakiej estymy, oddalić.

Skonfundowali się obaj przeciwnicy, wzrokiem błagalnym na nas spojrzeli i każdy przed swoimi submitował się — atoli co do zgody już wszystkie możliwe akcesorya i perswazye wyczerpane, na nic się nie przydawały.

— Skoro już tedy taka wasza grzeszna, a iście nieobywatelska sierdzistość — ozwał się wojewoda, — siłą was powstrzymać nie możemy, a więc o jedno was proszę, że się strzelać będziecie mojemi kulami.

Nastąpiło milczenie, a wojewoda tak dalej molestował: — Mości Janie! mości Rafale! Wszak w domu własnym nicbym wam nie sprawił takiego, coby wam przeciwnem było.

— Przystajecie więc... zapewne kule święcone chce wam dać Impćpan wojewoda! — wołali panowie z gospodarzem przybyli. — A któryś dodał:

— Przecie to rzecz sekundantów ordynować na placu, a więc waszmościowie, czy się zgadzacie?

— Wiem ci to i ja — prawi wojewoda — lecz żądam, ażeby sami adwersarze zobowiązali się szlacheckim parolem, że gdzieby się nierozprawiali, moich tylko kul do pojedynku zażyją.

— No, bez wątpienia, że święcone — znów nalegali panowie.

— Ha, kto z Bogiem Bóg z nim, zgadzam się — przemówił łowczy.

— To i ja się zgadzam — dodał starosta — z tem jednak, jeżeli Imćpan wojewoda zaręczy honorem, iż w tych jego kulach nie ma żednego inkluza ani czarów.

— Daję mój parol na to, że bez żadnych guseł i czarów są one moje kule — rzekł wojewoda, któremu obaj adwersarze ręce podali; a wtedy on zwróciwszy się do mnie powiadał: — Waćpan to nieraz pewnie nabijałeś broń, ale nie wiem czy potrafisz sprawić się z mojemi kulami, choć to wiadomo przecie, żeś w niemieckich jegrach służył?

— I działo wałowe nabiję, może lepiej od puskarza Imćpana wojewody — powiedziałem do żywego tknięty.

— Obacz-że tedy waszmość jak ci się powiedzie z mojemi kulami, boś pewnie takiemi jeszcze nie nabijał.

To powiedziawszy, wojewoda podał mi dwie piękne *pisanki*.

— A cóż to, mości wojewodo! ironia, despekt! — wrzasnęli obaj przeciwnicy. Ale ich szlachta ogólnym śmiechem zagłuszyła, a do mnie wołali:

— Nabijaj-że, mości kanonierze!

Kiedy już gwar przycihł, wojewoda postąpił grzecznie do adwersarzy i rzekł:

— Dałem parol szlachecki, iż moje kule nie mieszczą w sobie guseł i czarów, jakoż tych być tam

nie może, gdzie są te święte wyobrażenia, wzywające ludzi do zgody i miłości, a nie do krwi grzesznego przelewu.

Jakoż, jak na to, na jednej pisance było wyobrażenie Rezurekcyi Pańskiej, na drugiej zaś krzyż z Chrystusem.

— „Verbum nobile debet esse stabile," pogódźcie się waszmościowie — wołała szlachta. Pod ogólną pressyą miękli i zapaśnicy, a jednak zawsze na siebie chmurno poglądali, aż starosta ozwie się:

— Zapewne słowo się rzekło i parol dany; atoli z drugiej strony zważcie waszmość panowie, iż nie jesteśmy obaj żakowie ani pauprowie jacy, ażebyśmy sobie płazem puszczali ciężkie urazy —przecie jegomość nazwał mój kościół szopą!

— A jegomość mój—pagodą chińską.

A jak z tego textu poczęli, tak znów na ony szeroki gościniec przymówek zajechali i już w rzeczy nie przewidywaliśmy końca tej zwadzie. Aż mi tedy przyszło na myśl i rzeknę:

— A owóż, mości panowie, są tu pałasze, więc możebyście tak, po szlachecku, wasze resentymenta zakończyli?

— A tak? Vivat porncznik! Niech się wybiją tylko do pierwszej krwi. My tu wszyscy obydwom sekundujemy.

— Dobry koncept, mości puszkarzu—rzekł do mnie zcicha, uradowany wojewoda.

Ustawiliśmy tedy adwersarzy i rozprawa się poczęła, a nie trwała więcej niż przez dwa pacierze, i łowczy ciął starostę powyżej łokcia.

— Krew, krew!— zawołali wszyscy i kilkanaście na raz szabel przegrodziło przeciwników, którzy już i sami on ferwor i animozyę utracali. A o ile mieli wprzód prze-

ciw sobie zawziątku, o tyle teraz na afekt im się wzięło: najprzód Orłowski przyskoczył i przepraszał za ranę zadaną, która w rzeczy była lekką i zaraz ją chlebem z pajęczyną bez pomocy chirurga zalepiliśmy. O ile zaś przedtem postponowali swoje kościoły, o tyle teraz jeden przed drugim w komplimentach i pochwałach rozsypywał się: Łowczy coraz to bardziej miękł i do starosty rzecze:

— Choć to niby dla mnie Kandyd wygrał baranka, ale że ja waszmości samego Kandyda odmówiłem, więc baranek z prawa i sprawiedliwości do was, miły panie bracie należy, a nareszcie i twojej pięknej świątyni bardziej przystoi.

A kiedy starosta daru onego przyjąć wzbraniał się, dalej go łowczy molestować:

— Jeżeli, miły bracie, przebaczasz mi krwie twojej zacnej przelanej i na dowód, iż za to nie żywisz ku mnie rankoru, to darem tym skromnym nie pogardzisz....

Gdy się tak przesadzają w uprzejmościach i sentymentach, aż tu czterech hajduków toczą srebrną beczkę, na takichże kołach ze złotemi obręczami, a niosą też jakiś roztruchan jakby stągiew.

Wonczas też i reszta pozostałych gości, do onej budy się przytoczyła i już tam się lało... Bogu tylko chwała, że nie krew, a wino—wszakże było tego zanadto.

Dalej co się stało nie jest mi wiadomem, bo nazajutrz znalazłem się jakimś cudem w mojem łóżku z ręką obandażowaną, z której mi chirurg wojewody krwie upuścił. Wielkiego wszakże szwanku na zdrowiu nie doznałem, głowa mi tylko nieco ciężyła i na upartego mógłbym był do onej ochoty wrócić, do czego mnie nawet gorliwie nakłaniano; ale dałem Imć panu chirurgowi kilka czerwonych złotych, ażeby mnie za chorego przed wszystkimi

wydawał i jeszcze powtórnie krwie mi upuścił, a różne też ordynował purgamenta. Chcę bowiem skorzystać z tej okazyi i majową kuracyę odbyć. Wszakci już i tak maj na niebie, a że prawdziwy, kalendarzowy będę musiał na roczkach w Winnicy przepędzić w tej niegodziwej sprawie ze Srulowiczem, więc na kuracyę czasubym nie miał. Przeczekałem tedy kilka dni aż się zawołańsze pianice rozjadą, skorzystawszy z czasu, ażeby dla was sercem ukochana panno, tę relacyę spisać.

Post Scriptum. Gdym dziś submissyę moję wojewodzie składał—pan ów dostojny— pożegnał mnie łaskawie, a uściskawszy kordyalnie—podał mi zdjętą ze ściany szablę krzywą, całą drogiemi kamieniami sadzoną i rzekł:

— Mój miły panie poruczniku! Pozwól mi tę szabelkę, od dziada mego jeszcze mi przekazaną—a poświęconą w Jasnogórskim klasztorze i konterfektem Panny Najświętszej, orędowniczki naszej zdobną — ofiarować ci w braterskim upominku. Niech ona waszmości, miły poruczniku, służy za obronę skuteczną w każdej rycerskiej potrzebie; — niechaj przypomina estymę moją i afekt gorący — a już najbardziej niech wam przywodzi on moment inspiracyi szczęśliwej, w którym łowczemu i staroście, zamiast pistoletów niemieckich, poddałeś szable szlacheckie do rozegrania honorowej rozprawy. Boć — przecie — jeśli już krew nasza ma się przelewać w zwadach grzesznych pomiędzy bracią — to niechże ją lepiej szabla ojczysta ostrzem poświęconem usączy i zatamuje — nie zasie broń niemiecka, która i bez tego przecie wciąż nam tu wszystkim wprost do serca celuje.

Zacne te wyrazy konotuję tu sobie pilnie — by one

kiedyś przy okazyi wszelakiej — powtarzać. Są też, one wyrazy, atestacyą najlepszą, że panu wojewodzie, tak samo jako i wszelkiemu z magnatów naszych, ale z krwie czystej i zacnej — w każdej okazyi solennej, dobra krew ona, i w mowie i w akcyi zawsze na jaw wychodziła.“

II.

CÓRKA HETMAŃSKA

OBRAZEK Z PRZESZŁOŚCI.

„Szukajcie a znajdziecie!” Te słowa Pisma św. powtarzane dziś przez nas jako już zwietrzała maksyma, w wieku kiedy prędzej wierzą w to pozytywne „chapnijcie a posiądziecie,” nie były dawniej czczem zdaniem. Natenczas jeszcze szukających bodaj że tylu było co znajdujących. Nadzwyczajności chodziły po ludziach, a fortuna chociaż kołem się zawsze toczyła jednak snadź po grzązkim trakcie i łatwo ją było pochwycić; nie tak jak dziś parą pędzona, już do ujęcia staje się coraz to niemożliwszą. Dziś za to szukających niezliczone gromady w stosunku do jakiegoś tysiącznego lub i milionowego znalazcy. Z tego i ludziom lżej było na świecie, póki wierzyli, że tę kapryśną fortunę ująć można. A choć zawsze byli jej wybrańcy, zawołani gromadziciele bogactw, jednak nikt nadziei nie tracił i ufał w to pocieszające: Kogo Bóg stworzył tego nie umorzył.

Na co daleko szukać. Przy schyłku trzeciej ćwierci zeszłego stulecia, na zamku Sosnowickim w ziemi Chełmskiej, a na pańskiej fortunie rozsiadł się Józef Sosnowski, pan w całem znaczeniu, bo i senatoryami przebierał. Wpierw wojewoda Smoleński, potem hetman polny Litewski, a nakoniec po nowej rezygnacyi, skromny wojewoda połocki.

A przeszłość owego magnata kryła się w tych tajemniczych słowach: „Szukajcie a znajdziecie!” Jakoż on syn ubogiego szlachetki, a jak niektórzy utrzymywali, woźnego trybunalskiego, szukał i doszukał się znaczenia, fortuny i honorów; usynowiony przez swojego dalekiego krewnego, a bodaj tylko imiennika, jenerała-lejtnanta wojsk litewskich Sosnowskiego, stał się panem znacznej fortuny i tem sobie drogę do honorów otworzył.

Bełkotały złe języki — kiedyż ich bowiem na świecie nie było? że nietyle jenerał-lejtnantowi chodziło o syna, ile o synowę. Żona bowiem nowego syna słynęła z piękności i wdzięków; a co tylko było wówczas najświetniejszych adonisów, do nóżek jej się słało i nowy tatko pono na jej krasę był nieobojętny. (*)

* * *

Beatus qui tenet, tak zawsze było i będzie! Napróżno silą się arystokraci wytykać podłość rodu parweniuszów, okrywać ich z za węgła pogardą, czyli mówiąc po prostu, figę w kieszeni pokazywać, a zawsze papką, czapką i solą ludzie ludzi zniewolą; dom pana hetmana polnego miałże w bród tej papki i soli, przez co najbutniejsze czapki do kolan mu się chyliły.

Prawda, że urząd i znaczenie, a rozum też przy tem był; co najważniejsze, fortuna okrągła, życie wystawne, swoja kapela i milicya nietylko hetmańska, ale jaka taka i własna; wszystko to nielada wabiki na miłość i respekt

(*) Wersya z której czerpałem, nie wspomina jak była Sosnowska z domu; co do tego różnią się historycy. Jul. Bartoszewicz (Książ Zbior. Ohryz.), mieni ją być Kuczewską, a Żegota Pauli (Żyw. Hetm.) Teklą Zienowiczówną.
(Przyp. autora).

ludzki. Atoli niemniejszą od tych przynętą były dwie hetmanówny: Katarzyna i Ludwika, nietylko wdzięki i krasę matki dziedziczące, lecz nadto ogromną fortunę rodzica, który syna jedynaka opłakał. Rozum miał też być tych dziewcząt niepośledni· mówiły kilku językami, grały na instrumentach i we wszem wyróżniały się od bogobojnych szlachcianek na kantyczkach i *Heroinie* chowanych (ówczesna książka do nabożeństwa, najbardziej rozpowszechniona), bo nawet w późniejszych czasach jako autorki zasłynęły. A gdzie tylko rodzic starowny o kształcenie córek, zasłyszał o sposobności dostarczenia im nowej scyencyi, zawsze ją chciwie chwytał i niczego w tej mierze nie niechał, aby dumę rodzicielską zadowolnić.

* * *

Jeżeli o baronach zagranicznych mawiają: *chaque baron a sa fantaisie*, to dawny magnat polski liczył je setkami i hetmanowi zachciało się kształcić córeczki w matematyce, a nawet o dziwo! w taktyce wojénnej. Może to z krewkości rycerskiej ta zachcianka urosła, mniejsza o to, ale o czem tylko zamarzył, to się w rzeczywistość obrócić musiało.

Wszakże na one czasy niełatwem to było zadaniem nauczyciel matematyki i taktyki wojennej; dla tej ostatniej nauki niedawno utworzona szkoła sprowadzała uczonych z zagranicy. Co zaś było lepszych matematyków z pijarów, sekularyzowanych jezuitów, po świeżej kassacyi ich zakonu, lub cywilnych, garnęło się do licznie otwieranych naówczas szkół rządowych.

A jednak hetman zamyślał, to nie przelewki! —i stać się musiało. Wybrał się tedy do Warszawy, zapewne nie

w jedynym celu wyszukania matematyka, ale jako zaszczycony łaską królewską, często tam dla pokłonienia miłościwemu panu dobiegał. Wszakże i córeczki, które jak oko w głowie chował, miał zapewne na myśli. A kiedy już odjeżdżał i zaszła pańska kolasa, jeszcze raz przycisnął dwie faworytki do ojcowskiego łona, a szczególniej wyróżnianą młodszą Ludwikę, która mu z figlarną minką rzekła:

— Taténku drogi, nie zapomnij matematyka, tylkoż zastrzegam, żeby nie był to jaki zatabaczony pijar lub exjezuita, bo takiej nauki nie chcę. Niech tatko bez nauczyciela nie wraca, — były to ostatnie słowa pieszczoszki.

* * *

Pobyt wysokiej figury w stolicy nie mógł się odbywać cinognito; tembardziej Sosnowski lubo nie pan z panów, a *dochrapnicki* jak wówczas nazywano, jednak gładki polityk, wisiał zręcznie pomiędzy dwiema już natenczas przeciwnemi partyami. Należał bowiem do tych ludzi, co to pomiędzy dwoma ogniami zręcznie przesunąć się i wyjść cało umieli.

Ztąd u wszystkich wzięty, przez jednych i drugich poszukiwany, a szczególniej dla jowialności i krotofilnego usposobienia, spoczynku nie miał w stolicy, a na odwiedziny składane i odbierane dnia było za mało i gdyby był w dwójnasób dłuższy, jeszczeby go się czem zapełnić znalazło.

Stykając się z tymi i owymi ludźmi, zawsze pytał o nauczyciela, a pomiędzy wojskowymi go szukał, raz że to właściwszem było dla hetmana i że każdy dygnitarzowi wojskowemu chciał wygodzić. Lecz w którą się tylko

stronę rzucił nic nie wskórał: jeden bowiem był zajęty przez szkołę, drugi przez jakąś kompanię wojskową, bo po chorągwiach i pułkach poformowały się szkółki; nakoniec inny zobowiązał się dzieci magnackie do wojskowości sposobić i t. d. Wszędzîe bowiem naówczas w rycerskiem kształcono się rzemiośle.

* * *

Jużby może wojewoda zdesperował, gdyby silnie nie wierzył w hasło swojego czasu—„Szukajcie, a znajdziecie!“ Właśnie kiedy przechadzał się pomiędzy skłepami bławatników i złotników, przemyśliwając czemby kapryśnej pieszczoszce brak nauczyciela zastąpić, wpatrzył się silnie w młodego oficera, który usunięty na bok rum mu czynił i honory wojskowe jako starszemu oddawał.

— *A niech cię raba suka gryzie* (*), toż Tadeuszek, wykapany ojciec nieboszczyk. Cóżto waćpan sobie myślisz, żeś mi się nie meldował? Niech mnie raba suka gryzie, może wymówisz się niewiadomością?

Wypowiedział zamaszyście i rubasznie hetman, rękę na ramieniu młodego oficera przyjaźnie złożywszy.

— JW. Paaie—odpowiadał ten z pokorą—miałbym to sobie za zaszczyt i święty obowiązek podziękować za doznane dotąd dobrodziejstwa, atoli nie śmiałem naprzykrzać się, aby nie wywoływać na nowo wspaniałomyślnej łaski pańskiej, której i tak już wiele zawdzięczam.

— Hm! hm! zawdzięczam! Niech cię raba suka gryzie, musiałeś ty coś zmalować w tych tam zagranicznych

(*) Wiadomo, że dawniejsi polacy, osobliwie ci, którym było lepiej na świecie i żenować się w mowie nie potrzebowali, mieli swoje przysłowia nie zawsze wykwintne, a powtarzane za każdym wyrazem Podanie nlesie, że takiem przysłowiem Sosnowskiego było owo: „Niech cię raba suka gryzie“.

szkołach, kiedy nie chciałeś mi w oczy spojrzeć i widzę cię w mundurze subalterna. To na jakiego djabła ta zamorska nauka, w mojej przybocznej chorągwi więcejbyś się dosłużył.

— Nie śmiem się chwalić, ale moje patenta...

— Co mi za patenta, gdy wyłazi z butów pięta, bo jak widzę kuso koło waszeci i mundurek nie pierwszej młodości. A kiedy są stopnie zagraniczne u nas tak wielce, a moze zanadto cenione, czemu waść nie postarasz się o własną kompanię?

Za odpowieeź młody oficer rozstawiwszy ręce zrobił gest znaczący.

— Ba, kiepsko koło *quibus*, jak widzę. Ano to jeszcze niewielka bieda, jakoś to się połata. Tymczasem chodź waść ze mną, radzić będziemy, a jeżeli te twoje patenta lepsze od waści mundura, to może ci jaką kompanijkę wysztyftuję.

* * *

Dworno podróżował pan Hetman: przodem o kilka godzin jazdy od hetmańskiej kalwakaty, pod komendą stanowniczego znajdowały się: kuchnia, kredens, pościele, makaty, dywany, a nawet i sprzęty obozowe, wszystko to na trzech dużych wozach czterokonnych naładowane stosowny konwój otaczał. Staraniem tej awangardy było, aby na każdym popasie i noclegu, pan już na gotowe pieczone i warzone natrafiał; licha zaś karczemka żydowska, sprawnością dworu, jakby mocą laski czarodziejskiej, w wygodną czasową siedzibę przeobrażała się.

Dalej jechała pańska kolasa otoczona pocztem jezdnych; była to tak zwana basztarda, w guście dzisiejszej

karety, okryta i ze szkłami, co zaś wewnątrz zawierała trudno wyliczyć, bo rodzaj komody na suknie, spiżarnie na wiktuały, wysuwane stoły — dla pobożnych klęcznik i ołtarzyk i wszystko co mieć pod ręką zadyktowała fantazya, a za to dziesięć ją koni ciągnęło. Na ten raz jeszcze przybywała szachownica z szachami—tę grę hetman lubiał i powiadają, że w niej celował, a rad był teraz, że znalazł biegłego szermierza w młodym oficerze, którego przy bławatnych sklepach w Warszawie sobie zrekrutował. Dziwili się a gorszyli dworzanie i starsi ofiicerowie, że hetman takiego młodzika do konfidencyi, dopuścił czego nigdy nie bywało, obok siebie w powozie posadził, a do tego grą się z nim poufale zabawiał. Ażeby chowaj Boże, gry pańskiej stuknięcie lub zachwianie sie basztardy nie pomieszało, przy najmniejszej tedy nierówności drogi lub wyboju, zeskakiwali jezdni z koni, hajducy z bryk za pańską kolasą dążących i przytrzymywali basztardę, a w razie konieczności, prawie na barkach przenosili, bo inaczej byłoby źle.

Na ostatnim już popasie przed domem, według zwyczaju zasiadł hetman przy porządnie zastawionym stole, podróż bowiem w tym względzie wyjątków nie czyniła. Jeden oficer młody dzielił tylko zaszczyt pańskiego stołu, prócz którego według zwyczaju był jeszce marszałkowski i czeladny; na co wprawdzie starsi oficerowie sarkali, jednakże po cichu, bo inaczej dyscyplina wojenna nie pozwalała.

Obiad miał się ku końcowi, tak też i rozmowa już się doczerpywała, a w tej chwili młodszy, uprzednio rozpoczęty argument dalej prowadził:

— Rozumiem to JW. panie, subordynacya i posłuszeństwo są pierwszym obowiązkiem i zaletą żołnierza...

— A jużci tak, niech cię raba suka gryzie.

— Jednak skoro JW. pan dopuściłeś mnie z nieocenionej swej łaski do otwartości, ośmielę się zapytać, jakie w tej nowej służbie będą moje obowiązki?

— Ano szachy — niech cię raba suka gryzie, muszę spenetrować tego mata samą wieżą na zapowiedziane. Teraz mospanie skonwinkowałem się, żeś darmo chleba nie jadł poza granicami.

Młody oficer tając uśmiech wywołany tą prostotą, po chwili milczenia ozwał się z pokorą:

— Gotów jestem i na to JW. panie, lecz łaska wasza hojna, dała mi sposobność innych jeszcze tam wiadomości nabyć, które pragnę doskonalić.

— Chwalą się waszmości dobre intencye i o tem pomyślimy, najprzód obejmiesz mi komendę nad chorągwią, a wyuczysz ją tych tam nowych ewolucyi i exercyrunków o których mi powiadałeś. Dowodzi nią per interim mój porucznik Wojszczyc Chełmski, którego jak powiedziałeś ze szkół pamiętasz, ale go weźmiesz w ryzy, bo on choć wyćwiczony żołnierz i do musztry zdolny, ale więcej mu tam pchnie fraucymer niż komenda.

Długo było tego wyliczania, a po każdym punkcie młody oficer kłaniał się z należną subordynacyą, hetman zaś coś cedził przez zęby, znać wszystkiego nie dopowiadał, aż tak do rzeczy przystąpił:

— A jeszczeby jedno można, niech mnie raba suka gryzie, żebyś waść przy praktyce nie zapomniał matematycznych teoryj i taktyki wojskowej, to możesz tego innych nauczać.

— Na rozkaz JW. pana możemy urządzić klasy wojskowe i stopniowo....

— Ho! ho! którędy mosanie, niech cię raba suka gryzie! Żołnierz do posłuchu i bitwy, a kat po nim skoro uczony — na oficera to jeszcze ujdzie i to na instruktora, a nie szeregowego. Otóż ja dla waści mam dwie uczennice.

— Uczennice! — zapominając o subordynacyi, wykrzyknął oficer zdziwiony.

— Czegoż waćpan tak gardłujesz? Przecie starożytni miewali pułki amazonek... No, ale ja tam w bitność podwiki nie wierzę, bo to już sam mądry Stwórca do kądzieli i garnka ją przeznaczył; aliści z drugiej strony, nie ganię, jeżeli kobieta żądną jest scyencyi i otoż jednę z twoich przyszłych dyscypułek znałeś dawniej, kiedy wyjeżdżałeś za granicę....

— Za łaską JW. pana,—przerwał oficer z głębokim pokłonem.

— Niech cię tam bura suka gryzie z tą łaską. Ale ta twoja znajoma jest to moja córka starsza Kasia, coś to ją znał mało co od ziemi odrosłą, a koniki dla niej wystrugiwałeś; druga Ludka przyszła na świat w parę miesięcy po twoim odjeździe; dziewki powiem ci edukowane. znają się na greckich i łacińskich autorach, a teraz z kolei zachciało im się poznać matematykę, czemu się nie sprzeciwiam, bo to wszelkie zajęcie dla podwiki jest zbawienne, wypędza z głowy niepotrzebne amory, co senatorskiej córze nie przystoi. Bo żeby moje powydawać za mąż na jarmark nie powiodę; każda tam swojego według stanu i godności doczeka.

Dumnie zakończył hetman.

— JW. panie,—odparł z submissyą młody oficer,— to co umiem przez hojną łaskę waszą i waszym sumptem zdobyłem, a jakże szczęśliw jestem, że sposobność mi na-

darza tę naukę na korzyść waszego dostojnego domu obrócić....

Nie dał mu dokończyć hetman, a uradowany, że swojej pocieszce we wszystkiem wygodzi, bo naukę nie w postaci zatabaczonego mnicha przywoził, ucałował szczerze młodzieńca w oba policzki; a rozweselił się wielce i sięgnąwszy do puzderka tuż przy nim stojącego, omszałą flaszę wydobył i przyszłego preceptora wniósł zdrowie.

— A wiesz co Tadeuszku,—ozwał się z podwojoną wesołością,—gdybyś ty się tylko zgodził, a chciał mi sekundować w pomyśle, wyprawilibyśmy z mojemi dziewkami walną krotofilę.

Śmiechem serdecznym mowę sobie przerwał, aż trząsł się brzuch jego hetmański jak galareta.

* * *

Utuliwszy śmiech, hetman zadął w rożek srebrny wiszący mu zawsze u pasa i natychmiast zjawił się wyprężony u drzwi, służbowy, któremu wydał rozkaz:

— Prosić ojca kapelana.

Nieodłącznym artykułem podróżnym jako sprzęt duchowny, do pobożnych praktyk, które hetman ściśle obserwował, był O. Kryspinian benedyktyn, kapelan domowy, zawsze przy jego boku nieodstępny czy to w domu, podróży lub obozie. Był to sobie mnich prosty, nieco jowialista, może za rubaszny na zakonne powołanie, ale mąż pobożny i wiele zbawiennego wpływu na pana wywierający. Może dziwnem się wyda, iż na one czasy wielkiego poszanowania dla kościoła i sług jego, osoba duchowna do stołu pańskiego przypuszczaną nie była, lecz działo się to z woli samego O. Kryspiniana, który w pokorze zakon-

nej nie tając swojego nizkiego pochodzenia, przekładał obcowanie ze sługami i wolał gasić pragnienie prostym miodem, rzadko na stole pańskim ukazującym się. Na wezwanie paua niebawem stawił się, z nieodstępną pokorą, a zgięty we dwoje ode drzwi przemawiał:

— *Laudetur Jezus Christus.* Stawię się na rozkazy *zmiłowanie Boże* (to było także przysłowiem księdza); zapewne JW. pan życzy dokończyć *Oficium ad B. V. Mariae*, jakoż stanęliśmy na *laudes.* A może na dzisiejszy środowy dzień jako *ad cultum s. Josepho* wyłącznie poświęcony, każe JW. pan odczytać *officium parvum* do tego patrona małżeństw, ażeby JW. hetmanówny znalazły w tym stanie..

— No, no, znajdą i bez tego hetmanówny co im potrzeba, a w grochowym wianku, niech cię raba suka gryzie, chodzić nie będą. Co do rozpoczętego officium, to skoro Bóg nas szczęśliwie do domu doprowadzi, dokończymy *ad vesperas* i *ad completorum*, ale droga ma swoje prawa. Oto wezwałem jegomości, ażebyś tu wypił z nami, ale prawda żeś wina waść nie amator, a więc mam tu i mechę, bodaj że starszą od waszeci.

Po tych słowach sięgnął hetman do puzderka po nowy omszały gąsiorek i sporą napełnił lampkę O. Kryspinianowi, który z rozkoszą delektował się zawartym w niej płynem; a gdy i parę innych za pierwszą pospieszyło i miał już minę natchnioną, jakby ku niebu wzlatywał, hetman zagail:

— A niechże cię raba suka gryzie, O. Kryspinianie, a co miodek, hę?... A powiedzno mi waszeć ile masz habitów?

Zdziwiony tem niespodzianem zapytaniem mnich przez jakiś czas na odpowiedź się nie zebrał.

— Zmiłowanie Boże, JW. panie, przecie człek wie co

się komu wedle respektu należy i jako kapelan nadworny zda się moją jakkolwiek nędzną powierzchownością, dworowi JW. pana wstydu nie przyniosłem.

Odpowiedział zakłopotany ksiądz, oglądając swoje suknie w obawie, azali były nieczyste lub dziurawe.

— A niechże cię raba suka... odpowiadaj waszeć krótko na pytanie: ile masz habitów?

— Według etykiety dworskiej, JW. panic, zmiłowanie Boże, trzy: jeden oto ten grubszy do podróży, drugi sajetowy do prezentacyi, a trzeci grodenaplowy na casus odczytania benedykcyi przy paradnych obiadach; tyle w drodze, w domu zaś z łaski JW. benefaktora cóś się tam więcej znajdzie.

— Chwała Bogu niezłą masz garderobę mój ojcze. Za przyjazdem do domu przypomnij żeby ci sprawiono habit z liońskiego kaszmiru, ten się przyda.

Kapelan się nizko pokłonił, a hetman ciągnął dalej.

— Otóż teraz pożyczysz mi waść jednego z habitów dla tego oto kawalera—i wskazał na Tadeusza przy nim siedzącego.

Nastąpiło milczenie, a oficer z mnichem obaj trwożny wzrok wlepili w hetmana, z obawą czyli go maligna nie chwyciła. Ksiądz pierwszy milczenie przerwał:

— Zmiłowanie Boże, JW. panie, śmiem zapytać, czyli ten oto kawaler otrzymał już jakie święcenie wedle reguły świętego ojca Benedykta?

— Jeżeli dotąd nie miał, to mieć może, a ja chcę żebyś go waść przebrał w jeden ze swoich habitów, niech cię raba suka...

Zmówił hetman tonem żadnej repliki nie dopuszczającym i nieczekając odpowiedzi, znów w rożek uderzył,

a do służbowego, który na odgłos jak z pod ziemi się zjawił, rzekł:

— Czupy!

Stawił się też rychło i Walenty Czupa; a był to znany wszystkim marszałek dworu hetmańskiego, człek wielce krotofilny, a w figlach pańskich, objawach dobrego humoru, czy to kuligach, maszkarach lub t. p. niespodziankach, dzielnie panu sekundujący.

Hetman znów do puszki Pandory pod formą niewyczerpanego puzderka zajrzał, marszałka uczęstowawszy coś mu tam szeptał na ucho; nakoniec z benedyktynem i młodym oficerem pokonferował i wesół był, a znów trząsł się od śmiechu brzuch hetmański.

Wiedzieć zaś trzeba, że hetman Sosnowski był wesołego usposobienia i pan wielce żartobliwy, — ba, w rzeczy czegóż się miał smucić kiedy mu dobrze było na świecie?

* * *

Podczas gdy pan z przybocznym dworem cały dyalog na popasie przygotowywał, stanowniczy tymczasem z awangardą według marszruty wyruszył; jakoż jeszcze dobrze za dnia do zamku hetmańskiego zdążał.

Skoro mieszkancy Sosnowicy zajrzeli awangardę zwiastuna rychłego powrotu pańskiego, wszystko w zamku zawrzało jak w kotle. Jeszcse obóz był daleko, kiedy dwie piękne córy hetmańskie Kasia i Ludka ukazały na krużganku pałacowym dwie główki pod misterny cień dobrane: pierwsza w złote długie wijąca się warkocze, na bladoróżowe lica spadające, patrzyła w dal zamdlonemi niebieskiemi oczyma, jakby lazur firmamentu się odbijał, a tak

powolnie w takt jakby do muzyki obliczony, przechylała złotowłosą główkę. Z długiemi warkoczami wietrzyk igrał dowolnie, to rozsiewając w fantastycznie wężowe koła, to znów przeciwnem wianiem w pierścienie i sploty układał.

— Ludko, — co też ojciec dla nas wiezie? — jabym chciała mieć piękne zausznice, ingierszal niebieski, albo i manele by się przydały; a tobię żeś czarnobrewa, musułbas czerwony złotem przekładany, a może....

Rozpoczynała głosem dźwięcznym jak organ, a miarowym i rytmicznym jakby wiersz bohaterski.

— Ach, jakaś ty nudna i powolna Kasiu, przerwał jej mowę głosik urywany, niecierpliwość znamionujący. — Ach! a ci jeszcze nudniejsi leżą jak na raku,—nie wiem czemu to tatko lepszych koni do awangardy swojej nie wyznaczy. O! ja gdybym była hetmanem!... Nuże! nu wy żółwie! nudziarze!...

Tupiąc drobniuchną, prawie dziecięcą nóżką, wołała jakby słyszaną być mogła do ciągnącej po piaskach, a ledwo dojrzanej kawalkaty,—dziewczyna prawie o głowę przewyższająca złotowłosą towarzyszkę. Jak tamta postać przy piękności niezaprzeczonej, spokojna i poważna, tak czarnobrewa Ludka żwawa, ruchliwa, co chwila płonęła, to bladła na twarzy, będącej jedną z tych rzadkich, co to prócz niecierpliwości zdają się nic nie oznaczać, chyba dla tych wybranych, co w oku pełnem ognia, siejącem blaski niezliczone jak słońce przez zwierciadło odbite, — coś więcej nad niepomiarkowaną żywość wyczytaćby umieli. Włos jej przy samej głowie zwijał się ujęty przepaską, a znać było, że o ile tamta doczekała końca trefienia, ta zaś swoje czarne warkocze z pod biegłego a kunsztownego żelazka wyrwała.

— Ludko!—ozwał się znów głos melodyjny ale jednostajny Kasi,—jak ci mówi presentyment, co której z nas ojciec przywiezie? bo ja myślę....

— Ach! Kasiu nieznośna, żebyś mi nie była siostrą, tobym cię ugryzła,— zawołała tupiąc nóżką niecierpliwa Ludka,—a przytem cienką chustkę w ręku trzymaną rwała na szmaty.

— Wszystko ci oddam— podchwyciła,—co od ojca dostanę, byleby przywiózł matematyka i to młodego, bo ja z naszych książek nic dojść nie mogę.

Potem znów mierząc pałającym od gniewu wzrokiem wolno zbliżający się obóz:

— Ach! czemu nie jestem hetmanem, dałabym im za taką jazdę!... Nie, nie! już dłużej nie wytrzymam — zawołała gniewnie i zbierając w drobne rączki ogon długiej sukni, zbiegła ze schodów krużganku i naprzeciw orszaku zdążała.

— Ludko! Ludko! to nie uchodzi tak się pospolitować, biedz na gościniec naprzeciw sług, przecie lada chwila sami nadjadą.

Ozwała się z perswazyą starsza siostra; lecz nim jej głos poważny wszystko wypowiedział, już czarnobrewa dziewczyna bramę i most zwodzony przebywszy, gościńcem na spotkanie przybywających co tchu bieżała.

— Szalona dziewczyna!—nie umie zachować godności naszej randze przynależnej—szepnęła do siebie Kasia, wzruszając ramionami i z powagą królowej krużganek wolnym krokiem przemierzając, zmawiała sobie w myśli: Co też mi ojciec przywiezie?

* * *

Orszak widząc *ulubioną panienkę* — tak ją bowiem cały dwór hetmański nazywał — ile piaski i przestałość koni dozwalały, kroku ku niej przyśpieszył, a że ona także drobniuchnych nóżek nie szczędziła, więc spotkanie wkrótce nastąpiło.

Stanowniczy, przywódca orszaku, zbliżając się do miłowanej panienki zsiadł z konia, aby się pokłonić, a wszyscy uprzejmie ją witali; dziewczyna choć wszystkim rada, jednak zaledwie główką na prawo i lewo kiwnąwszy, stanowniczego spytała niecierpliwie:

— Mów mi mości Gołku, a prędko, czy ojciec wiezie matematyka?

— O żadnym matematyku jako żywo nic nie słyszałem.

— Jakto nie?... — krżyknęła drżącym z gniewu głosem.

— Jest tylko z JW. panem jakiś młody oficer uczony zagranicą, a JW. hetman dopuścił go do wielkiej z sobą konfidencyi, posadził go przy sobie w basztardzie i całą drogę grali w szachy...

Zaledwie tych słów domówił Gołek, kiedy dziewczyna już na jego koniu siedząc, cwałem pognała do pałacu. Kóń jakby czuł sie niedość silnym do przeparcia kipiącej woli dziewczyny, dobył ostatnich sił do szalonego biegn i owe kilka staj dzielących od pałacu, w mgnieniu oka przebyli. Przepaska spadła z głowy, bujny warkocz z niej oswobodzony na siodło spadał, a wiatrem rozdęty jakby czarny żagiel wyglądał. Było coś nadludzkiego w tej niepojętej istotce.

Tymczasem ganek na wieść przybycia awangardy napełnił się domownikami, na ich zaś czele stanęła sama hetmanowa, pomimo wieku ku jesieni życia dobrze posu-

niętego, jeszcze niepospolitej krasy niewiasta. Na widok córki na spienionym koniu na oślep pędzącej, choć już nie było dla niej nowiną, to składała ręce do modlitwy, to świętym medalikiem powietrze żegnała; aż gdy dzielna jeźdźczyni jakby mąż wzrosły w obozach, osadziła a lepiej powiem, wkopała rozbieganego rumaka przed gankiem, matka odetchnąwszy pełną piersią, usiłując głos obawą i trwogą zdjęty w gniewny zamienić, ozwała się groźnie na pozór:

— Czas już mieć rozum moja mościapanno, przecie to rok osiemnasty...

— Mateczko złota, jedyna, ja w osiemdziesiątym ósmym będę jeszcze taką; niedarmo tateńko zwie mnie *hetmańską dziewką*, to naprzemian *szatankiem*, —odpowiedziała w formie uniewinnienia zadyszana dziewczyna, matkę od stóp do głowy okrywając pocałunkami.

— Ale to wszystko mniejsza!... jest! jest! i młody i przystojny!.. zagranicą uczony... gra z tatkiem w szachy—wołała skacząc i klaszcząc w ręce, to po kolei jednę, drugą z fraucymeru okręciła jak w tańcu.

— Cały spokojny dwór zawichrzyła, nikt na miejscu nie pozostał.

— Ależ kto jest? co jest? Ludo opamiętaj się—mitygowała ją matka.

— Matematyk!... młody uczony zagranicą... gra w szachy, spróbujemy się, bo ja tateczka ogrywam, - - wołała dziewczyna przerywanym głosem i znów skokami sarenki pomiędzy tłum dworzan wmieszała się.

Zaledwie zdołano jej wyperswadować, że na przyjazd ojca trzeba było strój od gali nałożyć, bowiem raz przyjętym w domu zwyczajem, każdy powrót pana, tak dwór jak i rodzina uroczyście obchodzić musiały. Stateczna

Kasia ruszając ramionami na szalone wyskoki siostry, dla stosownego przystrojenia do swoich komnat odeszła.

Swawolną Ludkę ledwo matka w niepomiarkowanej radości ujać zdołała, ale nakoniec w ręce fraucymeru poddać się było potrzeba, bo lada chwila hetmana oczekiwano. A chociaż najzręczniejsza z kamerystek, biegła w zawodzie, krucze włosy niespokojnej Ludki trefiąc, parzyła ją gorącem żelazkiem to w szyję, to ucho, wszakże pieszczoszka rada, że postawiła na swojem co do matemamatyka, — bólu nie czuła.

*
* *

Na spodziewany przyjazd pana, cały dwór świąteczną przybierał postać: milicya w paradnych mundurach pod broń się szykowała; wywieszono na bramach flagi: jednę hetmańską, a ponizej rodową z *Nałęczem*. Rozpalono pochodnie, a beczki smolne po drodze rozrzucono Wszystko od dawna już jaśniało, godziny od przybycia awangardy mijały, a oczekiwanego pana nie było. Cały dom napełnił się trwogą, bowiem wprzód przybyli, nie wiedząc o fantazyi pańskiej, która pochód wstrzymała, powodu opóźnienia wyjaśnić nie umieli.

Ludka pomimo chłodnej nocy, a lekkiej strojnej sukni, na ramionach wykrojonej, nie schodziła z krużganka; promieniem ognistego oka chcąc przebić ciemności nocne, ciągle w dal się wpatrywała: naprzemian miotała nią trwoga i niepewność o ojca, to jakiś niepokój o onego matematyka, którego ujrzeć jej było pilno. A wrzało w niej wszystko, to gniewem, to niepokojem, to trwogą, roiły się dziwne po główce zamysły; już chciała uprowadzić konia ze stajni i na spotkanie lub ratunek naprzeciw

podróżnym pospieszyć, gdy w tem czaty z wieży otrąbiły sygnał szczególny, jedynie tylko na przybycie hetmana używany.

* * *

Zaledwie stało cierpliwości dziewczynie, bo hetman pomimo spóźnionej pory, przy salutującej go milicyi zatrzymał się czas wprawdzie niedługi, który dziewczynie wiekiem być się wydawał. Nakoniec z całym orszakiem w ganku stanął, witając żonę, dzieci i domowników. Ludka jako pieszczoszka, pomijając etykietę, na szyi ojca zawisła. Lecz napróżno jej bystre oko nowego przybysza szukało. Nie zważała nawet, że miasto jednego kapelana, drugi przy nim był ksiądz, a obaj skromnie usunęli się pod kolumnę krużganka; wszakże owego oczekiwanego matematyka nie było. Biegała dziewczyna sięndy i tędy, zaglądała wewnątrz wyładowywanej basztardy i bryk, lecz wręcz pytać nie śmiała, hetman bowiem po powitaniu rodziny, przyjmował raporty rozmaitych oficerów, czem zdawał się mocno zajęty. Z pod oka jednak poglądał na niepokój dziewczyny, która gdy już wszystko obejrzała, nieznacznie poskoczyła do starego marszałka Czupy, wyładowanie obozu dozorującego, a mizdrząc się przed nim, rzekla:

— Witam was z podróży mości marszałku, a czy zdrowo przybywacie?

— Z łaski Najwyższego i do usług J. V. panienki, ot jak widzicie,—odpowiedział stary, z uczuciem przyciskając do ust podaną rączkę ukochanej panienki, którą od kolebki wypiastował.

— A wszyscy powrócili? nikt w drodze nie został?— pytała niby obojętnie dziewczyna.

— Bóg łaskaw chował nas zdrowo i w takiej liczbie wracamy jak odjechaliśmy,—odpowiadał obojętnie stary, zmiarkowawszy o co chodzi, że to już dyalog przez pana przygotowany poczynał się.

— A z Warszawy nikogo tatko nie wziął ze sobą?

— A kogóżby miał brać?

— Mnie się zdawało...—rozpoczynała dyplomatycznie dziewczyna, ale stary jej przerwał:

— Gdzie to ja mam głowę, na wieki zapomniałem, że mamy ze sobą....

— Tego młodego oficera, a gdzież on jest?—z koiei przerwała Ludka.

— Cha! cha! Otóż podobny do oficera, stary Benedyktyn, kolega niegdyś klasztorny naszego ojca Kryspiniana, oto tam obaj przysłonili się u kolumny,—odparł Czupa, ukazując dwóch duchownych skromnie usuniętych na boku, na których w ogólnem zamieszaniu nikt nie zważał.

— Ależ ten oficer, co to z ojcem w powozie jechał i grał w szachy?

— W imię Ojca i Syna... co też panienka powiada o oficerze i szachach?—zawołał stary niby wielce zdziwiony, wchodząc już w wyznaczoną przez pana rolę.

Mówił mi wyraźnie stanowniczy Gołek i cała awangarda o młodym oficerze, którego wieziecie z Warszawy,

— Cóż to oni tam spletli—odrzekł poważnie Czupa ruszając ramionami.

— Przecie nie jestem w malignie i na własne uszy słyszałam—zawołała tupiąc nużką dziewczyna.

— To już rozumiem, pozalewali łotry ślepie, damże ja im, pójdą jutro do kałauzu.

— A gdzież Ludka? pójdź tu szatanku, już podano wieczerzę,—ozwał się głos hetmana, który na pozór innemi sprawami zajęty, śledził pilnie za Ludką i radował się w duchu z rozpoczynającego się dyalogu

Jasne dotąd jak pogodne niebo oblicze dziewczyny, chmurką się zasępiło; wszakże pomimo niewyjaśnionej niepewności, na głos ojca pospieszyć musiała.

Wszyscy udali się do jadalnej komnaty, gdzie z okazyi szczęśliwego powrotu pańskiego, suto stół zastawiono.

* * *

— Macie moje dzieweczki, czegoście tak pragnęły, a szczególniej ty filutko,—mówił hetman głaszcząc Ludkę pod brodę i ukazując na drugiego księdza, który kolegi O. Kryspiniana nie odstępował —Oto jest biegły matematyk ex-przeor Benedyktynów z Łysej Góry, O. Bonawentura, towarzysz zakonny naszego O. Kapelana, a nie zważając że duchowny, równie biegły w taktyce wojennej jako i matematycznych naukach.

Na nowoprzybyłego wszystkie oczy zwróciły się, szczególnie Ludki, z tej aprehensyi łzami zaszłe, wpatrywały się w tę dziwną postać, która kryjąc się za plecami swojego duchownego kolegi, niezgrabne pokłony towarzystwu oddawała.

Ludka mimowoli rzuciwszy wzrokiem niechętnym na tę dziwaczną figurę, ujrzała mnicha zakapturzonego, oczów nawet dojrzeć nie mogła, bo je daszek zielony przykrywał. Nie wiedziała co o tem wszystkiem myśleć, czyli to było snem lub gorączkowem widzeniem? Gołek jej

bowiem wyraźnie powiadał i wcałe pijanym nie był. Aby przetrwać ten podziw, hetman ozwał się na nowo:

— O. Bonawentura jest chory na oczy i światła znieść nie może, dla tego je umbrą przykrywa. Praca mosanie nad taką głęboką nauką jak matematyka, wzrok mu styrała, podkurujemy go, wszakże w dzień dobrze widzi.

Po *benedicite*, które ojciec Kryspinian przy stosownem kiwaniu głową duchownego kolegi, zmówił, wszyscy zasiedli do stołu. Hetman był w przewybornym humorze, podżartowywał to z rodziną, to z dworzanami, wszystkim dolewał, a jak zazwyczaj, był rad kiedy mu się zamierzona krotofila powiodła.

Nowy duchowny był jak nie swój, nic prawie nie jadł, a tylko z musu coś tam do ust poniósł. Ludka zaś także, którą jakby z umysłu ojciec naprzeciwko niego posadził, nachmurzony wzrok w próżny talerz zagłębiła, niezadowolona i chmurna, głęboko się zamyśliła nad rozwiązaniem tej plątaniny sprzecznych opowieści stanowniczego i marszałka.

— Czemu aśćka, — ozwał się do niej ojciec,—nie traktujesz z szanownym ojcem o tyle upragnionej cyencyi, którą on biegle posiada?

— Zmieniłam przekonanie mój tatku i sądzę, że dla białogłowy za poważna to nauka, — odparła zadąsana dziewczyna

— Oho! tak prędko, niech cię raba suka.... Ale jak pomówisz z O. Bonawenturą, pewny jestem, że gust wróci.... No, a teraz już północ, pora do wczasu; jutro zaś panny po śniadaniu do mojego pawilonu na naukę z szanownym ojcem.

Wszyscy udali się na spoczynek i spokojnie też spo-

częli, radzi szczęśliwemu powrotowi głowy rodziny. Jedna tylko Ludka jak kapryśne dziecko, ktorego woli zadość się nie stało, trapiona gniewem i niepokojem, oka zmrużyć nie mogła; a rozmyślając nad sprzecznością opowiadań Gołka i Czupy, coś niezwykłego odgadywała. Skoro zaś sen niespokojny i gorączkowy zakrył piękne oczęta, mary i widzenia nocne jawiły przed rozognioną wyobraźnią dziewczyny rysy onego młodego oficera w konterfekcie, jaki z opowiadań stanowniczego ułożyć w myśli mogła.

Jeszcze jedno o czem nadmienić należy, że pomimo nadąsania i złego humoru, jakiego jej przyczyniła ta smutna niespodzianka zamiany oficera na księdza,—żywa Ludka pomimo umbry kryjącej wzrok przybysza, spojrzawszy mu badawczo w oczy, powiedziała sobie:

— O nie, to wzrok nie klasztorny, duchowne oczy tyle wyrazu i blasku mieć nie mogą.

*

* *

Na zamku Sosnowickim hetmański dzień more antiquo, a dobrym zaiste obyczajem, rozpoczynał się z Bogiem Wszystko co tylko żyło, na mszę w zamkowej kaplicy stawić się musiało, bo inaczej,.., byłoby opieszałemu nie z miodem. W dni świąteczne hetman po nabożeństwie odbywał paradę wojskową i milicya w pełnym uniformie występowała, w powszednie zaś znajdowali się wszyscy w kaplicy w codziennym moderunku, lecz kogo do apelu brakło, bez uwzględnienia powodu niebytności, to jeżeli starszy szedł do kałauzu, młodszy pod niemiłosierną rękę profosa. Ztądto czy przez intencyę lub obedyencyę rozkazom hetmańskim, ale nabożeństwo codzienne przykładnie odbywało się.

Nazajutrz Ludka po bezsennie strawionej nocy, kiedy się w niej ważyły opowiadania stanowniczego i marszałka, a jakieś domysły główkę jej rozrywały,—pierwsza nim jeszcze zadzwoniono, stawiła się w kaplicy.

— Jeżeli w istocie, --myślała sobie,—ów matematyk jest księdzem, za jakiego ojciec i ubiór go wydają, to już koniecznie mszę odprawi.

Był bowiem zwyczaj przyjęty, a dla mniej pobożnych domowników wielce uciążliwy, iż kiedy gościł ksiądz na zamku lub kilku na raz, wszystkich mszy jedna po drugiej wysłuchać musieli. Zatem Ludka nieźle to sobie przemyślała: wszakże, po ukończonej jutrzni O. Kryspinian mszę odprawił, a na drugą nikt nie czekał, bowiem hetman pierwszy wyszedł z kościoła, a chociaż był dzień powszedni i parady wojskowej nie odbywał, jednak tego owego przywitał, z innymi sprawy załatwiał

Ludka nie posiadała się z niecierpliwości, albowiem ów duchowny nietylko mszy nie odprawiał, ale nawet do kościoła się nie pokazał Korzystając tedy z zajęcia ojca, dopytywała ludzi o tego tajemniczego przybysza, lecz każdy dał relacyę, że gość jeszcze nie wyszedł ze swoich apartamentów i nadto nic powiedzieć nie umiał. Do reszty ogarnęły Ludkę niepewność i niepokój, a za nie pokutowały wcale niewinne: chustka, rękawiczki i wachlarz, z których kawałeczki tylko w drobniuchnych rączkach kryły się.

— Słuchajno mości Gołku, co mi waćpan splotłeś o jakimś oficerze, podróżującym z wami? Gdzież on jest?

— Najuniżeniej przepraszam JW. hetmanównę, ale wczoraj przodem jadąc zatrzymaliśmy się przy karczemce dla wytchnienia koniom.... a człek znużony podróżą zaledwie pokosztował i tak w głowie najniewinniej zaczmera-

ło; więc wybaczy JW. panienka, że może ja co splotłem, lecz jako żywo żadnego oficera w drodze ze sobą nie mieliśmy.

Tak odpowiadał niby pomięszany Gołek, któremu tajemnicę dyalogu odkrył marszałek, dworni zaś całej nakiwał, żeby język za zębami trzymała i niktby się zresztą nie poważył pańskiej krotofili zepsuć. Zatem jeden i drugi z pod komendy stanowniczego, badany przez Ludkę, podobną dał odpowiedź. A więc ruszywszy gniewnie ramionami, zmówiła sobie w duchu:

— Niech tam co chce będzie, zawsze jednak te oczy prędzej rycerskie niż duchowne. Ałe zaraz to [się wyjaśni, bo na śniadanie wyjsć musi, a w dzień tę rolę przybraną—jeżeli tak jest w istocie—trudniej mu będzie odegrać.

* * *

Nakoniec doczekała śniadania, od którego zdawało się Ludce, że ją wieki rozdzielały.

A śniadanie hetmańskie, choć w dzień powszedni, była to uczta lepsza od innej Wielkanocnej. W długiej obszernej sali zamku dwa stoły uginały się pod rozmaitą obfitością darów bożych: wszelaki drób, mięsiwa, łakocie, jadła i napoje o jakich tylko zamarzyć można. Było też komu spożywać ten chleb powszedni, bowiem co przedniejszego ze służby tak wojskowej jako i ekonomicznej u stołu pańskiego żywiło się. Dawniejsi bowiem ludzie nie tyle zważali na krój i modę sukni, a często przednie sajety z kuczbają stykały się. Dzisśejsza uczta przytem była wyjątkową, albowiem starszyzna wojskowa z okolicznych komend i sąsiedzi na powitanie hetmana ściągnęli.

Zasiedli tedy stoły. Hetman wedle nieodmiennego zwyczaju miał po prawicy najdostojniejszego gościa, a z lewej strony swoją faworytkę Ludkę; ta śledziła tylko pilnie za owym dotąd tajemniczym księdzem, a najmniejsze skrzypnięcie drzwi, odwracało jej uwagę od rozmowy z gośćmi i ojcem, którym z widocznem roztargnieniem odpowiadała:

— A rozumiem mościa panno tę twoję dystrakcyę, chodzi ci zapewne o matematyka O. Bonawenturę, który jako nie nawykły do dalszych podróży, zwyczajnie mnich w nieruchliwości klasztornej życie pędzący, musiał dziś użyć przydłuższego wczasu; atoli bądź spokojna, na pierwszą lekcyę stawi się, bo co do wszelkich obowiązków człek wielce rigorosus – nieprawdaż O. Kapelanie, bo wy się dawno znacie?

Biedna Ludka jak na rozżarzonych węglach przebyła to nieszczęsne śniadanie. Goście nakoniec rozjechali się, to rozeszli, ów do pracy, ten do zabawy.

— A teraz mości panny chodźcie do mojego pawilonu, tam już zapewne czeka O. Bonawentura.

Ludka nie dała sobie powtórzyć rozkazu i obie hetmanówny za ojcem pospieszyły.

Za wejściem do pierwszej komnaty, ujrzały stosy ksiąg i matematycznych narzędzi, przy których siedział młody oficer; na widok ten Ludka nie była w stanie powstrzymać silniejszego nad jej wolę i przystojność dziewiczą zachwytu i czerwieniąc to blednąc, prawie bezwiednie wykrzyknęła:

— Ach! to on, jam go wyśniła! ...

Twarz statecznej i poważnej Kasi okryła się za siostrę rumieńcem wstydu i w surowej przestrodze szepnęła do niej:

— Ludko, kompromitujesz się.

Młody oficer stał blady i drżący, czarne jego oczy na pięknem obliczu czarnobrewej czarodziejki spoczęły.

Szczęściem, że hetman cały zajęty rozwiązaniem osnutego przezeń dyalogu, całą tę scenę niedostrzeżoną dla niego, głośnym a serdecznym śmiechem zagłuszył.

— Cha! cha! prezentuję wam dziewki O. Bonawenturę ex-przeora, niech cię raba suka.... cha; cha! cha!

Zaraz tedy na ten akt rozplątania krotofili zawezwał wszystkich domowników i gości jeszcze pozostałych, a śmiał się do rozpuku i śmieli się goście, bo kielichy na wiwaty dla mniemanego O. Bonawentury i na uczczenie pańskiego pomysłn zjawiły się. Niezawodnie że hetman był jednym z weselszych ludzi swojego czasu.

Ludka także z innymi śmiać się musiała, lecz już tylko śmiechem gorzkim i wymuszonym; ten jej bowiem dawny lat dziecinnych, pusty, a jak świegot ptaszków wesoły, bez widocznej przyczyny nagle ją opuścił—a czy na długo?—Dowiemy się.

*

* *

Żal mi prawdziwie tych zarozumiałych powieściopisarzy, a nieraz śmieję się z nich do rozpuku, jak oto pan hetman ze swojej krotofili, — co to rzucą jedno i drugie słówko o dwojgu ludziach, a potem łudząc się sami, zda się im, iż przez zręczne wykręty omamią czytelnika aż do ostatniej karty i dopiero w piątym wierszu od końca, usuwając nieprzepartą mocą gęsiego oręża wszelkie przeszkody, które notabene sami natworzyli, stawią zakochaną parę na ślubnym kobiercu, ku większemu zadowoleniu pani sędziny, ażeby zatabaczoną chustką tarła oczy, a jako wspomnienie słodkiej przeszłości, wiernego sędziego po-

częstowała tabaczką, autora zaś taką apologią:

— Piękna co się zowie powieść! A tak i stanęło na mojem, że Pompiliusz poślubił Numę, — tak to lubię, a zdawało się że wcale nie kochali się.

Mnie z tobą łatwiej się porozumieć młoda czytelniczko, — osobliwie jeżeli pała w twojem oku taka iskierka *szatanka*, jak u onej Ludki: w takim razie rzuć książkę, nie masz czego dalej szukać, bo już masz ostatnie, a zaiste miłe słowo, piosenki...

„Pokochali się!”

Tyle dla was, cały zastępie czarno i jasno okich, co wybaczacie popędy serca, które umie silniej uderzyć, bez taktu wyrachowanego przez prawa harmonii. A więc z wami moje aniołki skończyłem.

Ty zaś panie Zoilu, który dziurę w twoim szlafroku, głód, brak dygestyi, zimny piec, lub każdą niesnaskę domową, rad jesteś powetować na pierwszej lepszej zadrukowanej karcie — na zapytanie twoje:

— „Czem pokochali się na pierwsze wejrzenie, tak z dobra dziwa?”

Odpowiem innem zapytaniem. „A czy pochwyciłeś kiedy twoją *Tomaszową* prawicą ów prąd elektryczny, ba, może jeszcze niż ten silniejszy a niedocieczony, kiedy płynie, albo lepiej uderza mocą pioruna z jednego serca w drugie, z modrego oka w czarne i t. d. Prąd przebijający perswazye matek, surowość ojców, argusową czujność starych ochmistrzyń? — Owóż dla czego pokochali się? Czyli jeszcze mnie nie pojąłeś szlachetny Zoilu? W takim razie rzuć ten odcinek i przeczytaj sobie rubrykę z *Kuryera*, tak np. „*Stan wody na Wiśle*,” bo i dalej nie zrozumiemy się.”

Do was zaś ognio-okie czytelniczki w formie pozdro-

wienia powiem w języku Gallów, którego (iż tak rzeknę w nawiasie, zapominając mile w ustach waszych koralowych brzmiącej mowy matek) rade używacie:

— *A bon entendeur salut!*

I dla was tylko, a wcale nie dla zoilów, dalej opowieść prowadzić będę.

*
* *

Rozpoczęła się nauka matematyki, a przy biegłym nauczycielu, chętnych i pojętnych uczenicach, nie mogła jak tylko szybko postępować. Szczególniej Ludka zastanawiała głębokiem pojmowaniem i bystrością rozwiązywania najzawilszych trudności; cała się poświęciła nauce, a od tego zajęcia trudno ją było oderwać, — co zaś ją więcej pociągało: czy nauka, czy nauczyciel?—to zagadka.

Pan hetman tylko niekiedy zwracał uwagę:

— Coś mi aśćka zposępniałaś przy tej matemtyce i jeżeli mi humoru nie odzyskasz, to uczyć się przestaniesz.

Wtedy dziewczyna wygrzebywała dawną już popielejącą wesołość, ażeby rodzica rozerwać i surowego dla siebie wyroku uniknąć. W ten sposób ku zadowoleniu wszystkich nauka szła swoim torem.

Młody oficer nie poprzestawał na obowiązku nauczyciela córek hetmańskich, któremu lubo gorliwie oddany, lecz jeszcze czas wynalazł na musztrowanie milicyi i co dnia po kilka godzin to piesze, to konne ewolucye, a nakoniec strzelanie do celu z załogą zamku odbywał. Wszystkiego tego Ludka bywała nieodmiennym widzem i wszędzie gdzie się Tadeusz udawał, ona znalazła powód choć zdala mu towarzyszyć. Nakoniec objął on komendę nad

hetmańską milicyą, a tak ją wyćwiczył, że starszyzna wojskowa z dalszych stron przybywała tę nowość podziwiać, sumienniejsi zaś przyznawali się że na naukę do Sosnowicy ściągali.

Już tedy sam hetman dostrzegłszy postępów w wojsku, mawiał do dowódcy:

— Niechże cię raba suka, ja ci nic nie mówiłem, chociaż byłem wewnętrznie przekonany, że ta wasza taktyka książkowa na diabła się nie zdała, a tu tymczasem waść nas w kąt zapędziłeś.

Sam częsciej niż wprzódy asystując przy manewrach, pilnie się im przypatrywał, mając zawsze ulubioną córkę przy boku. Na pewnej tedy mustrze gdzie się oboje znajdowali, Ludka stojąc przy ojcu dostrzegła pomyłki w pewnym manewrze, a jako z natury gorąco kąpana,

— A to co, zepsuli cały szyk — zawołała z oburzeniem, a zapomniawszy o biernej roli spektatorki, komenderowała:

— Pierwsza kolumna zwrot w prawo — i t. d.

Wojsko czy to jako hetmańskiej córki, czy że lubiło swoję panienkę, posłuchało komendy i szyk wnet się sprawił.

Krew żołnierska zagrała w starym hetmanie, chwycił Ludkę oburącz, podniósł z ziemi i w uniesieniu zawołał:

— To mi hetmańska córka!

Po chwili rzekł niby na pół gniewnie:

— Ale wcóż to się podwiki wdają? Nie dla Penelopy Marsowe dzieło; że się aśćce raz udało, wielkie dziwo, lecz poprowadź szyk z początku i nie zmyl do końca, to dopiero sztuka; a nie pójdziesz do kądzieli!

— Oho! zakomenderuje lepiej niż tatko — odpowiedziała hardo, bez namysłu dziewszyna. A potem z nadą-

saną minką dodała: — nie wiem dla czego mnie Bóg chłopcem nie stworzył, a przez całe życie byłabym żołnierzem.

— Owóż to wasza białogłowska prezumpcya — rzekł hetman na ten raz z prawdziwą wymówką — że nad czem ludzie w obozach siwieją, wy to jakimś instynktem chcecie zdobyć i zdaje się wam żéście posiadły.

— Szkoda że nie mogę tatka przekonać.

— Czemu nie — odparł hetman, a zwracając się do milicyi, dodał głośno:— Dzieci! czy nie weźmiecie sobie za deszpekt, że dziewka będzie wami komenderować?

— Chętnie JW. panie. Wiwat nasza kochana panienka!—zagrzmiało w szeregach.

— A cóż teraz będzie mościa panno, zacznijże mi cały manewr z początku i do końca doprowadź.

Jeszcze nie skończył hetman, kiedy Ludka jedną rączką zgarnąwszy spódniczki, a w drugą schwyciwszy szpadę Tadeusza, na czele szeregu stanęła, a sprawiwszy szyki, rzecz całą jakby najświadomszy komendant do końca doprowadziła.

— Wiwat panienka nasz rotmistrz! — zawołała milicya po skończonej ewolucyi.

— Niechże cię raba suka gryzie moja ty dziewko!— zawołał hetman z wyrazem rodzicielskiej dumy, a zwracając się do milicyi dodał:

— Nowy rotmistrz prosi na poczęstne i na trzy dni wyznacza porcyę podwójną niedzielną, żonatym zaś udziela abszyt pięcio-dniowy.

— Wiwat panienka nasz rotmistrz! — dał się słyszeć okrzyk radości, ktory tę scenę zakończył.

Onego nowego rotmistrza uradowany ojciec poniósł

do domu na silnych barkach jakby niemowlę, a wiwaty wojska im towarzyszyły.

Wprzód jednak hetman ucałowawszy młodego oficera w oba policzki przemówił:

— Gdyby mi Bóg nie zabrał syna, oddałbym tobie, abyś z niego zrobił jak sam rycerza.

— To oddaj mu córkę — na ręku ojca zmówiła w duchu rozweselona dziewczyna, a na samą tę myśl, twarzyczkę oblaną rumieńcem na rodzicielskiej piersi ukryła.

* * *

Pan hetman nie przebierał w środkach i nie bardzo baczył na skutki, skoro szło o wyprawienie krotofili i zabawy. Cały dzień nie posiadał się z radości, odkrywszy w ulubionej córce nową rycerską zaletę; wieczorem zaś Czupa, wierny jego sekundant i doradca we wszystkich dyalogach, znajdował się z panem na tajemniczej naradzie.

Za dni kilka po obwołaniu Ludki przez milicyę rotmistrzem, przypadł dzień 25 sierpnia, św. Ludwika imieniny ukochanego dziecka, fest najsolenniej na zamku hetmańskim obchodzony. Już w wigilię zjechała się siła gości, matron poważnych i dzieweczek, a więcej wojskowych rozmaitych stopni, bo i kilku generałów na uczczenie hetmańskiego festynu ściągnęło — już z wieczora kapela grała i tańcami zabawiano się.

Panienka-rotmistrz, według dawno przyjętego zwyczaju, pierwsza w domu ze snu zrywała się, szczególnie zaś od czasu onych tryumfów wojskowych nikomu uprzedzić się nie dała — tak ją nęciła nowa taktyka przez młodego oficera wprowadzona, a może bardziej jeszcze sam taktyk. Dzień zaś jej święta z wielu powodów wy-

magał szczególnego zakrzątnienia się, raz że wcześniejszem wstaniem ze snu gościnność nakazywała rówienniczki uprzedzić, ale co ważniejsza, od czasu przybycia młodego oficera, miała się odbyć pierwsza parada nowego rodzaju, o jakiej tu jeszcze nie słyszano, a potem różne niespodzianki solenizantce gotowane, lecz ona jako wścibska, a żywej natury, wszystko przed czasem wykryła. Otóż tyle było powodów aby jasne oczy Ludki słońce, swojego rywala, uprzedziły i nim ten w całym blasku zajaśniał, już jej oczęta świecąc, patrzyły na świat boży.

Z wieczora dziewczyna wydała rozkazy kamerystkom co jej do ubioru mają nagotować: Najprzód strój krutki w jakim zwykle przed wojskiem stawała, potem suknię z ogonem na dzień, a lekką do tańca wieczornego i to wszystko miało się o jej przebudzeniu znajdować w komnacie. Atoli ku wielkiemu zgorszeniu i niemniejszej niecierpliwości, dojrzała, że na zwykłych miejscach zapowiedzianych strojów, nie było; a ponieważ niewiasty a szczególniej czarnobrewe hetmanówny, czekać nie lubią, szarpnęła co sił za sznur od dzwonka i do przybywającej służebnej niecierpliwie przemówiła:

— Dla czego nie nogotowane stroje, jak wczoraj rozkazałam?

— Wszystko do gotowalni panny hetmanówny przyrządzone — odparła pokornie kamerystka, ukazując na dwa stoliki, mieszczące na sobie mundur, broń i całą amunicyę wojenną.

— Małgosia dopuszcza się niewczesnych żartów! — gniewnie wykrzyknęła hetmanówna. — Cóż to jest za uniform i kto go poważył się tu złożyć?

— A to jest strój *panienki-rotmistrza*, który JW. het-

man kazał przygotować — śmiało i figlarnie kamerystka odparła.

* * *

Ludka zerwała się na równe nogi i poskoczywszy do miejsca gdzie strój leżał, a w każdym szczególe najdokładniej go obejrzawszy, szalała niemal z radości. Był to strój oficerski; do tego zgrabna szpada na białym pendencie z bawolej skóry, ładownica na srebrnym pasku, ubiór spodni biały kaszmirowy, buciki z żółtemi sztylpami i furażerka z czarnym barankiem.

Nie trzeba powiadać, że żaden żołnierz alarmowym bębnem w obozie podjęty, nie ubrał się tak prędko jak hetmanówna, bo w oka mgnieniu już była gotową, choćby zaraz stanąć w szeregu lub na czele kompanii. Wszakże skoro przyszło do czapki, stanęła w poprzek trudność nieprzełamana; bujny bowiem warkocz kruczy wyrwawszy się z więzów nocnego czepeczka, dopełnieniu onego rycerskiego stroju sprzeciwiał się; napróżno dziewczyna niecierpliwiąc się niemiłosiernie, mięła i targała gęste włosy przeciw jej woli zbuntowane, aż Małgosia zdjęta litością wołała:

— Niech się panna hetmanówna uspokoi, zawołam Sancewiczówny, to ona pannę utrefi.

Sancewiczówna była to nadworna ochmistrzyni fraucyemeru, najbieglejsza w kunszcie fryzyerskim.

— Ej co mi tam Sancewiczówna, ja tu z niemi po naszemu, po żołniersku poradzę.

Zmówiła niecierpliwie dziewczyna, a chwyciwszy nożyce z gotowalni, objęła drobną garścią, najcudniejszy może wówczas na cały kraj, zwitek hebanowych warko-

czów jedwabnej miękkości i śmiało drugą ręką zapuściła w nie mordercze żelazo, które zapłakawszy piskiem i zgrzytem, zdawało się wzdragać przed popełnieniem świętokradzkiego czynu.

— Na rany Chrystusa! Co panienka robi!—wołała w rozpaczy Małgosia, zalewając się łzami, lecz przekonana, że jej prośby nie skutkują,—pójdę powiem mamie, pani hetmanowej—i wybiegła z komnaty.

* * *

Niebawem ukazała się pani hetmanowa, za nią starsza córka i cały fraucymer. Osłupiały wszystkie, widząc Ludkę w mundurze milicyi, już w furażerce dobrze przystającej do ostrzyżonej główki— jak przed zwierciadłem musztrę z obnażoną szpadą odbywała, a włosy krucze, ozdoba tej nadobnej główki, całą komnatę załegały.

— W imię Ojca i Syna!...—Cofnęła się hetmanowa na ten niespodziany widok i długo stała w oniemieniu.

— Ludko, Bóg z tobą, cóżeś to uczyniła i zkąd ten strój? Czy zmysły postradałaś?

— Nie, droga mateczko, oto jest zaszczyt, którego dziś dostąpiłam.

Odpowiedziała dziewczyna, rzucając się w uniesieniu na szyję matki i podała jej papier znaleziony w ładownicy—a był to najformalniejszy dyplom z podpisem i pieczęcią hetmańską, na rangę oficera w jego przybocznej chorągwi, na imię własnej córki wydany.

To wiązanie tatka na moje święto i prawda, że lepszego dać mi nie mógł, moja droga mateczko!

Nadbiegła za panią stara Sancewiczówna, a frasobliwie lamentując, zbierała z ziemi ten bujny warkocz, któ-

ry tak często z pod jej biegłego żelazka się wymykał i poczciwina w serdecznej chęci a prostocie ducha, przykładała do osieroconej z ozdób główki dziewczyny, jakby tam jeszcze przyrość mogły.

— O Boże mój Boże! To nowy dyalog jegomości,— smutnie potrząsając głową szepnęła hetmanowa.

Jakoż nie omyliła się, gdyż i dwór cały jakiejś nowej krotofili ze strony pańskiej wyczekiwał: bowiem niedaremnie Czupy cały tydzień nie było w domu, jeździł dokądciś z pierwszą modystką nadworną hetmanówien. Ta wprawdzie niby wzięła abszyt do chorej matki, ale wyklarowało się, że byli w Brześciu Litewskim, gdzie biegli krawcy pod ich dozorem ten oto uniform dla Ludki przygotowywali:

* * *

Za ogólnym popłochem białogłowskiego dworu i hetman do komnaty córki pociągnął, a z gęstą miną i rad sobie, jako jeden trzymający nitkę tego poplątanego kłębka całego dyalogu; wszakże na widok tego niewieściego orszaku we łzach tonącego i głoszącego lamenty, niepomału się zatrwożył, a nim zapytać zdążył, pierwsa Sancewiczówna doń podbiegła i oburącz ująwszy bujny warkocz z ziemi zebrany, ze spazmatycznem łkaniem wołała:

— JW. hetmanie, co za nieszczęście! Bóg nas ciężko pokarał! honor pańskiego domu...

— Co tam pleciesz babo, niech cię raba suka, o honorze domu! Póki ja tu stoję na nogach, wara o tem wspominać! Mówcie mi zaraz, niech was raba suka, a wyraźnie, co się stało, czego beczycie?

Przerwał gniewnie hetman, nie spostrzegając włosów

w ręku Sancewiczówny, która nakoniec oprzytomniona pańskim gniewem, wznosząc warkocz do góry, poprzestała na okazaniu go panu, bo ciężki frasunek mowę jej w piersi wtłoczył. Widok ten i ojca ścisnął za serce, a pierwszy raz może w życiu kając się nad dyalogiem, nie był rad konkluzyi i sierdziście podbiegając do faworytki, groźnie wykrzyknął.

— Niech cię raba suka, coś ty waryatko uczyniła?

Ludka, która od przybycia ojca stanęła jak jej regulamin wojskowy nakazywał, przed starszym i wyprężona jak struna, ręki od furażerki nie odejmowała, wcale nie zmieszana jego gniewem, nie podawszy w tył kroku, śmiało i wyraźnie odpowiadała.

— JW. hetmanie! regulamin wojskowy głosi; że opór nieprzyjaciela przemożony być winien siłą; te oto włosy opierały się furażerce i...

— A niechże cię raba suka gryzie, ty jedyna moja córko hetmańska! Zawołał hetman w miłośnym zapale, a wzniósłszy dzieweczkę żołnierza z ziemi, do piersi ją tulił i gorącemi całowaniami okrywał, a sam śmiał się to płakał na przemiany, nie tamując rodzicielskiej dumy i miłości.

— A niech mnie raba suka gryzie, to wierutna pomyłka, że ona nie chłopiec i w to nie wierzę, aby taki dzielny żołnierz mógł być podwiką. Co to za moc charakteru, to nie baba, u której włosy długie a rozum krótki. Owóż postąpiła sobie z kosami jak Aleksander Macedoński z węzłem gordyjskim; bo to tak po żołniersku, czego nie można rozplątać, to przeciąć i basta.

A zwracając się do Ludki w tonie komendy wojskowej, zmówił:

— No, mości oficerze, idź teraz odbierz raporty od

komendy i zrób repetycye musztry, bo jak mi pokpisz sprawę, to do kałauzu na chleb i wodę. . marsz!

I dziewczyna krokiem miarowym, pewnym, jakby stary wyga obozowy, przeszła salutując komendanta i opuściła komnatę. Co widząc hetman zwrócił się do żony i rzekł:

— Co to za krok! niech mnie raba suka!... Powiadam ci...

— Mój jegomość... przerwała nieśmiało hetmanowa.

— Ależ na sumienie ci powiadam moja panno, że pułkownik Wodziński, pierwszy instruktor szkoły rycerskiej, nic mu nie zarzuci. Oj! szkoda, że tu nie ma wielkiego litewskiego Ogińskiego, gdybym mu ją pokazał!....

— Mój jegomość!—ozwała się bojaźliwie hetmanowa —poddając się przez całe życie mojej doli posłuszeństwa, jaką mi Stwórca wyznaczył, jednak za wolą waszą niech mi wolno będzie dopnścić się tej obserwacyi: czyli to dobrze mój panie poczynacie sobie z tą dziewczyną? Wszak wojskowość nie nasza to białogłowska zabawa, sprzeciwia się przeznaczeniu kobiety, a może i naszej Ludce zczasem Bóg zeszle inne obowiązki...

— Zeszle, zeszle moja panno i czemu nie ma zesłać, a wtedy jak oto dziś, powiem: „na lewo w tył i marsz do kobierca",—odrzekł hetman słodko, a całując zafrasowane, ale jeszcze piękne czoło małżonki, wyszedł z komnaty.

— Ach! żeby nie było za późno — szepnęła z westchnieniem, za odchodzącym mężem hetmanowa.

Sancewiczówna ciągle trzymając warkocz, lamentować nad nim nie przestawała.

Wszyscy rozeszli się do krzątania około domu, który liczniejszemi gośćmi miał się dziś napełnić.

A tymczasem najszczęśliwsza ze wszystkich panien-

ka-rotmistrz odbywając z milicyą ćwiczenia przy boku Tadeusza zapomniała o wszystkiem i na myśl jej ani razu nie przyszło: czy miała kiedy długie włosy?

* * *

Wyprawił że pan hetman krotofilę, prawda, że to już była ostatnia w życiu, ale koniec dzieło pochwalił.

Nie potrzeba powiadać, że wszyscy przejęli się wyznaczonemi rolami, a nawet biedna matka, jakkolwiek bolejąca nad włosami córki. Albo to kto z was nie wie, że jak bez woli Bożej włos nam z głowy nie spada, tak każdy włos z główki dziecięcia spadnięty, matką ciężko przeboleje. A cóż dopiero powiadać o takim zwoju, nad wszelkie przednie i misterne tkaniny rozkoszniejszym.

Kto zaś ciekaw wiedzieć przeszłość tej historycznej kruczej kosy, to wam powiem, że jeszcze w pierwszej ćwierci dzisiejszego stulecia, w Ratnie, rezydencyi wdowy hetmanowej Sosnowskiej, widziano gęsty splot czarnych włosów w złotej oprawie, pod obrazem św. Ludwika, nad łożem strapionej matki, która ciągnąc wiek nad miarę, wszystkich swoich przeżyła i snadź oczy nad niemi wypłakawszy, ociemniała na starość.

Rano poczynał się ów dzień najsolenniejszy w kalendarzu hetmańskim; już o pierwszym dzwonku w kaplicy wszyscy goście znajdowali się na zamkowej sali, a nietylko w przeddzień przybyli, ale nawet i przybywający gwoli większej attencyi dla dygnitarza ojca i solenizantki córki, starali się na nabożeństwo zdążyć. Nie mieli czasu do stracenia, bo z celebrą oczekiwał brat hetmański, wprawdzie *in partibus infidelium*, ale zawsze biskup.

Przy gościach strapiona matka dla dogodzenia fanta-

zyi męża, musiała pomimo zakrwawionego serca, wejść w nową rolę i exkuzować młodszą córkę, iż rzekomo dla niedyspozycyi potrzebując dłuższego wczasu, dopiero po nabożeństwie gościom submitować się będzie, Kasia przed dziewczętami tę samą rolę odegrała.

Tymczasem milicya po ukończonej próbie ustawiła się w dwa długie szpalery z chorągwiami i działami, od zamkowego krużganku do kaplicy; na czele pierwszej chorągwi przy Tadeuszu, który mu miejsca komendanta ustąpił, stał młody oficer; wszelako tyle sprawiał dystrakcyi swoją osobą, iż należytego spokoju w szeregach niepodobna było utrzymać, bo nietylko młodzi ale i starzy na nowego komendanta oglądali się.

* *
*

Orszak gościnny udawał się do kaplicy, wprzód dostojniejsze matrony, niewiasty i dziewczęta, za niemi dopiero starszyzna wojskowa w towarzystwie hetmana, wszyscy w paradnych uniformach; a skoro ukazali się przed wojskiem, kotły i trąby zagrzmiały, ze szmigawnic i moździerzy na wałach salwy dawano.

Hetman lubo starszego nad sobą między gośćmi nie posiadał i przy nim de jure komenda zostawała, lecz dla respektu rezygnował ją najwyższemu rangą gościowi, generałowi artyleryi litewskiej Sapieże, chociaż bezwątpienia najmłodszemu między starszyzną militarną wiekiem, bo wówczas i trzydziestu lat nie liczył. Ten gdy się do szeregów przybliżył, pilnie i z pewnem niedowierzaniem wpatrzył się w młodego oficera na prawem skrzydle, jakby chciał dać do poznania, że jakaś niestosowność go razi.

— A skądżeś to jegomość sobie takiego adolescensa

oficerka wypisał?—rzekł nakoniec do hetmana tuż obok stojącego.

— Jest to siostrzan mojej żony, w zagranicznych militarnych szkołach kształcony, a właśnie proszę cię generale weż go w obroty, bo jako sam znawca, chcę ażebyś zadecydował, co on umie — odparł hetman, zmuszając się do utajenia śmiechu, a rad, że krotofila dobrze się rozpoczyna.

— Toż to chyba na obczyznie oficery rosną jak fasola, sam przecie tam się uczyłem, lecz czegoś podobnego widzieć mi się nie zdarzało; jeszcze brody nie goli, a już na prawem skrzydle i starymi wygami dowodzi, oho!

— Powiem waszmości, niech cię raba suka, teraz wiek przyszedł na to, żeby jaja nad kury pomądrzały, a jednak raczcie ino skomenderować, a przekonacie się, że malec sprawy nie pokpi.

Generał Sapieha oddał zwykłym głosem komendę oficerowi; Ludka zaś z całej piersi dobywszy dźwięcznego tonu, niby dzwonek z czystego srebra ulany, napełniła powietrze słodką harmonią, która donośnem a wcale nie rażącem echem jak strumień szemrzący, po szeregach przepłynęła i każdego doleciała słuchu.

Serce hetmana nurzało się w rodzicielskiej pysze, niemniej też i dumę autora dyalogu ambicya głaskała, nie wytrzymał i szepnął do Sapiehy:

— A co głos, niech go raba suka!

— No głos jak głos, ale uważ waszeć, co za krok, jaka postawa w takim młodziku, bo to istny jeszcze dzieciak.

Odpowiadał generał, cały zajęty rozpoczętym marszem, ktory Ludka prowadziła. Że sam także był zagranicznej szkoły, a taktyk nieposledni, maszerując przy niej,

w pierwszym szeregu, brał ją na różne militarne experyencye, ale dziewczyna w niczem nie zmyliła.

Tymczasem pomiędzy gośćmi a szczególnie białogłowami, powstały szepty.

— Ależ to nie kto inny, tylko córka hetmańska.

— To Ludka! — mówiły dziewczęta, otoczywszy hetmanowę i Kasię, które jak mogły odcinały się i mimo wstrętu, dla całości dyalogu, do kłamstwa uciec się były zmuszone.

Dziewczęta, jako na podszept ciekawości mniej wytrwałe, dotarły do apartamentów Ludki, lecz tam przewidujący twórca dyalogu wszystko stosownie urządził i Małgosia odprawiała ciekawe, szeptem:

— Panna hetmanówna przez całą noc cierpiała na zęby i teraz dopiero ledwie usnęła.

Bardziej zaś wścibskie, które zbyć się tem nie dały, podprowadzała na paluszkach do łóżka, gdzie już jednej z fraucymeru, hetman nakrytej z głową kazał się położyć na miejscu Ludki i śpiącą w razię potrzeby udawać.

Nie mogł Sapieha nacieszyć się młodym oficerem i jego znajomością taktyki, którą na wsze strony sponetrowawszy, tak się zentuzyazmował, że go w oba policzki ucałowawszy, rzekł:

— Mój kawalerze, jeżeli równie jesteś biegły w artyleryi, jak w piechocie, zrobię cię namiestnikiem mojej chorągwi.

Tu już program dyalogu przekroczył zamierzoną granicę, co niepomału ukontentowało hetmana, aż ręce zatarł z radości.

Panienka - rotmistrz chociaż ponsem dziewiczego wstydu oblana, przyjęła to jako zaszczyt wojskowy i salutowała należycie starszego. Rozumna to była dziewka

i wiedziała o tej prawdzie: że wlazłszy w kosz trzeba być grzybem. Tylko matka i Kasia z wymówką popatrzywszy na męża i ojca, zajętego dyalogiem, ramionami ruszyły.

Sapieha cały manewr na nowo chciał rozpoczynać i gdyby ksiądz biskup, znany z tego, że długo naczczo zostawać nie lubiał, nie kazał we wszystkie dzwony, jakby na gwałt, uderzyć, byłby Sapieha zamęczył młodego oficera razem z całą milicyą. Więc do kościoła wszyscy udali się, a zziajaną komendę rozpuszczono.

Hetman nie posiadając się ż radości, szczerze Bogu dziękował, że tak mu się krotofila powiodła.

* * *

Podczas kiedy goście byli w kościele, Ludka po odniesionych wojskowych tryumfach wyrwała się z szeregów i pospieszyła do swoich apartamentów, gdzie na nią fraucymer z nową metamorfozą oczekiwał, tak bowiem nakazywał program dyalogu.

Kamerystki, choć na wymaganej przez hierarchię społeczną odległości, będące także świadkami tryumfu swojej panienki, nie mogły się nią dość nacieszyć, a skoro ją dopadły to w ręce całowały, to do kolan się chyliły, a starsze zatem śmielsze, w objęcia ze łzami chwyciły.

Wystąpiła i ochmistrzyni fraucymeru Sancewiczówna, owa to właśnie stratę warkocza gorzko opłakująca, bardziej nad inne poufałą jako niegdyś Ludki piastunka, a przyciskając swoje ulubione dziecię do serca, przez łzy radości mówiła:

— A wiecie droga panienko, że się naszemu panu ten dyalog udał, bo gdy ujrzałam, jak was generał artyle-

ryi całował, to już zaraz myślałam: otóż moja panienka będzie generałową i do tego artyleryi....

— Dajże mi tam pokój moja Sancusiu, a nie pleć.

— Już to stara Sancusia jak co plecie to zawsze wyplecie się coś z tego, a najprędzej rozmarynowy wianek; bo generał cmok raz, a sroczka zaskrzeczała na jaworze, cmok drugi, a ona sobie.. każdą razą do góry, nie na dół, to już pewny prognostyk... Ale ja do pannunci mojej mam suplikę, tylko na rany boskie, żeby mi nie zrekuzować — zakończyła stara gaduła składając ręce jak do modlitwy.

— No, cóż, może cię przyjąć do mojej komendy na dobosza?

— O Matko Święta, a chrońże mnie na starość od takiego deszpektu!..

— A więc cóż?

— Już ja tych czarnych kos, przemytych mojemi łzami od dzieciństwa waszego, nigdy dość nie opłaczę; atoli skoro już złego odmienić nie można jakoś na to radzić potrzeba: niechże panienka z łaski swojej posiedzi mi jedną i drugą minutkę spokojnie, ja tak zatrefię *ala montyszpan* (*) pozostałe włosy, że nikt się na tem nie pozna. Siadajże moje złotko, moja ty generałowo!...

— Nie, nic z tego nie będzie, albowiem ja czy to jako wojskowy, czy jako niewiasta, dalej nad rangę porucznika nie patrzę.

— Chryste Jezu! co też gadasz moja pieszczotko, ty porucznikową, o Boże, niech tego niedoczekam!...

— Chcesz mnie uczesać jako porucznikowę według

(*) Czy nie będzie to *à la Montespan*, fryzura damska natenczas w modzie.

mojej rangi, to ci będę siedziała spokojnie, a inaczej nie dam ruszyć głowy.

— Do woli twojej moje złotko—odrzekła z rezygnacyą Sancusia; a w duchu sobie dodała: Już ja za to dziesięć świec funtowych przed cudowny obraz ofiaruję, żeby na mojem stanęło .. niedarmo on całował, a sroczka skrzeczała!

Tem pocieszona Sancusia wzięła się do wielkiego dzieła, w którem biegłości jej nikt nie dorównał, a gdy jęła wróżyć i dosztukowywać, brak ów przez nią opłakany, jakby pod czarodziejską ręką zapełniał się i znikał. Bo Sancusia była arcybiegłą w swoim kunszcie.

*
* *

Ludka czarująca i powabna, jakby Wenus nowonarodzona z piany morskiej, wyszła z pod biegłych rąk fraucymeru; suknia amarantowa z tureckiego kaszmiru, (co to posiadał tę zaletę lekkości, iż przez pierścień całą jego sztukę przeciągano), szczerozłotemi muszkami osypana, uwydatniała jej kształty, a tak czyste i bez zarzutu, iż snycerz goniący za sławą, jako wzór nabyłby je za cenę połowy dni żywota. Bramowanie z koronek i leciuchnych tkanin, kwiatami przeplatane, coś napowietrznego jej wiotkiej kibici nadawały; białe zaś na pół obnażone ramiona i szyja łabędzia, przedziwnie od jaskrawych barw sukni odbijały. Całość to była mistrzowska, jakby dzieło najkunsztowniejszego pędzla lub dłuta, a dopełniały je dwa żywe rumieńce, złożone z dwóch barw, których tajemnicy ręka śmiertelnych niebu nie wychwyciła, młodości i szczęścia. Nie zaprzeczycie, że pierwszy ją przymiot okraszał, te bowiem ogniste oczy, ośmnaście zaledwie oglą-

dały wiosen. A czy była w tej chwili szczęśliwa? Zbyteczne pytanie: bo czyliż można być szczęśliwszym nad tego, komu się zdawało jak Ludce, że już wyśnił sny urocze młodości, a jej mary w czyn wcielał. Młodość bowiem, miłość i nadziaja! toż troistość ożywcza, gotowa kamień martwy poruszyć, a cóż dopiero gdy w ciepłem, pełnem życia sercu zagości.

Owoż teraz dopiero dyalog hetmański mistycznie oplątaną sieć w całcj pełni rozwinął, kiedy to nie ziemskie widziadełko stojąc na ostatnim stopniu krużganka, otoczona niezrównanym wdziękiem i krasą, jak najpyszniejsza królowa w swoim majestacie, wracających z kościoła gości witała.

A dziwna to była dwoistość natury w tej dziewczce — i jak w szeregach wojskowych stała murem niewzruszonym, każdy zaś jej ruch męzkiego i rycerskiego ducha znamionował, tak teraz zniewieściała miękość w każdem najmniejszem poruszeniu, gibka postawa, rozkoszna a wątła całość, ktorą zda się lada silniejszy powiew z ziemi uniesie, oddalały wszelkie przypuszczenie, ażeby ów dzielny żołnierz i słaba niewiastka w jednej mieściły się istocie, a jednę i tę samę powłokę dwa sprzeczne duchy zamieszkiwały.

Owoż w czem leżała zaleta dawnej naszej niewiasty, do której stosowano prostą gadkę, iż była do stroju i do łoju. Tak i Ludka z mieczem w ręku i w domowem życiu, była żołnierskiem dzieckiem, *córką hetmańską*, jak zwał ojciec, a przy prozopopei, w paradnych szatach, godna jak jaka święta z martyrologii, dumna jak przystało senatorównie. Lecz w tej dzikiej niczem nieujętej naturze, zawsze krew gorąca w końcu zawrzała, bo to już chciał Stwórca, że wody nie nalał jej w żyły.

*

* *

— Owoż to ten sam oficer. — Nie, to niepodobna.

— To była Ludka. — Gdzie zaś...

Powstały szepty w grupach, na widok dziewczyny. Wszyscy ją uprzejmie witali, składali życzenia, ona zaś każdego udarowała stosownem słówkiem, uśmieszkiem, a nie było tak twardego i obojętnego serca, któreby się nie rozradowało na ten niezwykły, rozkoszny widok.

Rówieśniczki jej najbardziej uparte i zacięte w badaniach, chcąc dotrzeć prawdy, obchodziły ją dokoła poglądając fryzurę, lub w serdecznym uścisku włosów dotykały. Lecz tu zawołana biegłość Sancusi tak się wysadziła i z niczego tyle natworzyła, takim pysznym wiankiem loków ten rozkwitły pączek otoczyć umiała, że najwprawniejsze oko zmiany tam nie dojrzało, a każda rączka towarzyszki z Tomaszową niewiarą dotykająca, cofnęła się z takiem przekonaniem, jakie mistrzyni nakazać chciała.

Hetman, autor dyalogu, rósł tymczasem w pychę, a tembardziej, że do dyalogu traf nową scenę, owych dwóch najniewinnieszych wprawdzie, pocałunków Sapiehy domieszał.

— Kto wie, — myślał sobie ambitny ojciec, —spenetruje podstęp, admiracyę do oficera przeniesie na dziewczynę i będę teściem Sapiehy.

Zaprawdę dla takiego parweniusza Sosnowskiego, alians z Sapiehami, to szczyt wszelkich marzeń, bo chociaż u nas o równości i braterstwie szeroko rozprawiano, lecz pomimo to, żadne społeczeństwo nie było naszpikowane takiemi odcieniami dumnego pyszałkostwa, pano-

szenia się, jak nasze, szczególniej przy końcu zeszłego wieku.

Nie dość było urzędu i dygnitaryi, aby zagłuszyć nizkie pochodzenie, które, że tak porównam, jakby jakiś silny, trudny do zniszczenia zapach, rodu przez kilka pokoleń uparcie się trzymało, kiedy nawet i korona antecedencyi pokryć nie była wstanie. Przecie Potocki wojewoda Kijowski niechętny Poniatowskiemu, mawiał o nim: „Wielka sztuka, że został królem, ale *panem* nigdy nie będzie,” a inny Potocki starosta Kaniowski zawsze go *ekonomską detyną* nazywał, tak to nie mogli mu darować, że dziadek był podstarościm. A jednak trzeba było posłuchać jak pięknie o równości braterskiej prawili.

Powyżej pozwoliłem sobie małego odstępstwa od przedmiotu, ażeby dać wyobrażenie co to za kontent przybycie Sepiehy na rodzinną fetę w domu Sosnowskiego sprawiało hetmanowi, któremu przy fortunie i godnościach, już tylko nie stowało tego maluczkiego, lecz wprawdzie najtrudniejszego skoku, ażeby istnej równości z magnatami dosięgnąć. Bo chociaż Sapiehowie dopuszczali go do pewnej konfidencyi, jako adheranta i służkę swojego domu, zawsze to od rzetelnej równości było daleko.

Ztąd dwa owe wypadkowe całusy ozwały się w dumnem sercu ojcowskiem dwoma odgłosami: „Kto wie,” ciągnącemi za sobą całe szeregi najrozmaitszych spodziewań.

Sapieha przedstawiony solenizantce, gdyż dopiero tego dnia przed samem nabożeństwem przybył—jako pan światowy, złożył piękną attencyę, zapytał o zdrowie i po paru nieznaczących komplimentach, wmieszał się w gru-

py starszych wojskowych, z którymi rad był o sztuce militarnej rozmawiać.

Bo Sapieha o ile wiekiem młody, o tyle umysłem poważny, a cały oddany sprawom krajowym, w miłostki się nie puszczał.

Poznawszy się zaś bliżej z Tadeuszem ocenił w nim wysokie zdolności, a pokazało się że choć w różnych czasach, ale jednych szkół wojskowych byli wychowańcami, a wielce mu się Tadeusz podobał i już do końca z nim trzymał kompanię, a nawet i przyjaźń zawiązał, którą po latach czas i wypadki silniejszym węzłem ścieśniły.

Po śniadaniu — opisu którego zaniecham, bowiem my dzisiejsi mizerni pisarkowie kartoflami hodowani, nie wiem czy byśmy temu podołali — generał wymówiwszy się pilnemi sprawami, a nie spytawszy o młodego oficera, na pięknem obliczu którego dwa pocałunki złożył, odjechał.

Biedna Sancusia z ciemnego kącika odjazd ten gorzkiemi łzami oblała, bo od kiedy żywa, pierwszy to ją raz w nieomylnych prognostykach zawiodła ta niegodziwa sroczka na jaworze.

Hetman pożałował, że ta improwizowana scena z generałem artyleryi bez rowiązania pozostała, ale pocieszył się, że dyalog w ogóle się powiódł.

* * *

A śniadanie było sute! Szkoda, że zgóry opisu jego odmówiłem; bo piwnica sławna hetmańska polała się obficie najprzedniejszemi strugami.

Atoli dużo to jeszcze dnia zostawało, a czas do obiadu należało czemś zapełnić; bo chociaż byli tacy dla któ-

rych byle kielich niepróżny — o co u hetmana było nietrudno — to i zabawa gotowa — wszelako pozostawały matrony, niewiasty, dziewice, a także młodzież unikająca kielicha, nie ze złego chowaj Boże narowu, lecz że to im jeszcze w tańcu trzeba było wystąpić, zatem się ochraniali.

— Tadeuszku, jako mój dobry przyjaciel, bądź moim alter ego co do przyjęcia i urządź dla młodych przejażdżkę konną, strzelanie do celu lub coś podobnego, żona zaś z córkami zajmie się białogłowską kompanią.

— Jeżeli JW. pan zezwoli, mam tu inny projekt ogólnej zabawy: może urządzilibyśmy przejażdżkę z damami?

— Ha! co! niespodzianka! A może przytem jaki nowy dyalog wyprawić?

— Może się jaki znajdzie — odpowiedział z tajemniczą skromnością oficer,

— Niechże cię raba suka gryzie, to cię uściskam, oto żeby mi kto wyprawił dyalog, bo ja jeden dotąd za wszystkich o tem myślę.

— Ja dziś JW. pana wyręczę.

— A niechże cię raba suka.

I hetman z zapałem uściskał młodego oficera, a zacierał ręce z radości, że sam nakoniec stanie się bierną osobistością w dyalogu i łamał głowę, co to za krotofilę Tadeusz wyprawić zamierza?

* * *

Bez Czupy, jak to powiadają, woda się nie oświęciła na Sosnowskim zamku, musiał go tedy Tadeusz w swoje zamiary wtajemniczyć. Nie posiadał się stary marszałek z radości, że swojemu panu wielkiemu twórcy dyalogów, z kolei dyalog wyprawi. Na jedno tedy jego skinienie,

wystąpiło ile tylko było na zamku kolas, kolebek, wozów, wszystkie wierzchowce posiodłano i wnet ogromny tabor spacerowy w gotowości stanął.

W jednej chwili cały orszak wyruszał, a poprzedzali go Tadeusz i Ludka wierzchem; ona na sławnym swoim kasztanku, co to rowy i płoty sadził, a przeszkód nie znał dla siebie. Wówczas konna jazda dla kobiet była mało rozpowszechniona, nawet siodła damskie znano tylko na dworach i w stolicach; wszakże hetman dla swojej faworytki o to się wystarał: strój osobny do konnej jazdy, równie jak każdy inny ją zdobił; miała kurteczkę granatową z obszelegami amarantowemi, na srebrne guzy spiętą, buciki czerwone safianowe, długą białą spódnicę, a na głowie leciuchny ponsowy turbanik z perskiego kaszmiru, o białej kicie którą duży soliter w formie półksiężyca przypinał,

* * *

Raźno i wesoło z miejsca ruszono, chociaż najświadomsi okolicy nie mogli odgadnąć dokąd zmierzają. Sosnowica bowiem na piaskach i bagnach wpośród borów iglastych położona, prócz zamku dziedzica i gdzieniegdzie rozrzuconych chat włościanskich, ponury i jednostajny przedstawiała widok. Boczne drogi były tam prawie niedostępne, tak, iż hetman widząc dwoje przewodników zmierzając w środek gęstwiny, zwątpił już o dyalogu i z dumą powiadał sobie, że do układania ich nad niego zdolniejszego nie było. Wszakże im dalej się zapuszczali, drogi były poprawione i o ile miejscowość dozwalała, rozszcrzone, aż w samym środku najgęściejszego boru wcale niespodziany uderzał ich widok.

Długą i obszerną polanę dokała lasem otoczoną, zamieniono w ogród kwiatów—wielką arenę po środku wyrównaną otaczała baryera, dokoła niej wzniesiono trybuny dla widzów, także kwieciem i zielonemi gerlandami przystrojone; w samym zaś jej środku jedna loża nad inne wyniesiona, powiewała różnobarwnemi banderami, a staranniej okryta festonami, na głównym froncie miała ułożoną misternie z doborowych kwiatów cyfrę dzisiejszej solenizantki.

Na ten czarujacy widok, wszyscy wyszli z powozów nawet matrony nie usiedziały, a wzroku tą miłą niespodzianką nasycić nie mogły.

* * *

Ludka z obliczem zapłonionem radością, ze łzą wdzięczności w oku, ozwała się do towarzyszącego jej jeżdzca.

— Panie Tadeuszu, takiego dzieła do śmierci zapomnieć niepodobna.

— Dzięki ci pani, bo to to nad jego zasługi, lecz i twórca o odrobinę pamięci śmie się dopomnieć.

— Czyliż może zapomnieć każdy kto tylko go poznał i ocenił?

Wyszeptała towarzyszka jakby jej brakło głosu, a pierwszy raz w życiu śmiałość ją opuściła i jakiś niezwykły rumieniec okrył nadobne liczko.

Lecz Hetman zbliżając się do rozczulonej paryprzerwał im tę rozmowę... a może i nie przerwał, bo czyliż więcej mówić potrzebowali, po tych kilku słowach, w których cały hymn dwojga serc zawarli?

— A niechże cię raba suka gryzie, mój Tadeuszku, widzę żeś i ty chwat do dyalogów. Ale cóż to jest, chyba turniej?

— Turniej, jeżeli królowa dzisiejszego festynu rozkaże, — rzekł Tadeusz, pochylając się przed towarzyszką.

— A niechże cię raba suka... to mi święto hetmanówny, rycerskim obyczajem odbyte, — tobie przystoi być królem broni, bowiem to twoja cała ta piękna inwencya, — kogoż tedy obierasz za królowę?

Tadeusz ugiął kolano przed Ludką, a powstawszy podał jej rękę i na poczesnem miejscu posadził.

Natenczas wjechało konno w szranki czterech heroldow na białych koniach, przyodziani w białe dalmatyki, w hełmach zdobnych różnokolorowym pióropuszem, a zatrąbiwszy w duże trąby, obwołali na cztery strony świata turniej rozpoczęty w imieniu jego królowej corki hetmańskiej.

Nim zaś zapaśnicy wjechali w szranki, hetman zakłopotany rzekł:

— Ale nagrody mój Tadeuszu,—jakże z tem będzie?

— Każdemu zwyciężcy słowo zachęty jego damy starczyć będzie za najwyższą nagrodę.

— Tak, to po rycersku, ale i cenna pamiątka była zwyczajem dawnych turniejów... Czemuś mnie nie uprzedził, byłbym w domu o tem pomyślał?

— W takim razie cała rzecz nie byłaby dla JW. pana dyalogiem.

— A prawda, niech mnie raba suka gryzie, gdzież to miałem głowę... No — ale oto jest pierwsza nagroda, — zawołał hetman zdejmując z palca bogaty pierścień i dodał:

— Jest to wprawdzie wielce szacowny dar króla je-

gomości, aliści tuszę sobie, że miłościwy pan nie będzie miał mi za złe, iż jego dar posłuży na uwieńczenie najwaleczniejszego rycerza.

Za przykładem hetmana poszli inni starsi panowie, a nawet matrony rzucały manele, zausznice, pektoraliki i inne ozdoby, a rychło niemi czapkę hetmańską napełnili,

* * *

Na dany nowy znak króla broni, heroldowie powtórnie ogłosili, ażeby zapaśnicy do szranek weszli. Stawiło się tedy pieszo i konno niemało ochotników, — ztąd każdy udał się do jednej z dam prosić o barwę, każda ochotnie poświęciła wstęgę od swojego stroju. Tadeusz ukląkł przed Ludką. Ta zaś mając strój wyłaczny do konnej jazdy, wszelkich oddzielających się ozdób pozbawiony, znalazła się w niemałym kłopocie, co swojemu rycerzowi udzieli, — wtedy on wskazując na chustkę trzymaną w ręku, rzekł:

— I tego mi dość będzie, a przysięgam, ze tę pamiątkę chyba mi razem z życiem wydrą ([1]).

Gdy już obrano sędziów turnieju pod prezydencyą hetmana, wtedy rozpoczęto igrzyska: biegali do pierścieni, walczyli konno i pieszo, — słowem niczego nie pominięto co do rycerskiej zabawy należało.

Tadeuszowi, który białą chusteczką zagrzał i bez tego mężne serce, przysądzono pierwszą nagrodę — i po raz trzeci ugiął rycerskie kolano przed swoją damą, po

---

([1]) Autentyczne. Całą relacyę turniejów jeszcze w młodości mojej miałem od naocznego ich świadka, już naówczas podeszłego staruszka, — szkoda, że młoda i płocha pamięć nie zachowała tego, co coraz to trudniejszem do odżywienia dziś staje się. (Przyp. aut.).

ony pierścień królewski, który mu drżącą od wzruszenia rączka podała.

O zachodzie słońca skończyła się ta uroczystość, miłem wrażeniem tak serca widzów jako i czynnych uczestników napełniająca. Sam hetman nie posiadał się z radości, że na jego dworze jakby na królewskim, festyny domowe przez rycerskie igrzyska obchodziły się, — a łącząc swoje dziękczynienia dla twórcy tej miłej niespodzianki, z rozradowanym ogółem, chwycił go w serdeczny uścisk i w uniesieniu zawołał:

— Byłem przyjacielem twojego nieboszczyka rodzica a tobie chcę być ojcem i nie masz tego czegobym ci odmówił!

Tadeusz już miał na myśli wielką prośbę losy dwojga serc rozstrzygającą, lecz mu ją przy licznem otoczeniu nieśmiałość na ustach zmroziła — tymczasem hetmanowi w inną stronę uwagę zwrócić należało.

Widząc to Ludka, iż może z chwilową odwagą Tadeusza przyszłość ich serc na zawsze ostygła, zawrzała gniewem, którego jeden ze srebrnych guzów kaftana padł ofiarą i zmówiła w duchu niecierpliwie:

— O, czemuż nie stworzyłeś mnie Boże chłopcem!

Po tych słowach rozjaśnioną dotąd twarzyczkę zachmurzyła.

Tak się zakończył ów sławny turniej, a może ostatni na jaki ojcowie nasi patrzyli.

* * *

O powrocie wesołej kompanii, który już w nocy następował, Czupa rozmyślał i liczny zastęp hajduków na

koniach z pochodniami pomiędzy spacerowy orszak wmieszał, a całą drogę beczkami smolnemi gęsto oświecił.

I znów otwierali pochód ten wesoły Tadeusz i Ludka na koniach, atoli śmiech i wesołość jak w pierwszej drodze powrotowi temu nie towarzyszyły: — smutnie zwieszona główka dziewczyny, połyskała bogatą spinkę na turbanie, a może jaśniejszą jeszcze łezką w oku.

Napróżno Tadeusz silił się smutek jej rozegnać, którego powodów niedociekał; to i owo zapytanie zbywała dziewczyna wbrew zwyczajowi, obojętnem słówkiem, aż nakoniec gdy już blizko zamku znajdowali się, ozwała się z przekąsem:

— Słyszałeś panie Tadeuszu słowa ojca? o cóż więc będziesz prosił? Podobno wakuje jedno rotmistrzostwo, a pod niebytność hetmana wielkiego, najwyższa władza przy ojcu.

— O pani, czyli nie odgadłaś, że jedyną ambicyą w życiu, jedynem życzeniem — jest . . .

— Co?

— Ta rączka!... — odrzekł nieśmiało młodzieniec, wskazując na chusteczkę powiewającą mu na piersi.

— Więc czemuż tej chęci, jeżeli jest szczerą, nie było wyjawić, kiedy się ojciec tak serdecznie względem pana zdeklarował?

— O pani, nie śmiałem, obawiałem się w obec tylu obojętnych odsłaniać najświętsze tajnie mojego serca!

Pierś dziewczyny wzniosła się cichem westchnieniem i w głębokiem zamyśleniu rzekła:

— Szkoda!

— O pani! o Ludwiko! te słowa napełniają mnie niewysłowienie słodką nadzieją.... Czyliż ojciec cofnie swoje wyrzeczenie?

— Nie znasz mojego ojca, z nim właśnie trza kuć żelazo póki gorące.

— Czyliż mi się spodziewać niewolno i już marzeń o tej rączce zaniechać?...

— O nie! będzie twoją lub niczyją, ale niestety, prędzej to ostatnie, bo wola ojca zmienna, a często trudna do przełamania.

I drżąca ręka dziewczyny spoczęła w dłoni rycerza i już dalej postępowali w milczeniu, pełnem dla nich najrozkoszniejszej wymowy.

* * *

Pozostawały jeszcze dnia tego obiad i tańce, wszystko zaś odbyło się z niezrównaną ochotą gości, podsyconą uprzejmą gościnnością gospodarza.

Pomimo przerw zabawami i urozmaicenia czasu, dyalog hetmana z młodym oficerkiem tkwił w pamięci wielu przytomnych i dopytywali, dla czego ten dzielny chłopak na turnieju nie był i na pokojach nie znajdował się?

— A cóż chcecie, tak go zmordował Sapieha swoją taktyką, że nieborak do infirmeryi poszedł,—odpowiadał hetman z ukrytym śmiechém zadowolenia, że mu się dyalog powiódł.

Pomimo to wszakże wiełu jeszcze pozostało niedowiarków; lecz ci gdy ujrzeli na balu Ludkę z Tadeuszem w menuecie, jak z gracyą i wdziękiem już w trzeciej dziś metamorfozie ta czarodziejka taniec wykonała, nie mogli przypuścić, aby to mógł być ten sam oficerek, donośnym głosem dwóm szeregom milicyi rozkazy generała Sapiehy oddający.

Całe towarzystwo nie mogło się dość wydziwić prze-

ślicznej i zręcznej parze, a hetman zacierając ręce, powtarzał sobie z dumą:

— Niech cię raba suka!... dwa dyalogi na raz i jeszcze jakie!

* * *

Cne czytelniczki i czytelnicy! a wy szczególniej gorętszego serca i płonącej wyobraźni chciwej silnych wrażeń i przejść miłosnych!... Baczność! bo się czysty *romans* poczyna!

Wszelako od tego romansu nie oczekujcie dużo westchnień, łez, niespodzianek i nadzwyczajności, tudzież zawikłań rozmaitych jakie wam przedstawiają miłostki *Abelarda z Heloizą*, *Pawła z Wirginią*, lub nakoniec kawalera *de Rieux z Manon Lescaut*; a jeżeli wam chodzi o zmoczenie łzami chustek od nosa, bezsenność spowodowaną okropnościami położenia kochanków i mary gorączkowe nocne z niepokoju nad ich losem, lub żądacie frazesów, pod któremi zatli się drukarska bibuła, to weżcie raczej jednę z tamtych ksiąg, bo co do mnie, pragnąłbym ażeby pomiędzy rozdziałem a rozdziałem, sen słodki i spokojny przymknął twe piękne miła czytelniczko powieki, a wesołości i apetytu nie odebrał i dla tego uprzedzam cię:

Że moi kochankowie Tadeusz i Ludka, jeżeli jeszcze kochankami w całej pełni *romansowego* znaczenia nazwać ich można, bez słów poetycznych, westchnień, łez i t. p. romantycznych akcessoryj, szli sobie ręka w rękę, jak dwaj zgodni wojskowi koledzy. W dzień uczyli się matematyki, odbywali musztry i ewolucye wojskowe, do których nieodmiennie panna rotmistrz w uniformie występowała; wieczorami jeździli konno na miejsce dawnego tur-

nieju, które *wirydażem Tadeusza* sam hetman przezwał, a sadzili tam drzewa, pielęgnowali kwiaty, tak iż to miejsce do niedawna dzikie i puste, w rozkoszny ogród własnemi rękoma zamienili. Nocną porą on słuchał cytry i harfy, które pod drobnemi, ale mistrzowskiemi jej paluszkami rozkoszne dźwięki wydawały. Rozchodzili się i znów schodzili się o wiadomej porze, a zawsze czynni, zaprzątnieni to nauką, to myślą poważną, nie znaleźli czasu na tłoczące serca westchnienia lub ogniste oświadczenia miłośne, albowiem to cośmy podsłuchali na turnieju, te kilka męzkich wyrazów,—na całą im przyszłość starczyły.

Zkądże tu tedy wątek do sentymentalnego romansu, kiedy żyli sobie ręka w rękę jak dwaj poczciwi koleżkowie, jak dwaj porucznicy jednych lat i usposobień i gdyby nie!...

O! to nieszczęsne „*gdyby*", tak często wyplątane w zamysły i czyny ludzkie, jest jak kamień na drodze ślepego przechodnia, o który najświetniejsze spodziewania i mary śmiertelników rozbijają się i gdyby nie owe „gdyby", zamknęlibyśmy nasze opowiadanie.

Lecz niestety, że ono „*gdyby*" ukazało się na zamku Sosnowickim, a jak grom, jak dachówka, spadło na szczęśliwe i spokojne dotąd głowy dwojga kochanków, (chciałem powiedzieć kolegów, co w istocie jest słuszuiejsze), w osobie Imć pana Platera.

*
* *

Gość nie był rzadkiem zjawiskiem na zamku Sosnowickim i od czasu kiedy Tadeusz i Ludka rozpoczęli wspólną naukę i zabawę, wiele ich się przewinęło wcale

niepostrzeżonych, a przez to żaden w miłych i posiadających dla nich tyle powabu, zajęciach nie przeszkodził. Atoli nazajutrz po przybyciu tego niepożądanego gościa, kiedy Ludka stosownie do obowiązku oficera, równo ze słońcem sen zawsze pełen błogich marzeń i nadziei przerwała, zdziwiona na wiadomem miejscu nie znalazła zwykłego wojskowego ubioru. Szarpnęła tedy sznur dzwonu zamaszyście jak na oficera przystało i nadbiegającą kamerystkę ofuknęła·

— Co to ma znaczyć, że uniform nie na miejscu? Słyszysz, pobudkę trąbią.

Zawołała groźnie, a z takim tonem, któregoby pierwszy lepszy obozowiec nie powstydził się.

— Pan hetman polecił. ażeby panna hetmanówna przybrała się staranniej w...

Rozpoczęła nieśmiało Małgosia, a widać zabrakło jej serca na wyrządzenie swojej kochanej panience przykrości i nieodpowiadając wskazała na suknie kobiece, które te· raz miejsce tak pożądanego przez Ludkę munduru zastępowały, a dalej ze spuszczonemi oczyma i słabnącym głosem rzecz rozpoczętą kończyła:

— .... i prosił pan hetman, żeby panna uprzedziła gościa na pokojach.

Wtem druga pobudka głośniej i dobitniej, jakby z umysłu dla opóźnionego oficera wytrąbiona, uszu hetmanówny dolatując, wstrzęsła do głębi tą żołnierską naturą i niemiłe slowa kamerystki zagłuszyła.

— Tego niestawało, ażebym pierwszy raz w życiu opóźniła się na musztrę — zawołała gniewnie panna-rotmistrz, podbiegając do miejsca gdzie strój militarny znajdować się był winien. Nłe patrząc, szarpnęła suknie nie-

wieśćie, które wykrochmalone i napiętrzone, z szelestem posypały się na ziemię.

— Och!—krzyknęła z bólem, jakby ukąszona przez gad zjadliwy i bezwładne rączęta opadły.

Oczy poczciwej Małgosi łzami zaszły.

Wszakże postawszy tak chwilę w posągowej nieruchomości, otrząsnęła piękną główkę, oprzytomniała niejako i na myśl jej przyszła podwójna walka nierówna z posłuszeństwem córki, a nawet subordynacyą wojskową, i zmówiwszy sobie w duchu rozpaczliwe słowa:

— Ach! ja zapomniałam, że los mnie stworzył słabą białogłową, — jak baranek szyję pod nóż ofiarny, tak ona z rezygnacyą oddała się w ręce Małgosi, które drżały żalem, boleścią, czuła bowiem, że mimowoli przykrości panience przyczynia, a przez oczy łzami zaszłe nie dojrzała, jak to i owo krzywo włożyła, a jedno do drugiego nie pasowało.

* * *

Nie omieszkała stawić się punktualna Sancusia z nieodstępnemi żelazkami, jako wielka nieprzyjaciółka onej wojowniczej zabawy i uniformu swojej wychowanki, a ztąd niesłychanie rada nowej niewieściej metamorfozie, którą według swojego rozumienia *wysuszyła* poniedziałkami i wymodlila nowenną do Opatrzności Boskiej, miała humor rozweselony jak nigdy, bo od rana jeszcze wbrew przyjętemu zwyczajowi, żadnej z fraucymeru nie kuksnęła,—co w kronikach garderoby hetmańskiej niezwyczajną kartę stanowiło. Wpadła tedy staruszeczka do pokoju ukochanej panienki jak fryga, a korzystając z konfidencyi zanuciła zwrotkę starego krakowiaka:

„Skrzeczy sroczka skrzeczy,
Za kaliny krzakiem,
Kawaler dorzeczy
Pędzi bitym szlakiem“.

— A co moja sroczka!—trzepała poczciwa Sancusia —ja ją znam, że nigdy nie zawodzi. Kra! kra! i wykrakała nam kawalera, a skoro głupi z przeproszeniem generał nie poznał się, niechże teraz żałuje, bo mamy pana pisarza i starostę....

Niewiadomo jak prędko rozpędzony kołowrotek zatrzymałby się, gdyby nie to, że spojrzawszy w twarz bladą i nieruchomą swojej wypieszczonej panienki, urwała z przerażeniem i ciągnęła dalej zafrasowana:

— Panno hetmanówno, złotko moje, moja perełko, Bóg z tobą co ci jest?—Wszak ty od urodzenia nigdy taką bladą nie byłaś.

I jakby od pogody do burzy, teraz posypały się lamenta i frasobliwe wyrzekania wielomównej ochmistrzyni.

— Rób co do ciebie należy Sancusiu—siadając na kręcącem się krześle do trefienia, ozwała się Ludwika tonem rozkazującym hetmanówny i oficera, od razu bystry potok słów w ustach krasomówczej ochmistrzyni zatamowawszy, która niezwłocznie przystępując do rzeczy, jeszcze nie mogła powstrzymać trwożnego wykrzyknika:

— Ach! mój złoty aniołku, główkę masz gorętszą od mojego żelazka! Tyś chora mój robaczku, może by larendogry albo kwiatu lipowego....

— Bez uwag Sancusiu! rób swoje.

Powtórzyła równie stanowczo jak przedtem hetmanówna, tak, że biedna Sancusia po raz pierwszy od lat wielu w milczeniu i drżącą ręką swoją powinność sprawując, za to wodze myślom puściła.

— Co to jest? Od kiedy żywa tak spokojnie nie siedziała? Oho! czy nie ten młody oficer.—Ależ bo to dopuszczenie Boże z tą wojskowością, kto to widział dziewkę w mundur ubierać i musztry uczyć?.. Już to powiem, że nasz pan uczciwszy jego uszy hetmańskie, całej biedy narobił.... Ach! gdyby się ruszyła, a to aż mi serce stygnie, zda się że trupa fryzuję.. Dalipan nie wytrzymam i spiekę!..

Trzepiąc to w myśli, poczciwa Sancusia niby wypadkiem, jak można było najlżej musnęła gorącem żelazkiem łabędzią szyję dziewczyny, aż sama z bólu syknęła:

— Ach!

Ludka wszakże siedziała jak głaz zimna i nieruchoma i gdyby od czasu do czasu na sygnał komendy trąbką oddawanej, nie drgnęła konwulsyjnie, nie omyliłby się ktoby pomyślał, że skamieniała.

Biegła w rzemiośle starowina Sancusia, po raz pierwszy dopełniła swojej powinności drżącą ręką i co prędzej wybiegła z komnaty; fukała po drodze i sierdziła się na fraucymer, ale nikogo według zwyczaju nie szturchnęła—jakieś licho wzrok jej zaciemniało.

Musztra w ten ranek odbyła się swoim trybem, lecz wbrew zwyczajowi i militarnej dyscyplinie, ładu tam jakoś nie było, bo tak komendant jako i podwładni głowy potracili, a ciągle się za czemś oglądali, jakby im kogoś brakło: nawet stary wyga trębacz, pod gradem kul sygnały dawać nawykły, sfałszował parę razy.

* * *

Szkoda, że miasto prostej gawędy nie piszę rozprawy poważnej, a powiedziałbym wam wiele rzeczy fundamentalnych—a naprzykład? Jako wszyscy bez wyjątku nadzy

i nędzni na świat przychodzimy, że nikt nie słyszał o protoplaście jakiegobądź wysokiego rodu, któryby z tarczą herbową, mitrą lub koroną o dziewięciu gałkach urodził się; jako wszystkie te marności światowe musiał ktoś w ten lub owy sposób chapnąć: czy to odwagą lub rycerskiemi czyny, czy to Boże odpuść, podstępem i bezczelnością, bo ludzkiem jest to rozumienie, iż gdzie nie mozna przeskoczyć, tam przeleźć trzeba.

Zaiste ciekawą byłaby historya panoszenia się rodzaju ludzkiego, a szczególniej u nas i rzeczą wielce pożądaną dla myśliciela i psychologa zbadać wszelkie te subtelności heraldyczne, o których dalej, dalej,—Bogu bądź chwała!—ludzie już pojęcia mieć nie będą. W wiekach minionych niejedna głowa statysty i polityka, a czasem przeznaczona od losu na głębsze rozmyślania, suszyła się nad tem, zkąd to i jak dostać onych piór pawich, aby dudkową upstrzyć naturę i stać się protoplastą przyszłego wielkiego pokolenia, które z czasem, (jak to się nierzadko widzieć daje), w darmozjadów i pasibrzuchów przerodziło się? Choroba wieku, której zaledwie kilka dusz wznioślejszych, a niestety, mogących być policzonemi na palcach, nie ulegały. Słowem, każdy chciał być więcej niż sobą, byle nie tem czem go Bóg stworzył i *pereat mundus fiat* arystokrata, to było zgubnem hasłem czasu. Czyli my dzieci onych pyszałkowatych ojców, wolni jesteśmy od ich epidemii, wprawdzie już innym torem dążącej? Nie potrącam o tę ważną kwestyę i urywam ją, a to z racyi, że nam tu chodzi o losy Córki Hetmańskiej, na intencyę której, pochlebiam sobie, już może niejedno czulsze serce pod muślinowym rąbkiem uderzyło—a więc do porządku!

*
* *

Owóż tedy Sosnowskiemu po uzyskaniu fortuny i dostojeństw, nie dostawało jeszcze świetnych koligacyi, aby ten niemiły a gwałtem wydobywający się odorek parweniuszostwa zagłuszyć, więc w tem na arystokratyczne postanowienie córek liczył najwięcej.

Skoro już tak niezręcznie wygadałem się, pozbawiając dłuzszej palpitacyi serca miłe czytelniczki, chyba z musu będę otwartym do końca i powiem kto był owym gościem, który spokój Ludki i nadzieje dwojga kochających serc zamącił?

Był to Józef Wincenty Plater, pisarz polny koronny, starosta dynaburski; był więc dygnitarzem, do tego u króla w łaskach i siostrzeńcem hetmana wielkiego Ogińskiego. Konknrent zatem nie do odrzucenia, mimo to że ród Platerow z dawnej wprawdzie szlachty Inflantskiej, zaledwie nowo przyklejony do staropolskich rodzin i niezawodnie taki Sosnowski wolałby jako antidotum na swoje parweniuszowstwo, jakiegoś Sapiehę, Radziwiłła, Ogińskiego i t. d, jednak z drugiej strony rozumiał to, że: bierz Michale coć Bóg daje i że zawsze taki Plater w stosunku do niego, był dość wysokim szczeblem na drabinie arystokratycznej, na którym stanąwszy już połowę zdobywało się drogi i przez nią wierzchołka można było dosięgnąć.

Zatem go Sosnowski na zięcia od dawna sposobił, co i panu pisarzowi było na rękę, bo jako hulaka i wielki podróżnik, resztkami fortuny gonił. Od dawna mu tedy hetman przeznaczał młodszą córkę, nie dla tego ażeby faworytkę chciał prędzej zbyć z domu, atoli liczył na to, że Kasia jako stateczniejsza, łatwiej skłoni ku sobie affekt jakiego poważnego senatora, a pustaka dziewczynę, pomimo że ojciec nieraz nią się ubawił, dla dyplomacyi domu zbyć co rychlej należało. Jednak aby ten moment o ile

możności od siebie oddalić, miłujący ojciec zwlekł postanowienie córki do ukończenia przez nią lat ośmnastu i właśnie ten fatalny termin nadchodził, o którym biedna Ludka zaledwie coś się tylko domyśliwała:

— A serce? — spytacie z oburzeniem młode czytelniezki.

Serce ówczesnych niewiast było instrumentem, który każdy rodzic według swojego kamertonu nastrajał, a na pół tonu sfałszować nie było wolno.

Barbarzyńskie to wprawdzie były czasy, o emancypacyi zaś waszej miłe panie, jeszcze się nikomu nie śniło.

* * *

A jeśliście ciekawe: co zacz, mający być narzędziem tyranii ojcowskiej? Był to sobie młody a wielce światowy kawaler, ni piękny ni brzydki, miły w obejściu. Dużo świata zwiedził, a zewsząd coś do stroju i zwyczajów zaczerpnął; woniał jak lalka, bo wszystkie pachnidła przedniejsze całego świata na siebie wylewał, głowę napiętrzoną miał jak u pudla, bowiem taka była moda na peruki, słowem coś wyglądał z wenecka czy z niemiecka.

Dziwnem to jest, iż było kilka rodów u nas, jako to Platery, Szembeki, Denhoffy i t. p, które niemczykowato się trzymały; nie idzie za tem, aby wielu z ich członków krajowi pożytku nieprzyniosło, lecz dziś jeszcze spojrzyj na ich portrety, a z małym bardzo wyjątkiem wszędzie napotkasz harbajtle, peruki w ogóle cudzoziemskie stroje.

Wróćmy do pana pisarza i oddajmy sprawiedliwość, że był to człek miły w towarzystwie, a jako bywały wielu rzeczy świadomy; wprawdzie radziej mawiał obcemi języ-

kami, szczególniej francuzkim, lecz to dla hetmanówien nie było przeszkodą, bo same wiele języków posiadały.

Mijał już prawie tydzień, kiedy słodkie zwyczaje domu dla dwojga kolegów Tadeusza i Ludki odmieniły się. Uniform tej ostatniej złożony ad acta, a nietylko komendant, ale i cała milicya posmutniała. A chociaż Tadeusz zjawiał się na pokoje, jednak ponieważ wyraźny ordonans hetmański przypisywał córkom uprzejmość dla gościa, a Ludce szczególniej słuchać go cierpliwie i nie unikać jego towarzystwa, ledwie spojrzenie zakochani mogli ze sobą zamienić; lecz w ostatecznym razie i tyle im zaczęło wystarczać, bowiem nie masz przeciwności z którąby się człowiek nie oswoił. Atoli cięższe ich czekały próby.

Nowy gość zawitał na zamek, a był nim Jmć pan Puzyna cześnik Żmudzki, człek poważny i podeszły, a witany był przez hetmana ze szczególnym respektem. Za przybyciem jego jeszcze się klauzura Ludki obostrzyła, trzeba było bawić i pana cześnika, a jak na toż obaj szczególniej ku młodszej zwracali się.

Tadeusz i Ludka chodzili bledzi i zatrwożeni jakby dwoje potępieńców, coś bowiem przecuwając, nie mogli jeszcze zmierzyć, jaka przepaść otworzyć sie miała przed niemi.

Aż tu we trzy dni po przybyciu cześnika, wielki festyn w domu hetmańskim gotował się: zewsząd sypali się co przedniejsi goście, a snać zaproszeni, bowiem żadnej uroczystości domowej nie było. Same przygotowanie na zamku świadczyły, że się coś niezwyczajnego święciło, lecz o tem wiedział hetman i jego wierny satellita Czupa, co zaś oni chcieli zachować w tajemnicy, o tem prócz nich, Bóg tylko wiedział. Domowi przypuszczali, że nowy dyalog poza tem się ukrywał, lecz jakiś niewesoły, albowiem pan

choć się ku humorowi zmuszał, jednak chmurki mu czoło marszczyły.

* * *

Tymczasem wigilia owéj mistycznej fety nadeszła, dom napełnił się gośćmi i było wesoło, przynajmniej tak się ludziom zdawało, bo tem i owem zabawiano się do późna.

Skoro się goście rozeszli, hetman zatrzymał przy sobie żonę i młodszą córkę. Był to akt nie praktykujący się dotąd, a więc już coś ważnego znamionował. Ludka struchlała i całą odwagę skupiła, nie mogła bowiem nie odgadnąć, że to jej los, jej przyszłość, a raczej obojga ich, bo i Tadeusz waży się.

Po napuszonym nieco wstępie, bez którego naówczas przystąpienie do ważniejszych spraw obyć się nie mogło, tak hetman zakończył:

— Owóż moje dziecko, czyniąc zadość pieczołowitości rodzicielskiej i mając na celu predestynacyę niewiasty, obrałem ci towarzysza życia, w zacnej i dostojnej osobie Imci pana Platera pisarza polnego. Kawaler to ze wszech miar stateczny, jako posiadający estymę równych, łaskę króla Imci, prozapię rodu znakomitą, ozdobioną wysokiemi parentelami i kolligacyami; jednem słowem posiadający to, co prewizya rodzicielskiego serca dla córki wymaga. A tuszę sobie, iż przy łasce Bożej i cnotach twoich tak z łona matki wyssanych, jako i po przodkach odziedziczonych, a przy naszem rodzicielskiem błogosławieństwie, szczęścia w tem pożyciu dostąpisz, o co Boga najwyższego prosić nie przestaniemy.

Jednym tchem zmówił hetman, aż się zasapał i już

oczekiwał obyczajem uświęconego w podobnych razach, pochylenia się córki do nóg rodzicielskich, które od wieków bez zmiany odbywało się. A zdziwiony niepomału, że ten program odwieczny go zawodzi, spojrzał surowo na Ludkę, która nieruchoma i blada skamieniała prawie na miejscu, dwoje tylko oczu jak węgle żarzące płonęły.

Miłość tylko matki odgadła so się w sercu dziecka działo, lecz bierna rola białogłowy i żony w ówczesnej hirahii domowej ust otworzyć niedozwoliła.

Hetman ażeby wyjść nakoniec z kłopotliwego położenia, nadrabiając miną, z rubasznością ozwał się:

— Ano, moja dziewko, nie dziękujesz mi za chłopca; spodziewam się, że nic nie masz przeciwko temu wyborowi, a iż cię z gołemi rękoma nie puszczę, intercyza cię o tem przekona. A więc...

Dokończył hetman gestem przeciągnienia nogi, do której już teraz jak nieomylnie przypuszczał iż córka rzucić się powinna; lecz że ta nie zmieniła postawy ciągnął dalej jakby z musu, ażeby rzecz ku końcowi doprowadzić, ale na ten raz obojętnie i rozkazująco:

— Jutro w południe Jmć pan cześnik żmudzki oświadczy się o rękę waćpanny od p. pisarza i rozumie sîę będzie przez nas łaskawie przyjęty... Masz waćpanna na ten fest przystroić się należycie.

Zakończył jeszcze zimniej hetman, o ile możności gniew hamując i rzuciwszy surowe spojrzenie na córkę, już miał się ku odejściu, kiedy ta jakby odzyskując dawną siłę i energię, zmówiła stanowczo:

— Ośmielę się zwrócić uwagę ojca jegomości, że p. pisarz przezemnie dotąd nieprzyjęty.

— Co to jest? — Niech cię raba suka!... Co to za

mowa w ustach dziecka? — zawołał groźnie, purpurowy od gniewu.

— Błagam cię nadroższy ojcze, nie feruj na mnie tego wyroku, bo ja z panem pisarzem szczęśliwą być nie mogę — u nóg ojca zmówiła dziewczyna.

Hetman nie posiadał się z gniewu.

— Rozumiem teraz mościa panno, to są amory z p. Tadeuszem! — w niepomiarkowanej złości zawołał.

— Nie ojcze, nie amory jak zowiesz, bo do tych bym się nie poniżyła, zanadto siebie i dom rodzicielski szanując, ale miłość i uczucie prawe, którego wyznać przed Bogiem i wami nie powstydzę się.

Na te słowa hetman już nie hamując pasyi, do żony się zwrócił:

— Otóż masz jejmość jaki gad bezwstydny wygrzałaś własną piersią, wychowałaś i zapewneś podsyciła tę sprośną samowolę własnemi przykładami, kiedy wzywając najświętszego imienia Boga i wobec najwyższego majestatu rodzicielskiego, ta bezwstydna dziewczyna nie sroma się czynić wyznania swoich miłostek. Czyliż grzech taki córki nie ciąży zarówno i na matki sumieniu?

— Nie ciąży na mojem, ale na sumieniu tego, kto przez płoche zabawy, dla chwilowej rozrywki, pchnął dziewczynę na drogi niewłaściwe. Dawałeś jéj wolę, zbliżałeś dwoje serc młodych, a teraz myślisz, że pycha twoja jest dość silną zerwać to, co prawdziwe uczucie zawiązało. Ostrzegałam, jakby przewidując przyszłość i nieszczęście tego dziecka, aleś w zaślepieniu twojem powiedział, że zakomenderujesz: „na lewo w tył i marsz do kobierca” — a więc komenderuj, a sercu i uczciwości wiernej i prawej żony, troskliwej i poświęconej dobru dzieci matki, nie ubliżaj przez niewczesne wyrzuty!

Zmówiła hetmanowa, a pierwszy raz z odwagą od długiego pożycia, bo i jej czara domowej niewoli przez wierzch sią przepełniła — a może i po raz pierwszy polska onego czasu niewiasta ten rokosz małżeński podniosła. Dla tego nie dziw, że hetman skamieniał i oniemiał, tyle nim bowiem sprzecznych uczuć miotało.

— A więc „marsz"! — zawołał z przepełnionej gniewem piersi — „marsz"!.. powtarzam jako pan domu, ojciec i mąż, a kto tej komendy nie posłucha, biada mu.

A zmieniając gniew na jakąś wściekłą ironię, która mu pierś tłoczyła, ciągnął przerywanym głosem:

— Czy myślicie, że dam mój włos siwy poniewierać niedotrzymaniem słowa i na starość wystawię się na pośmiewisko oplątanego przez podwiki, któremu nie miecz a pomiotło przystoi i całą świetną przeszłość, honory, dostojeństwa, dam powikłać w amory tej dziewki. — O nie! „Marsz"! i jeszcze raz powiadam pójdzie gdzie rozkażę, albo zburzę wszystko i sam się w ruinach zagrzebię, ale na poniewierkę ludziom nie pójdę.

Gdy to mówił, szyby drżały w pokoju, a zatrzasnąwszy drzwiami wyszedł.

Ludka ze łzami padła w objęcia matki: splotły się w boleśną całość te dwie dusze frasobliwe. A pierwszy to raz w życiu dziewczynę owa męzkość opuściła i była jak ów bluszcz wiotki, szukający silnej podpory.

* * *

O kilka staj od mostu zwodzonego i bramy, ciągnął się długi murowany budynek, pod prostym kątem załamany, składał jakby dwa oddzielne pawilony; architektura jego zbyt prosta, nie przedstawiała żadnego stylu i skro-

mnością swoją wcale niestosownie odbijała od pysznego pałacu. Może więc dla tego ażeby owej dysproporcyi uniknąć i zawiści nie obudzić, przedzielono oba gmachy pomiędzy sobą gęstemi klombami, tak, że ledwo przez drzew szczeliny wzrok zapuszczony mógł dojrzeć, że coś bieleje. Owoż ten braciszek upośledzony był koszarami milicyi. Nic tam, jak powiedzieliśmy, nie było godnego uwagi, tu i owdzie drzwi, okna, małe i zbyt gęste, w niektórych miejscach platformy odwachowe, to dalej stajenki po za głównym korpusem ukryte, ot i całe leże wojskowe.

W chwili kiedy hetman staczał walkę rodzicielsko-małżeńską, w całych koszarach już światła pogasły, ludzie spoczywali, za wyjątkiem szyldwachów przechadzających się miarowym krokiem, pod bronią, na wyznaczonych przy platformie posterunkach.

Z jakiej setki okien, jedno tylko błyszczało słabem światełkiem, a było to okno małej i bardzo skromnej żołnierskiej izdebki Tadeusza, za cały sprzęt posiadającej prosty tapczan derą przykryty i poduszkę od starego siodła. To skromne posłanie znamionowało, że dziś jeszcze nie było w użyciu, gdyż dera gładko bez składów pokrywała słomę, na prostym zedlu przy stole dużym dębowym, zarzuconym księgami, kartami, papierami, obok narzędzi matematycznych, siedział blady młodzieniec, a wsparł głowę na ręku, jakby mu ona ciężyła. Naprzemian to zatapiał się w wyrachowania i kreślił coś na papierze, to mierzył linią i cyrklem, lub zerwawszy się z siedzenia, głowę gorącą chłodem ściany ostudzał; to znów białą chusteczką z piersi zdjętą wzrok napawał. Każda zaś z tych czynności jedna po drugiej następująca, odbywanych niespokojnie, nagle, gorączkowo, świadczyły o rozdrażnionym i frasobliwym stanie młodzieńca.

Co go zaś trapiło? — Odgadnąć nie trudno: żywiony od czasu turnieju najświetniejszemi nadziejami, zbliżony z tą którą już jakby skarbem swojego życia poczytywał, ani się spodziewał, że nieubłagany grom rozdziału tak nagle pomiędzy nich spaść może i że odwrócić go będzie nad ich siły.

On chciał ratować to swoje dobro, ale już było za późno, sama Ludka ostrzegała, że każde nagłe wystąpienie do ojca stałoby się powodem rychłego i nieodwołalnego rozstania i ojciec władzą hetmańską mógł go oddalić na długo — na zawsze.

Owóż co mu paliło głowę, którąby może w tej chwili poniósł chętnie na łup nieprzyjaciela, gdyby się sposobność nadarzyła.

* * *

Wyszedłszy z tej utarczki rodzicielsko małżeńskiej, hetman wybiegł na dziedziniec zamkowy, pędząc jak szalony, bełkotał jakieś groźby, z których od czasu do czasu dawało się tylko wyróżnić przysłowie: „niech cię raba suka,” a nie zatrzymał się aż przy pierwszym szyldwachu; lecz zapytany o hasło, chociaż je sam co rano wydawał, ale dziwić się nie można, że w podobnych przejściach zapomniał, więc krótko odburknął żołnierzowi:

— Cóż to nie widzisz, niech cię raba suka, że ja hetman?

— Hasło! — powtórzył stanowczo żołnierz.

— Każę cię błaźnie jutro rozstrzelać.

— Do jutra daleko; — a hasło?

— Każesz sobie, niech cię raba suka, wydać jutro jako gratyfikacyę, lafę tygodniową za to, że gorliwie peł-

nisz obowiązek, a tymczasem zwołaj ludzi, aresztuj mnie jako wałęsę nieznającego hasła i donieś komendantowi.

Rzekł hetman nieco ułagodzony; bo chociaż nie słynął jako wojak, atoli lubił w wojskowego rygorystę zabawiać się. Szyldwach mający posterunek tuż przy kordygardzie, wykonał rozkaz hetmana, przy którym dwóch ludzi pod bronią jako niby przy jeńcu postawiono, inni zaś udali się uprzedzić komendanta, a ten przypasawszy szpadę, natychmiast stawił się:

— Niech cię raba suka, zapomniałem na wieki tego przeklętego hasła.

— „Żmudź!” — odpowiadał Tadeusz, salutując hetmana.

— A! a! „Żmudź,“ niechże cię raba suka, na wieki zapomniałem, lubo sam je wydałem, a to in gratiam przybycia pana Cześnika Żmudzkiego, — mówił hetman łagodnie napozór, starając się osładzać głos drżący od gniewu:

— Otóż widzisz waćpan, — ciągnął dalej, — zaszły okoliczności nagłe, nieprzewidziane, muszę mieć kogoś pewnego dla jak najrychlejszego zawiadomienia o nich Króla Imci; waćpan tedy nie tracąc czasu wybierz najlepszego konia, niekoniecznie z szeregów, a chociażby i z mojej prywatnej stajni i natychmiast udasz się do Warszawy: skoro depesze będą gotowe, zawołam.

Tadeusza chociaż jak grom raził ten rozkaz wcale nieoczekiwany i napróżno wysilał myśl na zbadanie prawdy, czyli powody jego nagłego wydalenia były te same w istocie jakie hetman podawał, wszakże pytać nie śmiejąc, według powinności żołnierskiej stał wyprężony trzymając rękę przy furażerce.

— Komendę waść zdasz chorążemu Chodowieckiemu i natychmiast niech tu do mnie się stawi.

Ostatni rozkaz pomimo dyscypliny wojskowej musiał doznać pewnej zwłoki, gdyż chorąży jako wielki miłośnik fraucymeru, a szczególniej Małgosi, o tej porze zwykł był odbywać romantyczne przechadzki i właśnie w tej chwili był zajęty odbieraniem od niej relacyi z kronik zamkowych, jakie tylko przez zamknięte drzwi dolecieć mogły. Rozbiegli się żołnierze i lubo spłoszyli czułą parę, chorążego rychło wynaleźli i zaraz go stawili przed hetmana, który mu wydał krótko a węzłowato rozkaz tej treści:

— Waszmość eo instante, obejmiesz komendę nad całą milicyą... pobudzisz żołnierzy jakby na larum, atoli samego larmu nie uderzać, ażeby gości nie trwożyć.... Urządzisz natychmiast pikiety, placówki i podjazdy, trwać mające aż do rannego capstrzyka, czaty i szyldwachy na wałach, bramach i basztach udwoić. Nikogo z zamku nie wypuszczać bez wyraźnego mojego rozkazu... ludzi wałęsających się w przyległości zamku i na wałach, nie bacząc *na znaczenie, płeć* etc... każdego bez wyjątku brać pod ścisłą straż i do mnie dostawiać... Zrozumiałeś waćpan?

Zrozumiałem JW. hetmanie — odpowiadał Chodowiecki na komendę — ale przy tej okazyi mruknął sobie cichutko pod nosem: — Ten dyabełek Małgosia ma dobrą relacyę, wypuścimy kogo potrzeba— gadaj sobie dalej!

Jakoż hetman na nowo rozpoczął:

— Zanotuj waść, niech cię raba suka, że najmniejsze nieposłuszeństwo lub opieszałość gardłem pachną, ogłaszam bowiem stan wojenny — zakończył hetman surowo, widząc zaś zdziwienie otaczających go zdala żołnierzy, uznał za słuszne owe gwałtowne rozkazy usprawiedliwić i tak dalej prawił:

— Bo to widzisz waszeć, niech cię raba suka, choć wojny już nie mamy, ale donoszą mi szpiegi, że liczna kompania maruderów ma... chce... napadnie...

Lecz że jakoś mu szło niegładko, sam siebie ofuknął:

— Niech cię raba suka gryzie, nie będę się przed waćpanem sprawiał, ale zanotuj tylko sobie niech cię raba suka, że najmniejsza niesubordynacya, kulka w łeb i basta! Stan wojenny!... stan wojenny!

Mruknął jeszcze razy parę groźny hetman i na zamek pośpieszył.

* * *

Chorąży Walenty Chodowiecki, znany na zamku pod ogólną nazwą szalonego Walka, lubo dotąd odegrał bierną, a sprawiedliwiej mówiac, żadnej nie odegrał roli w naszem opowiadaniu, jednak warto mu choć króciutki ustęp poświęcić, chociażby bacząc na jego poczciwą żołnierską naturę i ze z łaski tej typ oddzielny, a dziś już zaginiony dawnego wojaka stanowił.

Walek do dzisiejszego stanu swojego doszedł drogą, jaką wielu naówczas dochodziło: ojciec jego był to sobie szlachcic poczciwy na niewielkiej wiosce, ale niestety i na sporej kupce dzieci—powszechnie szanowany i poważany, od lat niepamiętnych urząd wojskiego ziemi Chełmskiej piastował. Jako niezamożny, chciał swojego pierworodnego promować w ten sposób, ażeby na wypadek śmierci ojca, był podporą młodszego rodzeństwa: rozumie się poczynając z Bogiem, przeznaczał go do stanu duchownego, boć to odwieczna gadka głosiła—„ksiądz w rodzie bieda nie dobodzie”. Lecz na nieszczęście, wokacya jakoś się chłopca nie jęła, Z kolei rzeczy następowała palestra,

ale pokazało się, że do pióra miał za ciężką rękę, a natomiast wiele ferworu do patronówien i regentówien. A więc do roli wypadało obrócić, lecz i tam krowiarki więcej go od krów zajmowały. Skończyło się zatem, jak zwykle w podobnych razach, ojciec machnąwszy ręką powiedział sobie:

— Ladaco, do niczego niezdatny; nigdzie miejsca nie zagrzeje, oddam na żołnierza.

I odwiózł go do pana hetmana Sosnowskiego, swojego dobrodzieja, a pono i dalekiego krewniaka.

Wszelako nie gorszcie się z tego co powiadam, że tak się dawniej działo i co prawda chociaż filozofów i teoretyków nie było w szeregach, ale na bitnym żołnierzu nie brakło.

Jakoż i Walek nakoniec trafił tu na swoje przeznaczenie. Zwinny do konia i korda, dobrej i energicznej natury, do niczego połowicznie się nie brał: kiedy musztra, to do upadłego, kiedy bitwa to na śmierć. O tem ostatniem świadczyła para kres świeżo na łbie zabliźnionych— znał co się zowie posłuch i subordynacyę, komendę jakiej wówczas wymagano umiał na palcach i z zawiązanemi oczyma mógłby ją odbywać.

Ale poza służbą wierzył święcie, że człek do zabawy stworzony i co się tylko nawinęło pod rękę wszystko mile przyjmował, aby się tylko rozweselić. Już to fraucymer hetmański przepadał za Walkiem szalonym, a preferencya okazywana Małgosi wiele jej zawistnych przyczyniła.

Takim był komendant milicyi hetmańskiej, wprawdzie czasowy, bo namiestnik jej nieuleczoną chorobą złożony, służby nie pełnił—kiedy Tadeusz go zluzował.

Zaprawdę, że tylko ciężka głupota i rodzona jej siostrzyczka zarozumiałość, stronią od prawdziwej wyższości.

Walek zaś lubo nie orlego polotu, ale rozgarnięty i trzeźwo sądzący, od razu cenił nowego komendanta—znali się od infimy, za którą tamten niedaleko bodaj zawędrował—uprzejmie go tedy powitał, a gdy się bliżej przypatrzył jego umiejętności i nauce, w prostocie ducha powiedział:

— A wiesz mości komendancie jakiej to ze mną dokazałeś przemiany, bo pókim twojej militarnej sztuce nie przypatrzył się, myślałem sobie, żem niezgorszy wojak, aż tu przy tobie jestem wierutnym osłem.

Pokochał bardzo Tadeusza, że w ogień by za niego skoczył, jednak gdy ten chciał go do taktyki zaprządz, niewiele wskórał, bo raz drugi Walek zdrzemnąwszy się nad księgami, rzekł:

— Ej! każdego Bóg do czego innego stworzył, a pewno że mnie nie do taktyki, ja tam co trzeba wymusztruję, a co podołam w danym razie wybiję, ale do nauk się nie zdam.

I Walek zawsze sobie szalonym, ale serdecznym Walkiem pozostał, komendant był u niego pierwszem okiem w głowie i tylko przemyśliwał i konferował z Małgosią, jakby ukochaną parę połączyć, chociaż zwierzeń Tadeuszą w tej mierze nie miał, co go bolało.

* * *

Po odejściu hetmana, Walek naprędce i z przytomnością sobie właściwą oddał milicyi stosowne rozkazy, a kiedy do wykonania zabierano się, do komendanta pośpieszył. Zastał, że Tadeusz wybierał się w drogę, to jest składał swoje księgi i narzędzia matematyczne, bo co do reszty, jako biedny żołnierz, mógł powiedzieć: *omnia mea*

mecum porto. Jak stał, tak się w drogę miał puszczać. Na widok chorążego, twarz jego zasępiona wypogodziła się i witał go uprzejmie:

— Dobrze, że przybywasz mój Walku, bo oto mam ci zdać...

— Komendę. Wiem już o wszystkiem, że wyjeżdżacie z depeszami do króla... i o tej, jakoby wojnie i o stanie wojennym, bowiem komendę już przyjąłem; ale czy nic mi więcej do zdania nie macie?—przerwał wielomówny chorąży.

— A coż? — przemówił smutnie Tadeusz, — jeżeli łaska, daj tam baczenie na te moje księgi i naukowe rupiecie.

— Tyle tylko i nic więcej? — z pewną ironią spytał Walek, poczem spojrzał bystro w oczy Tadeuszowi, jakby z ich głębi chciał coś wyczytać, a nagle poskoczył do drzwi, zajrzał do przedsionka czyli tam kogo nie było i półgłosem z determinacyą mówił:

— Nie czas, komendancie, grać w ślepą babkę, nie czyniłeś mi wprawdzie konfidencyi, więc szturmem ją biorę i krótko ci powiem, że o pannę Ludwikę jutro pan pisarz się zdeklaruje i będzie przyjęty — wiadomość pewna.

Tadeusz zbladł jak chusta, a biednego Walka jakby gadzina w poczciwe serce ubodła i dalej a spiesznie mówił:

— Nie ma ani chwili czasu do stracenia, ja tu komenderuję, ludzie nasi za was w ogień skoczą, pannę zabierzesz, ulokujesz tymczasowo u mojej siostry zamężnej, co mieszka o milkę od warszawskiego traktu, a poczciwa babina, jak jej powiem, przyjmie was z otwartemi rękoma. Już w tem moja głowa, a resztę roznmniejszemi waszemi obmyślicie... Bądź gotów, ja także idę...

— Walku poczciwy! nie zawiodłem się na tobie, — mówił Tadeusz kładąc mu rękę na ramieniu. — Lecz mam do spełnienia misyę wojskową, byłoby więc zdradą... Sam, jako żołnierz zrozumiesz mnie.

— Tam do kata, takaż to sama musi być misya, jak on napad nieprzyjacielski i stan wojenny, wszystko to hetmańskie dyalogi, ale na ten raz nie udadzą się, już ja w tem.

— Żołnierz nie rozumuje, a spełnia — odparł surowo Tadeusz.

— Bóg z tobą, — rzekł smutnie ruszając ramionami chorąży, — ale przynajmniej godzi się abyś ją widział, pożegnał.

— O! za to dałbym resztę życia, co mi potem pozostanie! — zawołał w zapale Tadeusz.

— Tak dużo nie trzeba, a od czegoż jest Walek szalony.

To powiedziawszy nie czekał dłużej i wybiegł z izdebki mrucząc sobie:

— Ej! dyabeł po tych rygorystach. Niechby mi kto spróbował zdmuchnąć tak Małgosię, to choćby był pisarzem polnym, a nawet...

* * *

Walek pobiegł prosto pomiędzy krzaki oddzielające koszary od zamku i zaledwie wydał jakiś świegot ptasi, za parę chwil zaszeleściało coś i stanęła przed nim Małgosia.

— Małgosiu, co twoja pani robi?

— Ach, moja biedna panna chyba oszalała po tej rozmowie z jegomością, co to podsłuchałam, ty zaś wiesz;

udała się do siostry, obydwie panienki z początku długo dysputowały, płakały, a potem śmiały się i całowały...

— Po jakiego licha i czego?

— A to już nie wiem, bo mówiły po francuzku, a ty wiesz, że ja po francuzku niebardzo..

— Tylko niebardzo? — ale nie trać czasu, mów dalej gdzie twoja panienka?

— W swoich apartamentach, a taka wesoła, śmieje się, śpiewa...

— To chyba nie wie, co się z komendantem dzieje, że on za chwilę wyjeżdża.

— Gdzie zaśby nie wiedziała, a przecie kiedy jęgomość wydawał rozkazy, ja siedziałam za bzem.

— A niechże was wściornasty! zmienne podwiki i tybyś tak robiła, gdyby się dyspozytor Parznicki tobie zdeklarował. Et! niech was tam wszyscy...

— Czy ja u ciebie na to zasłużyłam za mój sentyment, żebyś posądzał, a jeszcze klął... — rozpoczęła ze łkaniem Małgosia.

— A niech cię z temi fochami, potem wybeczysz się, a teraz słuchaj pilnie co mam powiedzieć twojej panience.

— Ej! daj mi tam pokój, ja taka frasobliwa, jeszcze zapomnę, idź ty lepiej sam do panienki.

— Jeszcze czego, a toż przystoi, może panienka rozbiera się?

— Ani myśli, a zresztą kolegowaliście z nią w milicyi, ona cię bardzo nawidzi!

— Ano to pójdę, bo czas nie stoi — ale, ale, gdzie uniform wojskowy twojej panny?

— A tobie on na co? — Jegomość go już od przyjazdu tego nieznośnego pisarza zkonfiskował.

— Ano zaczekaj na mnie chwilkę, zaraz wrócę.

To mówiąc poskoczył ku cekauzowi w pobliżu stojącemu, gdzie już ludzie przy latarniach wybierali odzież i amunicyę, coś tam poszperał i wrócił do Małgosi.

— Ano prowadź mnie, bo nie ma czasu.

— Ale ty tem szabliskiem i ostrogami gotóweś narobić stuku i obudzisz starą Sancewiczównę.

— I to prawda, zaraz temu zaradzę. — Odpiął rzemienie z ostrogami i do kieszeni schował, a szablę w krzakach ukrył. Małgosia przez boczne schody szczęśliwie go niedostrzeżonym doprowadziła.

* * *

— A, kolega! — zawołała Ludka na widok Walka, przeciągając do niego drobną rączkę, którą on z szacunkiem do ust poniósł. — W porę przybywasz, bo oto właśnie piszę długi list do pana pisarza i byłam w kłopocie kto go odniesie, gdyż o tej porze Małgosi nie wypada.

— Będzie wręczony — odparł krótko chorąży.

— Albo nie — drąc list rzekła Ludka — chciej mu powiedzieć na słowach, bo jak to mówią: *verba volant...* — a jak dalej?

— Nie umiem powiedzieć pannie hetmanównie, przy mnie tego nie mówiono.

— Więc waszmość powiesz panu pisarzowi, że czekam na niego jutro równo ze dniem w zimowym szpalerze.

Skamieniał biedny Walek na tę niespodzianą apostrofę, a mierząc Małgosię surowym wzrokiem, zmówił sobie w duchu:

— O podwiki, podwiki! tamten biedak ledwo żyw z miłości dla niej, a ta wyznacza schadzki z pisarzem!...

— A więc idę — dodał głośno — bo pan pisarz może zasnąć.

— Ale spodziewałam się, że mi coś od komendanta przynosisz — rzekła Ludka z zaiskrzonemi oczyma.

Walek osłupiał i myślał:

— O białogłowy! białogłowy! I Małgosia taka!

Zawsze jednak, pożałowawszy Tadeusza, powiedział:

— Nie mam czasu na długie oracye, a jeżeli panna hetmanówna chce widzieć komendanta przed wyjazdem, to oto jest płaszcz żołnierski, furażerka, buty i z przeproszeniem reszta ubrania .. koń zaś zaraz czekać będzie za klombem świrkowym . a rępztę potem dopowiem, bo czas nie stoi.

— O zacna duszo, poczciwy Walku, jakże ci to zawdzięczyć? Chyba tak po koleżeńsku, jak ty postępujesz.

Rzekłszy to, uradowana dziewczyna na obu policzkach chorążego złożyła pocałowanie.

— O dalipan, nagroda nad zasługę—zawołał uszczęśliwiony Walek i wybiegł co rychlej wypełnić misyę przed panem pisarzem.

— Niech mnie kaczki zdepczą, to niepojęta dziewczyna: dla tamtego się przebiera, temu schadzkę naznacza i mnie w twarz całuje, a przecie i ja nie baba, a zawsze chłop — jeszcze sobie rezonował, drzwi pana pisarza uchylając.

Walek do innych zalet żołnierskich łączył i tę, że jak mówią, był gorąco kąpany, a wcale nie kunktator: za parę minut sprawiwszy się krótko z pisarzem, już był napowrót w koszarach, a że ludzi, stosownie do wydanego rozkazu, zastał gotowych, rozsegregował pikiety i w rozmaite strony, na wzięcie języka rozsyłając, perorował:

— Pamiętajcie, że sam objadę wszystkie placówki,

a kogo nie znajdę na posterunku, będzie źle, bo słyszeliście co pan hetman rozkazał.

Kiedy już wszyscy wyruszyli i Walek sam pozostał, zawołał do siebie swojego ulubieńca Grzesia.

Grześ był to 16-to letni nowozaciężny żołnierzyk, który pod tarczą chorążego jako jego luzak, karyerę wojskową atentował. Szczególnego też doznawał względu u swojego protektora, a to z wielu powodów: raz że tak jak on uciekł ze szkół, powtóre, że wszystkie rozpoczęte rzemiosła i karyery dla wojskowości opuścił, potrzecie że był żwawy i zwinny, a do swojego orędownika wielce przywiązany, bo w ogień by za niego skoczył. Atoli niemniej ważnym afektu powodem posłużyło i to, że był jak dwie krople wody podobnym do swojej siostry Małgosi, tak z twarzy jak i drobnych kształtów ciała, tak iż koledzy wojskowi Małgosią go przezywali.

Skoro tedy Grześ stawił się, ledwie tylko kilku szyldwachów pozostawało w koszarach i chorąży bez nich wydawał mu rozkazy:

—Siądziesz chłopcze na koń i pojedziesz ze mną na objazd placówek.

Zaraz już tedy byli na siodłach i Walek skierował się prosto ku świrkowemu klombowi, gdzie Ludka w wojskowych sukniach już czekała.

— Dalibóg p. Chorąży, nasza panienka -'rotmistrz znów po wojskowemu—wykrzyknał nie mogąc powstrzymać radosnego uczucia Grześ.

— Cicho w szeregach! nie kazałem ci poznawać nikogo smarkaczu—rzekł surowo chorąży, a gdy już zbliżył się do Ludki, zakomenderował: —z konia!

Grześ z konia zeskoczył, a Ludka nie czekając nowej komendy jego miejsce na siodle zajęła.

— Słuchajno Grzesiu, jeżeli to prawda że mnie kochasz? --rozpoczął Walek.

— Dalipan! zaraz po Bogu p. chorążego—przerwał z zapałem Grześ.

— To oto tego wszystkiego nie widziałeś i o niczem nie wiesz.

— Jak ślepy. Tak mi Boże daj zdrowie.

— Słuchaj i nie przerywaj: odszukasz zaraz siostrę, ale tak, ażeby cię nikt nie widział ani w zamku, ani w koszarach.

— Nie trzeba szukać siostry, bo ona tu—przerwał ze śmiechem cienki głosik Małgosi, ukazującej się z poza krzaka.

— A ty co tu robisz? pytał zdziwiony chorąży.

— Nie chciałam mojej pani opuszczać—rzekła głośno; a szeptem do ucha Waikowi dodała:—I ciebie przyszłam pożegnać, niedobry człecze!

— No, a więc kiedy tu jesteś, oto mój plan, z przeproszeniem panny Hetmanówny: ponieważ jegomość rozkazał, ażeby Małgosia przy was spała i drzwi ze środka nie zamykano, niech tedy na wszelki wypadek Grzesia położy na pani miejscu, a kiedy już hetman zaśnie, na godzinę przed capstrzykiem niech on czeka na mnie tam u wyłomu przy wale. Tak to skombinowałem, a bez obrazy panny hetmanówny, mam swoje plany, lecz może to nic przystoi, że ten smarkacz spać będzie na pani miejscu?...

Zmówił wszystko szybko i półgłosem chorąży, a pokłonem przed hetmanówną zakończył.

— Poczciwy jesteś i przewidujący moj dobry Walku, dziękuję ci szczerze. Małgosiu idź zaraz z bratem i wykonajcie co chorąży rozkazał, a nie dajcie się pojmać.

Małgosia ucałowała rączkę swojej pani, a pokryjomu

uścisnąwszy dłoń Walka, puściła się z Grzesiem przez zarośle ku zamkowi.

Dwaj ci wojskowi, oddawszy hasło przy zwodzonym moście, puścili się wielkim szlakiem. A gdy już bramę minęli, jeden z zaspanych czatów ozwał się do kolegi ruszając ramionami:

— Co też przyszło do głowy naszemu chorążemu, ażeby takiego chłystka, jak *Małgosia* (tak bowiem Grzesia przezywali) brać ze sobą na objazd i to w czas wojenny?

*
* *

Zaledwie odjechali, Tadeusz wezwany stawił się w komnatach hetmańskich.

— Masz tu waćpan depeszę do Króla Jegomości, a zauważ sobie, że pięć pieczęci z piórami (*) i ztąd weź sobie waść assumpt, że pospiech ma być jak największy, nie tracić ani chwili czasu; gdyby koń zachorował lub padł, masz oto w tym trzosie pieniądze, kup nowego nie szczedząc, a zresztą spuszczam się na roztropność waćpana, iż się dobrze sprawisz... rzecz bowiom wielkiej wagi.... Owo zaś jeszcze instrukcya dla waszmości, którą masz otworzyć dopiero po widzeniu z Miłościwym Panem.... A teraz niech Bóg prowadzi!

A skinąwszy głową, hetman odwrócił się od oficera, dając przez to znać, iz po wydanym ordonansie rozmowa przedłużyć się nie powinna.

(*) Było to dawniej zwyczajem, że nagłe depesze pieczętowały się w ten sposób, iż końce piór zwykłych do pisania pod pieczęć przylepiano lakiem, a większa liczba takich pieczęci pilniejszy pośpiech nakazywała.

— Czy wolno JW. panu przełożyć... — rozpoczynał nieśmiało młody oficer przy progu.

— A waść jeszcze tu, odebrawszy tak pilny ordonans, kiedy każda sekunda droga. Bez żadnych przełożeń mospanie, na lewo w tył marsz!—ofuknął hetman.

Tadeusz salutując, wyszedł z komnaty.

Hetman zaś zacierając ręce zadowolony, rzekł sam do siebie:

— Nietrudno było odgadnąć to przełożenie.... Ba! czego to się chce tym szarakom i że tam się nauczył jakiejś zagranicznej taktyki, jaż mu kolligacya z hetmanem pachnie! A wara!.... Ale, ale, strzeżonego i Bóg strzeże!

Mruknął hetman, a wziąwszy głuchą latarkę, na inne skrzydło zamku pospieszył i aż w apartamentach młodszej córki oparł się. Uchylił drzwi ukradkiem: w antykamerze chrapała Małgosia, a Ludka spała smacznie okryta z głową. Ujrzawszy to hetman uspokojony, zmówił sobie w myśli na pociechę:

— Owoż to jest z białogłowami, tylko ostro! Musiała się spłakać dziewka i lepiej zasnęła, jutro zaręczę ją z Pisarzem i ślubu zwlekać nie będę, bo djabeł nie śpi.

I cichutko równie jak wszedł, na paluszkach swoich hetmańskich, uspokojony oddalił się. A skoro już kroki pańskie słyszeć się nie dawały na korytarzu, pusta Małgosia zerwała się z posłania ze śmiechem, który zakończyła takim morałem do Grzesia:

— A widzisz braciszku co to za strategik twój chorąży, pilnie go tylko słuchaj, a wyjdziesz na ludzi.

* * *

Bezwątpienia i nam nietrudno odgadnąć co z prze-

pełnionej uczuciem piersi miało spłynąć na usta biednego młodzieńca, lecz z rozkazu hetmana i gwoli subordynacyi wojskowej legło mu kamieniem na sercu, tłocząc je niemiłosiernym ciężarem boleści. Jako jedyna pociecha pozostawało mu przyobiecane przez Walka pożegnanie z ulubioną i w niem chciał na tę podróż tajemniczą sił zaczerpnąć. Nie wiedząc wszakże gdzie to miało nastąpić, okrążył zamek, w jej oknach światła nie było; obiegł lasek przy domu, wszędzie pustka i cisza, żadnego znaku życia. Popędził ku koszarom i tam nikogo! Luzak trzymał już w pogotowiu wierzchowca; spytawszy go dowiedział się, że wszyscy i sam chorąży rozjechali się na placówki i wedety.

— Zapomnieli!—szepnął sobio boleśnie z westchnieniem i skoczył na sio.ło.

Za bramą i mostem zwodzonym, puściwazy wodze rumakowi i swojej żałości, pognał wielkim gościńcem. Na raz wyrwali go z tej głębokiej zadumy dwaj jeźdźcy, drogę mu zastępujący....

Tu już przed domyślnością czytełnika pióro ustąpi i czyli byli szczęśliwi jadąc we dwoje przed Walkiem, który sam w poczciwej usłużnej chęci był zadowolony, że swój zamysł do dobrego końca doprowadził?—zdaje mi się, że rozwałkowywać tego ustępu nie trzeba.

* * *

Jak jechali długo nie powiem, bo to pewna, że poprzedzający czasu który im się nie nudził wcale nie mierzyli, a kiedy już szarzeć zaczynało na niebie, Chodowiecki zamykający ten niewieliczki orszak, zakomenderował:

— Stój!

Przodujący komendę wykonali, Walek zaś podjeżdżając do nich, tak mówił:

— Widzicie oto drożyna na lewo, tam zaś pod lasem przy Męce Pańskiej skręcicie na prawo i prosto jak strzelił obaczycie dworek, brama zielono pomalowana, bo mój szwagier dobry gospodarz, a siostra Joasia poczciwa dusza; pokażecie jej tylko ten oto sygnet, a przyjmie was oboje jakby rodzeństwo i we wszystkiem dopomoże. Ojciec Bartłomiej nasz proboszcz, zacny staruszek, połączy was i... Niech was Bóg błogosławi!

Zakończył rzewnie i poważnie, kreśląc znak krzyża nad ich głowami i sygnet z palca zdjęty hetmanównie podał.

— Bądźcie zdrowi, Bóg z wami, — krzyknął co siła zdaleka i konia wstecz nawróciwszy, pognał drogą ku zamkowi.

I Ludka już była na ukazanej przezeń drożynce, kiedy Tadeusz puściwszy się w pogoń, zawrócił Walka.

— I czegóż wam jeszcze u licha trzeba, kiedy wszystko gladko ukartowałem? — zakrzyknął gniewu nie hamując.

— Nie wszystko jeszcze mój poczciwcze, — przekładał Tadeusz,—a najprzód wiesz czem to pachnie dla ciebie samego,—hetman nie pożartuje.

— Co komu do tego? — prawił nadąsany chorąży— czem tam zapachnie to powącham, to już moja rzecz. A teraz czas mi do koszar, a wam w drogę.

— Ależ mój Walku miej rozum, misya ważna wojskowa, honor, powinność żołnierska...

— To co innego, prawda wasza... A więc poczekaj, żeby, jak powiadają, wilk był syty a koza cała, dawaj mi

tu komendancie depeszę, przecie królowi Imci wszystko jedno kto mu ją odda, byle wiedział co zawiera.

To powiedziawszy, a pewny, ze zkowinwinkował, rękę do Tadeusza przeciągnął.

— Nie, kochany Walku, tak stać się nie może, obaj naruszylibyśmy powinność i przysięgę żołnierską... Lepiej Bogu nasze losy poruczmy, niech Jego miłosierdzie czuwa nad niemi.

Zwracając się do Ludki wyrzekł pewnym głosem, w którym wszakże łzy czuć się dawały, a spiąwszy konia ostrogami znikł im z przed oczu za kurzu tumanem.

Hetmanówna i chorąży sami pośrodku drogi pozostali: pierwsza wijące się kłęby kurzawy chciała przebić ognistym wzrokiem, Walek westchnąwsyy głęboko machnął ręką i zmówił sobie po cichu:

— Miły to ten stan żołnierza, ale podczas i ciężka powinność! Zawsze nie wiem czy takbym potrafił gdyby o Małgosię chodziło?

Puścili się ku zamkowi w milczeniu.

* * *

Od kiedy stał zamek Sosnowicki i hetman na nim panował, nie pamiętano jeszcze podobnie burzliwej nocy, jak owa poprzedzająca deklaracyę pana Pisarza. Hetman zapewniwszy się na wsze strony, że nic mu nie groziło: czaty porozsyłał, Tadeusza wyprawił, o śnie spokojnym córki osobiście się przekonał, uspokojony i rad dokonanemu dziełu i odwróoeniu grożącego niebezpieczeństwa, zamyślał sam zabrać się do wczasu. Lecz tyle sprzecznych myśli burzyło się w hetmańskiej głowie, iż nietylko sen się nie imał oczu, przed któremi jak widma snuły się:

córka ulubiona próżności i pychy ofiara, a z drugiej strony młody oficer, którego hetman wartość oceniał i lubił, poświęcony jego dumie, ze złamaną przysyłością,— wszakże powiadał sobie na pociechę: *pereat muudus fiat* państwo!

Hetman przy innych cnotach słynął z gorliwej pobożnószi i nie bywało przykładu, ażeby jako sodalis marianus opuścił kiedy post lub pacierze, które co rano z O. Kryspinianem odbywał; radząc więc teraz na bezsenność, wcześniej kapelana sprowadził.

Wszakże nim jeszcze pacierze ukończył, capstrzyk zatrąbiono i chorążego z raportem zameldowano.

Walek bowiem z Grzesiem nim słońce weszło na spienionych koniach wrócili do koszar. Dziwili się żołnierze jak to oni odbywali podjazdy, iż żaden patrol ich nie spotkał, a stare wygi zazdrościli Grzesiowi, iż taką świeżą i wypoczętą miał minę.

— Hej! hej! bodaj to młodość! ani znać na smarkaczu, że się całą noc przewałęsał — szemrali sobie z cicha wąsale.

Hetman zadawalniający raport chorążego wdzięcznie przyjął, poklepał Walka po ramieniu na znak ukontentowania i rzekł:

— Dobrześ się sprawił, chwali się asindziejowi... Okazało się wszakże, że denuncyacya była fałszywa, zatem stan wojenny zdjąć, niech ludzie wypoczną, każesz im wydać podwójną porcyę, a pomimo, że to dziś uroczystość na zamku, bacząc wszakże na ich znużenie, parady nie będzie.

* * *

Bezsenność tej nocy nie ograniczała się tylko na czynnych aktorach tych dziwnych wypadków.

Pan pisarz, kawaler przedewszystkiem światowy, nie lubił i starannie unikał wszelkich silniejszych wrażeń; był zaś tego przekonania, że sen dobry i długi dostarcza świeżości cery, o którą dbał niemało. Ponieważ zaś do dnia tak uroczystego jakim miał być dla niego jutrzejszy, szczególnej prezencyi we wszystkiem wymagał, zatem w wigilię zabrał się do wczasu, przyrzekając sobie przedłużyć go ile możności, gdy oto Walek przybył z wiadomą nam misyą od hetmanówny; a chociaż odbył ją rychło, bo jak wiadomo czasu nie miał do stracenia, jednak niemniejsze wrażenie po sobie zostawił.

Plater człek bywały, wojażer jak wówczas nazywano, nie z jednego pieca chleb jadał, a naczytał się różnych zagranicznych romansów, ba i napraktykował niemało; jeżeli więc uciekał się do prozaicznego ożenku, a do tego poniżał się do aliansu z parweniuszami, czynił to gwoli dobrze podrujnowanej fortunie i dla posagu a nie miłości. Jakkolwiek na resztę był obojętnym, atoli po misyi chorążego zapłonęła dawno ostudzona jego wyobraźnia, opanowała go pewna romansowość, sen opuścił zazwyczaj łatwe do sklejenia powieki i marzyć zaczął o tej przyszłej, która na kilka godzin przed wyrokiem łączącym ich na zawsze, jeszcze mu schadzkę wyznaczała.

Sama narada z kamerdynerem długo za północ się przeciągnęła, ważne rozstrzygały się kwestye: jaką włożyć perukę, jakich użyć perfum, który strój był do okazyi najstosowniejszym. Nim dysputa się ukończyła i czyjeś zdanie wzięło górę, szarzeć na dzień zaczęło i zaledwie

dość czasu do toalety zostało, — kawalerska bowiem powinność opóźnienia na schadzkę wzbraniała.

Capstrzyk trąbiono, a pisarz siedział niecierpliwie przy gotowalni, już tylko ostatnie mistrzowskie sztychy pozostawały i wprawny kamerdyner oskrobywał panu kościanym nożykiem osiadłe massy pudru na twarzy — gdy w tem w antykamerze rozległ się huk podwójny, jakby z dwóch strzałów pistoletowych pochodzący, a przytem silne zaklęcie:

— A niechże cię sto tysięcy djabłów z tymi niemcami, a to plugastwo kręci w nosie gorzej od tabaki!

* * *

Pisarz acz tchórzem nie był, mimowoli podskoczył na krześle, a kamerdyner chociaż francuz, lecz jeszcze nie całkiem Wolterem przesiąkły, kilka razy się przeżegnał; ony zaś huk ciągle się w antykamerze powtarzał. Pisarz tedy chwyciwszy parę kieszonkowych pistoletów, wyszedł na spotkanie niebezpieczeństwa i cóż ujrzał? Walka zacięcie kichającego w przedpokoju, który na widok wchodzącego, jak mógł umitygował się i prawił:

— Proszę o przebaczenie Imćpana pisarza, żem takiego łoskotu narobił, ale waćpaństwo nakadziliście jak na rezurekcyi, a ja skłonny będąc do kataru, rozkichałem się.

— Co jest na rozkazy Imćpana Chorążego? — spytał obojętnie Pisarz i chciał się do niego przybliżyć, lecz że Walek po podróży sukien nie zmieniał, ani oczyszczał, za każdem poruszeniem rozsiewał po komnacie kurz, który pisarza krztusił i o obawę o zwalanie sukien przyprawił, więc parlamentowali zdaleka:

— Owóż powiem krótko, co mnie przyprowadza, waszmość konkurujesz o młodszą pannę hetmanównę— czy tak?

— A gdyby tak?...—po namyśle, a pogardliwie odpowiedział pisarz.

— Jeżeli tak, to musisz waćpan wiedzieć, że ona jest oficerem w mojej chorągwi, którą ja teraz wprawdzie czasowo, ale zawsze dowodzę.

Plater zdziwione oczy w chorążego wypatrzył, a ruszywszy ramionami rzekł:

— Waszmość pan zapewne stroisz ze mną krotofilę, bo mi zrozumieć go trudno; wszakże chętniebym się z waszmością zabawił, gdyby nie wzywała mnie powinność kawalerska, stawienie się na porę, którą mi wczoraj wieczorem sam byłeś łaskaw zwiastować.

Po tych słowach zrobił gest jakby go chciał pożegnać, atoli Walek nieznający się na manierach salonowych, stanął mocniej na nogach i rzekł:

— Kiedy waszmości pilno, to objaśniać nie będę, a powiem w dwóch słowach, że pan konsensu chorągwi na poślubienie jej oficera t. j. panny hetmanówny Ludwiki nie otrzymasz, a jeżeli poparty wolą i przemocą rodzicielską zechcesz siłą zdobyć, więc ja w imieniu całej kompanii wyzywam go na rękę i bić się waćpan ze wszystkimi będziesz póki tego...

— Wprawdzie nie mogę pojąć waszmości, atoli najchętniej stawię się na wezwanie, — przemawiał Plater z wielką grzecznością — i służyć gotówem natychmiast, proszę ino o tyle zwłoki, ażebym zadość uczynił wezwaniu damy, natenczas będę miał zaszczyt być na zawołanie, ale teraz wybaczysz waszmość, że...—i gestem dokończył mowę, dając znać, że odejść przymuszony.

— Ależ dzielny z waszmości kawaler i gdybyś oto nie miał tyle mąki na sobie, a nie woniał tak lawendą i majerankiem, tobym waćpana uściskał, ale obawiam się, żebym w sam nos jegomości nie kichnął.... Lecz prawda wasza, że czas rozprawy nie uciecze, hetmanównie zaś dać na siebie czekać nie wypada; zatem służka uniżony waszmości, do zobaczyska. A jużto gdy przyjdzie do rozprawy, to mimo całej estymy jaką czuję dla osoby waszmość pana, oszczędzać go nie będziemy, zatem radą moją jest, abyś snadniej jegomość konkurów onych zaniechał.

Zmówiwszy we drzwiach, wyszedł z komnaty. Pan Pisarz zaś kiedy go kamerdyner de noviter na prędce oczyszczał i przystrajał, myślał sobie:

— Przecie ta jednostajność nużąca ustępuje z moich konkurów. Przedziwny sarmata, będziemy się bili! Tylko że to oni nie umieją na szpady, a ta barbarzyńska krzyżowa sztuka, ale mniejsza o to byle się bić. Cóż to jednak on prawił o randze oficerskiej panny, tego nie pojąłem, ale mniejsza. Dość, że z jednej strony pojedynek, ba lepiej, bo bitwa z całą chorągwią, w to mi graj! — no a tu schadzka miłośna, — na honor, zaczynają u nas się kształcić po zagranicznemu, o! żeby tylko nie te kapoty!

* * *

I stawił się pan Pisarz w lipowym szpalerze, a taki piękny i świeży, tak woniejący, że kwiaty i zioła wirydaża pachnieć przy nim nie śmiały. Zaraz tedy przebiegł wdłuż i szerz szpaler, a skoro przekonał się, iż przez damę nie dał się uprzedzić, pełną piersią światowego kawalera odetchnął.

Jak żołnierze powiadali na widok Grzesia: „bodaj to

młodość,“ tak godzi się powtórzyć na widok zbliżającej się Ludki.

Taka zaś była wabna, powiewna, leciuchna jak sarenka, lotna jak ptaszek!

Świeżuchny strój ranny cały z bieli, zdawał się jakby na skrzydłach całą tę lekką postać unosić, iż trudno było dać wiarę, że to ziemianka, a nie powietrzna istotka; mniej zaś snadno możnaby powierzyć, iż ta sama, której drobne nóżki ledwie się ziemi tykały, przed małym czasem, w grubym żołnierskim płaszczu i buciskach juchtowych, z pięć mil konno wycwałowała.

Plater pospieszając na spotkanie tego cudownego widziadełka, myślał sobie:

— Cudowna! prześliczna! nigdym jej jeszcze w tak korzystnem świetle nie oglądał. Jakem szlachcic, dla zdobycia tego pieścidełka bić się gotowem nietylko z jedną chorągwią, ale z dziesięcioma, na krzyżową sztukę, moździerze, szmigownice, co tylko zechcą.

Zbliżyli się wspólnie ku sobie.

Ludka z całą czarowną zalotnością, jakiej dotąd przed Pisarzem nie rozwinęła, podała mu rączkę, którą on do ust przycisnął i przejęty zachwytem, tracił oną pewność światową, a natomiast nieśmiałość go żaka opanowała.

— Wielce to uprzejmie ze strony waszmość pana, że raczyłeś stawić się na moję inwitacyę.

Przemówiła pierwsza hetmanówna i do tego piękną francuszczyzną, której dotąd w tych koralowych ustach nie słyszał; Ludka bowiem wziąwszy za główne zadanie odstręczyć go jako konkurenta, tej strony wielce dlań powabnej nie odkryła.

Pisarz oniemiał z zachwytu, uwodzicielka zaś dalej ciągnęła:

— Pragnęłam waszmość pana widzieć na osobności, ażeby szczerze podziękować za zaszczyt czyniony naszemu domowi, w którym szukasz aliansu.

— O pani, zaszczyt i szczęście po mojej stronie!

— Niech więc przynajmniej będą wspólne, gdyż mogę go zapewnić, że osoba poszukiwana przez pana sprzyja mu i podziela jego sentymenta.

— O pani! Ludwiko!—wołał pan pisarz unoszony do siódmego nieba, ugiąwszy kolano przed nowem bóstwem swojego serca, które po raz pierwszy przed jego prozaicznym wzrokiem taką świetną aureolę przywdziało.

— Panie pisarzu, co czynisz? Wszak te hołdy nie mnie należą. Cóżby sobie pomyślała Kasia gdyby nas zeszła?—gotowa by posądzić mnie...

Wymówiła niby z trwogą dziewczyna cofając się od klęczącego przed nią Platerą, który stając na równe nogi, zaledwie mógł przemówić z podziwu:

— Pani, ja nie pojmuję, chciej mi wyjaśnić?

— Dla mnie jeszcze mniej pojęte, że waszmość pan, mający za parę godzin uczynić deklaracyę o rękę innej, przynależny jej afekt wynurzasz przedemną, chcącą powitać go jako przyszła siostra i zapewnić o uczuciu tej, która ma być jego wkrótce bogdanką — z dobrze udanym gniewem wypowiedziała Ludka.

Pan Pisarz zaś mimo całej światowej rutyny, języka w gębie zapomniał i ledwie po czasie na argument się zdobył:

— Ależ mościa panno, zapewniam, że wcale nie miałem zaszczytu konkurować o pannę Katarzynę, a tylko...

— Może o mnie? W takim razie żałuję bardzo, że

doznasz waszmość zawodu, bo ja go nigdy nie zechcę i uprzedzam, że wola rodzicielska zmusić mnie do tego nie zdoła.

— Na honor!—myślał pisarz - chyba do czubków się dostałem? Cała chorągiew wyzywa mnie na rękę za to że się żenię z jej oficerem, panna pomimo zapewnień ojca, a co ważniejsza swatania samego króla jegomości, w dzień deklaracyi rekuzuje.

— Cóż mi więc pozostało, chyba pożegnać panią i zamek opuścić? Całej tej bowiem gry spenetrować mi niepodobna — przemówił głośno z głębokim pokłonem zderutowany Plater, widząc swoje zamiary od razu zniszczone.

— Panie Pisarzu, będę z panem otwartą jako z kawalerem zasługującym na estymę; otoż waszmość mając zamiar ustalić los swój przez małżeństwo, raczyłeś swój wybór na dom nasz skierować—a czyliby waszmości dano Kasię lub Ludkę, każdą byś przyjął mile i z tak statecznym kawalerem mogłaby się spodziewać szczęśliwej przyszłości...

— Jeżeli tak, dla czegóż pani nie chcesz mnie zaszczycić i uszczęśliwić?...

— Będę otwartą do końca. Gdyby serce moje było wolne, niezawodnie umiałabym ocenić jego chęć ze wszech miar zaszczytną... Panie pisarzu — ciągnęła z większem przymileniem—weź mnie za siostrę i przyjaciołkę.

I przeciągnęła doń rączkę, którą on z zapałem do ust przyciskając rzekł:

— Wyznam pani, że wpadam z jednej zawiłości w drugą, tak że mi się opamiętać i cóś przedsięwziąć trudno, zatem obieram drogę ślepego posłuszeństwa. Lecz

przyznasz pani, iż dla dostąpienia zaszczytu mieć ją za siostrę, koniecznem jest zezwolenie panny Katarzyny.

— Kasia podobała sobie pana od pierwszego wejrzenia, i nie zawaha się oddać mu ręki, bowiem jej serce już posiadasz. A do tego wierz mi pan, wasze charaktery zgodniejsze: ona więcej światowa, lepiej się będziecie bawić, a ja *żołnierz* dziewczyna, ze mnie wielkiej pociechy byś pan nie miał.

— Jeżeli już o nic więcej pretendować nie dajesz mi pani prawa, to i ten pomiędzy nami węzeł poczytuję dla siebie za skarb nieoszacowany i dla zdobycia go przed żadnem poświęceniem się nie cofnę.

— Oto co się zowie szlachetnie i po kawalersku postępować!—zawołała uradowana Ludka, potrząsając po koleżeńsku ręką pisarza.

— A to przednia dziewczyna i wcale mnie nie dziwi, że milicya hetmańska za nią się ustępuje—zmawiał w myśli p. Pisarz, a głośno dodał:—Więc kiedy tak jak starzy znajomi ze sobą otwarcie mówimy, pozwól pani zapytać, co będzie jeżeli podstęp się nie uda i ja łudzony nadzieją pozyskania dla siebie dwóch najsłodszych węzłów rodzinnych na świecie, żony i siostry, na koszu siądę i z kwitkiem odjadę?

— Już ja w tem, że się wszystko uda, jeżeli tylko pan ze swoim swatem Imci panem Cześnikiem, rzecz przezornie i dobrze poprowadzicie.

— Za nasze starania zaręczam, lecz zawsze coś nieprzewidzianego zajść może...

— No, w takim razie już ja będę pańską żoną, zawsze jednę z nas dwóch pan poślubisz.

— Gdyby mi kazano wybierać, w istocie wybór byłby trudnym. A więc puszczam się na on burzliwy ocean

na łodzi nadziei, sterowanej przez dwie pary czarodziejskich rączek,—przemówił pan Pisarz z galanteryą światowego kawalera, a w duchu sobie dodał:—Ba! czegoż mi potrzeba, w każdym razie połowa fortuny hetmańskiej mnie nie minie, to grunt, każda zaś z nich w swoim guście powabna.

— Jednakże pragnąłbym wiedzieć, jaki jest plan pani, bo już i ja muszę odegrać choć podrzędną rolę w tem intermedium—rzekł głośno:

— Wcale nie podrzędną, ale pryncypalną, a oto mój plan w paru słowach: Waszmościowie z p. Cześnikiem, który ma się deklarować w imieniu króla Imci, przywozicie list królewski, a ten chociaż, jak mi wiadomo, będzie stanowił niespodziankę przy solennem oświadczeniu, jednak już nie jest bezwarunkową tajemnicą, bo odczytał go ojciec matce i wiem na pewno, że nie zawiera w sobie wyrażonego imienia żadnej z nas, a tylko chodzi o córkę hetmana Sosnowskiego—owóż pan i jego swat...

— Cha! cha! — przerwał Plater wybuchając śmiechem—oświadczy się o pannę Katarzynę i już wiem co dalej: królewskiemu żądaniu nie będzie śmiał hetman odmówić i... i będziesz mi Waćpanna siostrzyczką.

Zakończył Pisarz rozweselony, a całując obie rączki twórczyni tego podstępu, od śmiechu nie mógł się wstrzymać:

— Ale to pani... a raczej siostrzyczka... nie wyobrażasz sobie, co Puzyna jako szczwany lis sejmikowy, a orator przytomny i wyćwiczony w wykrętach, zrobi z tego za cacko—a pewnie nie zaniecha, bo żeby tylko zdobył czem Króla zabawić, to do piekła wleźć gotów... Cha! cha! Ale nie ma czasu do stracenia, muszę całą repetycyę z sza-

nownym swatem przebyć. A więc do widzenia, przyszła siostrzyczko.

I na śmiechu skończyła się ta schadzka miłośna, z której tak się gorszył poczciwy Walek.

Plater był to także jowialny i rubaszny szlachcic, a nawet więcejby go kochano, gdyby tak kuso z niemiecka nie patrzył.

* * *

Czyliż potrzeba wam powiadać, co to za parada była na zamku hetmańskim. Raz uroczystość zrękowin, nigdy dotąd nieodbywanych w tym domu; potem nadzwyczajny proceder ich wykonania, o którym skoro się powie, każdy obeznany o tyle o ile z naszej powieści, z zamkiem i jego panem, łatwo wywnioskuje, co to za solenny fest być musiał.

Duży zamek mało nie pękł od natłoku gości, tylu ich tam ściągnęło, wprawdzie takich i owakich, ale i znakomitszych było co nie miara, — rozumie się, że i dostojnik kościoła Imć Ksiądz Biskup — o tego wprawdzie było nietrudno, gdyż był swój własny, bo brat rodzony gospodarza.

Owoż tedy gdy już wszyscy w wielkiej sali zasiedli, snadno poznałbyś z ich powagi i zadumy, że solennego aktu oczekują.

Nakoniec rozwarto podwoje i przez nie wtłoczył się personat poważny Imćpan Puzyna Cześuik Żmudzki. Pan to był wielce stateczny, a nawet orderowy, korpulent też nielada, a więc postępował ciężko, jakby oddział milicyi. Suto co się zowie odziany w mundur, który bogatym ornamentem wedle własnej fantazyi ustroił, bo kontusz jego

zaledwie przeświecał ponsową barwą, przez złote pętlice i bramowania; a że do tego żupan się biały stosował, więc miał go ze srebrnej lamy, a tak ciężkiej, że jakby blacha gięła się. Niepomału był spocony i zzjajany pan Cześnik, bo niemylnie możnaby twierdzić, iż strój taki za starożytną ważył zbroję. Do tego zaś jeszcze na wysuniętych przed się rękach dźwigał bogatą poduszkę, na której spoczywał jakiś dokument z dużą czerwoną pieczęcią.

Na przybycie czcigodnego męża wszyscy powstali; on pokłoniwszy na prawo i lewo, stanął pośrodku, odsapnąwszy zaś jak powadze i korpulencyi przystało, tak iż wszelkie draperye u okien, lżejsze szaty niewiast i lekko upiętrzona peruka pana Pisarza wstrzęsły się, rzecz deklaracyi zagaił.

A że mówił pięknie, tegoby mu wróg zacięty nie zaprzeczył: był to bowiem sławny retor sejmowy i mówca przygodny doświadczony. Jak się w podobnych razach praktykowało, zawadził o prozapię obu rodów, których początek jeżeli nie od prarodziców Adama i Ewy, to co najmniej od potopu prowadził. Niech się Danejkowicz schowa ze *Swadą,* przed Cześnika darem krasomówczym. Płakały białogłowy, choć łaciny gęsto przeplatającej mowę nie rozumiały, a mężowie dziwując się, zazdrościli oratorskiej weny. A cóż dopiero gdy przebiegłszy wszystkie stopnie retorycznych ozdób, mówca popłynął do konkluzyi, która mniej więcej sens ten zawierała:

,,Nie bacząc, iż to co się wyżej zmówiło, sercem pełnem estymy i weneracyi dla obojga podzielam i czuję; atoli w tym solennym momencie niechaj na mizerne usta moje spływa słodycz miodowa paszczęki lwa Samsonowego! Zaledwie bowiem elokwencya Demostenesa, Cycerona, albo li chrześciańska Chryzostomowa, wszystkie plączące

się w sercu sentymenta *juste et in pleno* wylać zdoła. Mnie albowiem nędznego taki zaszczyt spotyka, że nieudolnemi usty przemawiam w dostojnem imieniu Jego Królewskiej Mości, Pana mojego miłościwego, który w swej niestrudzonej pieczołowitości o dobro poddanych, nieuśpionemi trudy tak dzieło Bellony jako i Hymenu wysoką protekcyą zaszczyca i mnie to najniższego ze sług Jego ten spotyka honor, że w Najwyższem imieniu ciebie Hetmanie polny litewski o dostojną córę dla Imćpana Pisarza polnego litewskiego w małżeństwo upraszam.“

Tu pismo złożone na poduszce Sosnowskiemu podał, który drżącym od wzruszenia głosem, przytomnym je odczytawszy, pomyślał sobie w duchu:

— Owoż masz gawiedzi! zważ pilnie, że sam Król Jegomość o córę się moję oświadcza.

A do tego cieszył się w duchu, iż stał się dyalog nad dyalogi, do którego on ręki nie przyłożył. Jak zaś ze swej strony sypnął wymową, to wszystkich przytomnych zadziwił, a kończył zwykłą w podobnych razach konkluzyą:

. . . . . „I owo za wolą Najwyższego Boga i rozkazem Miłościwego Króla, wstawieniem waszem cny Cześniku, a mnie wielce mościwy panie i bracie, tudzież za niekłamanym idąc popędem naszego rodzicielskiego afektu, tę oto najmilszą córkę naszą w dozgonny sentyment i łaskę Imć pana Pisarza polnego powierzamy. Oby...”

Tu z kolei następowała cała ulewa życzeń i błogosławieństw, lecz przedtem wypadało z obyczaju, jakby z ręki do ręki oddając, tę bierną i ofiarną oblubienicę ku swatowi przysunąć. Tym końcem hetman Ludkę przy sobie pod ręką postawił, lecz gdy uszczęśliwiony niezmierną łaską królewską wpadł w oratorski zapał, Ludka nieznacznie z siostrą miejsce zamieniła i zamiast niej Kasia przy

swacie stanęła, ojciec zaś zajęty najważniejszą częścią mowy, bo konkluzyą, na zamianę nie dał baczenia

Aż gdy z kolei na nowo Cześnik podziękowania sypał, opatrzył się hetman i bez ceremonii przerywając rozpoczętą mowę, a chwyciwszy Kasię za rękę, odciągnął do siebie i zapamiętale zawołał :

— A niechże cię raba suka gryzie, to nie ta!...

* * *

Osłupieli wszyscy przytomni, nie pojmując co to za scena odbywała się. Hetman tymczasem zaognionym wzrokiem szukał Ludki, która odważywszy się na ten krok zuchwały, nie mogąc już dalej dostać placu, zbiegła z komnaty. Zamieszanie było ogólne, wszakże prawdziwe jego znaczenie ledwie dla kilku głównych aktorów tej sceny było zrozumiałem.

— Ludko! niech cię raba suka, pójdź sama tu — wołał zaperzony hetman nie mogąc córki odszukać.

Lecz takiego biegłego retora jakim był czesnik, niesnadno było zbić z tropu, osobliwie, że uprzedzony przez Platera, podobał sobie tę krotofilę zamiany oblubienic i umyślił ją do pożądanego końca doprowadzić, już choćby dla tego samego, ażeby swojemu panu, którego bawić miał sobie za miłą powinność, sprawić niespodziankę i dać pochop do rozmarszczenia jego królewskiego czoła.

Skoro tedy Sosnowski nie bacząc na gości i przytomność quasi posła królewskiego, upędzał się za krnąbrną córką, — cześnik wziął czapkę z drogiem czaplem piórem, zawieszoną na karabeli i nakładając na głowę, gromkim ozwał się głosem:

— Jako poseł jego królewskiej mości i nunciator

najwyższej woli, przenieść tego na sobie nie mogę, iż względem mojej osoby, święty charakter posłannictwa majestatu na sobie noszącej, wyrządzoną jest krzywda nieposzanowania. Protestuję się tedy wami jw. i ww. panowie, a wielce mi miłościwi bracia, iż zmuszony byłem obrazą i nieprzystojnem zachowaniem, charakter missyi wysokiej zdjąć ze siebie i dom ten gdzie lezyę monarszemu majestatowi wyrządzono, opuścić.

Co tam w duchu myślał niewiadomo, lecz zmówił rzecz takim jupiterowym głosem, aż przytomni zadrżeli i brząkając szablami, jeden drugi wykrzykiwać zaczął:

— Co to jest — zniewaga dla powagi królewskiej, oddać tu zaraz oblubienicę, albo ją gwałtem zdobędziemy.

Tymczasem Puzyna zawsze z nakrytą głową, wolnym i poważnym krokiem ku drzwiom się skierował. Wtedy biskup podchodząc do brata szepnął mu:

— Co się tam upierasz p. bracie, daj mu tam jakiej żąda, a zresztą obie, bo gra to nierówna i niebezpieczna.

Pociągnął brata i drogę cześnikowi ode drzwi zastąpili, a molestowali go długo razem z hetmanem, a gdy stateczne i poważne osoby do tego się przyczyniły, w końcu ułagodzony Puzyna zdejmując czapkę, ozwał się:

— Jakżeż to mosanie da się tłómaczyć podobna akcya, że dając córkę, potem ją odbierasz i na inną mieniasz? Osobliwie kiedy w imieniu króla Imci deklaracya jest czyniona.

— Ależ ja zawsze byłem przekonany, iż Imćpan pisarz o młodszą konkuruje.

— Ponieważ Najjaśniejszy Pan nie wymienił w piśmie o którą, rozumieć zatem chciał, co ja obecnie jako tłómacz jego wysokiej woli, stwierdzam, że stosownie do prawa pierworodztwa, za starszą się wstawiał. A nareszcie

on żyw jest, niech sam wyda świadectwo — odparł Puzyna ułagodzony, wskazując na Platera. — Wyznaj więc waszmość szczerze jak rozumiałeś?

— Ja mości cześniku zawsze kierowałem afekt mój do starszej hetmanówny imci panny Katarzyny.

— Ośmielę się spytać ichmość panny, czyli dobrowolnie skłoniłaś się sentymentem ku imci panu Pisarzowi? — zwrócił się cześnik do Kasi.

— Z mojej strony i za wolą rodziców, jmćpanu pisarzowi przeciwną nie jestem—odpowiedziała zapłoniona Kasia.

— A niechże cię raba suka... skoro taka wola Miłościwego Pana i wy tak chcecie, to bierz ją sobie panie pisarzu—odparł hetman zawsze gniewny i niebardzo świadom co się z nim dzieje. Wzrok zaś jego zagniewany gonil za Ludką, którą za sprawczynię tego nieprzewidzianego dyalogu uważał.—Spodziewam się zatem mości cześniku, że woli Najmiłościwszego Pana mojego stało się zadość i że waszmość tak jako jego dostojny nuncyusz i zarówno w swojej osobie miłościwego mi brata, rankoru ku mnie nie żywisz.

— Mości hetmanie, personaliter co do mnie oprócz estymy i niekłamamanego sentymentu dla waszmość pana i brata, nic innego w sercu mojem nie żywiłem i da Bóg do grobowej deski żywić nie będę. Atoli jako poseł królewski tak lekko rzeczy pertraktować nie mogę i bacząc na chwiejność waszej decyzyi mości hetmanie, nie śmiem w imieniu króla jmci na tem poprzestawać...

— Przecie waszmościom daję którą chcecie—wyjaśnił hetman, gniew tamując.

— Gdybym sam był tej sprawy aktorem, anibym

śmiał wątpić, lecz jako poseł wymagam większej i silniejszej rękojmi.

— Czegóż więc?

— Otóż jest jks. biskup, mocen swoją duchowną powagą od formalności i zapowiedzi oblubieńców dyspensować i niezwłocznie węzłem małżeńskim połączyć.

— Ale czy to podobna?

— W takim razie, złożę z siebie missyę, którą mnie król jmć zaszczycić raczył i już czyńcie jak wiecie—od swojego zaś warunku nie ustąpię i wymagam go jako nieodzownej naprawy za wyrządzoną lezyę królewskiemu majestatowi, w osobie jego posła.

I powoli czapkę niósł ku głowie, lecz mu biskup rękę zatrzymał, a tymczasem szlachta na nowo zaburzyła się i wrzeszczała:

— Prawo po stronie cześnika, obrażono majestat królewski!... Niech biskup ślub daje!.. Nie odstąpimy od tego,... Rąbać będziemy.

— Miej rozum panie bracie, bo łaska pańska na pstrym koniu jeździ. A tu szlachta zaburzona, Bóg wie czego się dopuścić gotowa, skandal i sromota ma dom poczciwy—szeptał biskup do ucha braterskiego.

— Daj im tam ślub, już mi wszystko jedno, niech cię raba suka... kiedy taka wola jmćpana posła królewskiego — rzekł hetman do brata, a szukając Ludki zaiskrzonemi oczyma mruczał z pasyą:—To ladaco za wszystko mi odpowie, rozumiem, to miłostki z Tadeuszem.

Ks. biskup pospieszył do kapłicy na solenny akt się gotować. Podczas zaś ogólnego zamieszania Puzyna, na którego przebiegłem obliczu zadowolenie rozsiało się, zacierając ręce szeptał do Platera:

— Owóż co się nazywa gracko się spisać, króla jmci

będzie czem ubawić, a ty już raz skończysz, bo gdyby nie to, z tym waryatem hetmanem nic byś nie wskórał.

Biskup nie ociągał się, odgadywał bowiem, że po za tym ślubem jakieś beneficyum z ręki królewskiej kapnie mu.

Rozległo się w kaplicy echo słodkiego hymnu „Veni Creator“.

I klamka zapadła. (*)

Pisarz odbierając między innemi powinszowania Walka, spytał go:

— A kiedyż termin naszej rozprawy?

— Eh! nie mów pan o tem, bo nikt z naszej chorągwi nietyłko by waszmości szpilką nie drasnął, ale ostatnią kroplę krwi dla was by wytoczył.

*
* *

Mutantur tempora. Co przy dzisiejszych środkach szybkiej zmiany miejsc, poczytanoby za karygodne opóźnienie, to na one czasy uważano za pospiech: i tak nasz poseł hetmański Tadeusz, zadość czyniąc rozkazowi, mniej niż w dwie doby stanął przed królewskim zamkiem, który na tę chwilę gorzał licznemi światłami,—były assamble u dworu.

Chociaż kuryery na zamku nie byli rzadkością, lecz nim podróżny oficer przebył liczne straże i kurdegardy zamkowe, oraz posterunki dworskiej gawiedzi, radej zawsze natrętnym przybyszom dostęp do osoby pańskiej utrudnić, sporo przeminęło czasu, nim do przybocznej służby się dostał. Nareszcie stawiono go przed królem, który

(*) Wnukiem tej pary małżonków, był znany z pobożności i ascetycznego życia, niegdy prałat Łucki, ks. Wiktor Ożarowski, zmarły przed dwoma laty w klasztorze OO. Kamedułów, na Bielanach pod Krakowem.

zazwyczaj nie rad był. ile razy ciężki obowiązek panowania stawał mu w poprzek drogi zabawy i przyjął go z nieukontentowaniem, przebiegł znudzonym wzrokiem depeszę, a ruszywszy pogardliwie ramionami, podał ją stojącemu obok poufnemu sekretarzowi Kicińskiemu, szepnąwszy mu po francuzku:

— Dziwak ten Sosnowski, śmie mnie turbować jakiemiś romansowemi sprawami, mógłby je tam w domu załatwić — a do przybyłego sucho przemówił:

— Waszmość pozostaniesz na miejscu i masz oczekiwać dalszych moich rozkazów. Zapewne mieć będę dla niego destynacyę, do nowego ordonansu z miejsca się waćpan nie ruszysz, o reszcie Komarzewski go zawiadomi— i wskazał na wojskowego wyższej rangi, który przy boku się jego znajdował, kuryerowi zaś kiwnął głową na znak, że audyencya skończona.

Tego końca oczekiwał młody goniec z niecierpliwością i zaraz po odebraniu rozkazu króla, spieszno mu było doczekać pożądanej chwili, kiedy ową tak zwaną instrukcyę wolno mu będzie otworzyć. W pośpiechu zapomniał, że on i wierny wierzchowiec nie mieli jeszcze dachu nad głową i upadali ze znużenia. A skoro znalazł się osamotniony w kąciku dziedzińca zamkowego, przysłonił się przy jakiejś zasmolonej latarce i rad nakoniec, że po audyencyi królewskiej zdobył już prawo odczytania onej tajemnej instrukcyi, do czego niezwłocznie przystąpił:

O ile na pozór list hetmański był słodkim i uprzejmym, o tyle dla biednego Tadeusza mieścił jadu i goryczy, w tej zaś mniej więcej treści zawartej: hetman wyrażał, że oceniwszy niepospolite zdolności i wysoką naukę młodego oficera, nie przewidywał dla nich dostatecznej przyszłości w przybocznej swojej chorągwi; że takowe obszerniejszego

wymagały pola popisu i sławy, a zatem polecając go królowi, z wielką dla siebie przykrością rozstaje się z nim na zawsze. Kończył zaś delikatną prośbą w przypisku, ażeby zawarte w trzosie pieniądze, jako i konia przyjął w charakterze słabego wynagrodzenia, za trud tak komendanta chorągwi, jako i nauczyciela córek.

— Wypędzają jak żebraka z jałmużną, z pod bramy hetmańskiej,—wyjęczał głucho z pogardą zacisnąwszy pięście, a zerwawszy trzos ze siebie, miał już cisnąć o ziemię, konia zaś na dziedzińcu zamkowym na wolę Bożą porzucić, jako także datek charakter jałmużny noszący; lecz nadejście jakichś ludzi ochłonąć mu dozwoliło;—wziął tedy za uzdę zziajanego wierzchowca i że spuszczoną głową powlókł się z nim na miasto.

* * *

Tadeusz pomimo ciężkiego znużenia, powitał słońce dnia następnego w bezsennośsi. Najlotniejszem piórem napróżnoby gonić smutne i rozpaczliwe myśli, przesuwające się w skołatanej głowie młodzieńca, na raz zawołał:

— Najprzód, jakiem prawem poniżył mnie hetman jałmużną, o którą wcale nie prosiłem? Rzucę mu w oczy to jego złoto, a potem niech co chce będzie! Ale rozkaz królewski nieruszenia się z miejsca do nowego ordonansu, —szeptał mu zawsze nieubłagany rozsądek. Atoli zapał i draśnięta ambicya odpowiadały:—Coby mnie nie czekało mniejsza o następstwa, ale takiego poniżenia nie zniosę.

Spłaciwszy szczupłą należność za nocleg w lichej izdebce gospody, konia do drogi zarządził i już kładł nogę w strzemię, gdy nowa a bardziej do wzburzonego umysłu trafiająca rozwaga, pierwszy popęd wstrzymała:

— Przyrzekłem, iż bez wyraźnego *jej* rozkazu *tam* nie powrócę,—pomyślał sobie.

I żołnierzowi wdrożonemu do karności wojskowej, który przed chwilą surowy zakaz króla obojętnie śmiał przestąpić, dość było jednego wspomnienia, ażeby ochłonąć w zapale i wszechwładnej woli serca bez szemrania się poddać.

W skutek nowego postanowienia, konia z rzędem sprzedał jak mógł najlepiej, pieniądze dołączył do trzosu, którogo w drodze naruszać nie potrzebował; zostawała mu bowiem skromna oszczędność od lafy oficerskiej. Całą zaś kwotę dnia tegoż w depozycie banku Teppera na imię hetmana za kwitem złożył—co nikogo dziwić nie mogło, bo Sosnowskiego na depozyta stać było.

I lżej mu się stało, gdy zrzucił ze siebie ono brzemię upokarzającego datku i... czekał.

Od czasu do czasu dowiadywał się do jenerała Komarzewskiego; ten byle się zbyć natręta, do jakiejś go komendy, jak wówczas nazywano, przyłatał.

Lecz zkąd i w jaki sposób najpożądańsza wieść od *niej* miała przypłynąć? Pytał gwiazd, powietrza, latających ptaków,—ale napróżno i czekał, jak potępieńcy oczekują zmiłowania bożego, — a to czekanie było nad siły ludzkie.

* * *

Razu pewnego przed bijącym się z myślami w swojej ciasnej izdebce, stanął jakiś parobczak wiejski, a nim pospieszył Tadeusz zapytać: co zacz i czegoby żądał:

— Stawię się do apelu mości komendancie—salutując militarnie, odparł przybyły.

— Walek! drogi Walek!—zawołał w uniesieniu Tadeusz i zawisł na tej poczciwej piersi.

Skoro się dość sobą nacieszyli, uśmieli a napłakali.

Powiedzże mi Walku — rozpoczął Tadeusz — co ten strój oznacza?

— Poczynajmy po komendzie: najprzód to rozkazano wręczyć do wiernych rąk waszmości — rzekł Walek i w tej chwili dobył kozik, a rozpruwszy siermięgę, pismo podał i widząc iż je Tadeusz iskrzącym wzrokiem pożerał, rósł w pychę poczciwego serca.

— Wszakże tu siła wypadków do ustnej twej relacyi pozostawiona—ozwał się Tadeusz, skoro już pismem na wsze strony się nacieszył.

Rozpoczął tedy Walek a po swojemu nie bez pewnego komizmu, opowiadanie wszystkiego co nam wiadome; takie zaś jowialne zwroty swojej narracyi nadawał, iż słuchacz zabaczywszy frasunków, dawny uśmiech odzyskał.

Cóż tam teraz na zamku?—zapytał z kolei.

— Aj! na zamku tak jak w grobie, chociaż mnie tam wprawdzie nikt dotąd nie posłał, ale imaginuję sobie że i tam weselej niż w Sosnowicy. Po wyjeździe państwa pisarzostwa, którzy tak do siebie od razu przystali jakby się w korcu maku znaleźli, bo co prawda, to on gdyby się ze szwabska nie stroił, a jakiemiś medykamentami nie oblewał, to chłop taki sam z przeproszeniem, jak każdy inny—owóż po ich wyjeździe pan hetman srodze się namarszczył, byłby się może sierdził i rzucał, ale nie było na kogo, bo panna Ludwika zaraz do łóżka się położyła...

— Co, chora? — przerwał niespokojnie Tadeusz.

— Ej! chowaj Boże, nie trwożcie się. Małgosia mi to tłómaczyła, że im tak z taktyki wypadło, to jest nie z naszej militarnej, ale i oni tam mają jakąś swoją biało-

głowską, co prawda ja się tam ani na tamtej ani na tej nie znam. Kazała mi panna hetmanówna złożyć u siebie wszystkie wasze książki i narzędzia, a nie wychodząc z pokoju na nich tylko czytała i coś mierzyła; czasem kiedy już hetman zasnął, wezwała mnie przez Małgosię, żeby o was pogadać. Oj, bo w zamku kaducznie nudno się zrobiło, tak że i szczury się w basztach przerzadziły, jak Grześ powiadał; a jeżeli niekiedy gość się zjawi na zamku, to jak po ogień.

Długo prawił Walek nim wszystko wypowiedział, a Tadeusz nie nudził sobie wcale jego gadulstwem, aż nakoniec zapytał:

— A może już przyszła kolej żebyś mi wyjaśnił, co ów strój znaczy?

— Ano, to tak było: po czasie, kiedy już wszystko uspokajać się zaczęło, panienka mi rzecze.

— Możebyś Walku odwiedził komendanta w Warszawie i oddał mu to pisanie — a jeszcze dam ci i ustną instrukcyę?

— Czemu nie — odpowiem — poproszę pana hetmana żeby mnie urlopował.

— Tylkoż daj jakiś inny pretekst.

— A za kogoż to panna hetmanówna mnie ma, bo choć ja nie taktyk, ale przecie mnie w ciemię nie bito; ot powiem, że mój ojciec chory i w polu nie ma komu doglądać — odrzekłem uczciwszy uszy panny hetmanówny i wasze, nieco urażony.

Tedy ja do hetmana, przekładam i to i owo.

Ale to bieda, że on lubo może wszystkiego nie wiedział, jednak wiela się domyślał, a podejrzliwym był — więc do mnie ostro:

— Komuż u dyabła zdasz komendę, przecie ty dziś tylko jeden oficer, siedziałbyś w domu.

— Ja tedy po rozum do głowy — prawił w dalszym ciągu Walek — i na jednej z musztr konnych, które często hetman sam dla rozpędzenia nudow, odbywał, siadłem na bułanka, co to wiecie ciasnej popręgi nie lubi, a ścisnąłem mu ją zębami. Wyjeżdżam przed front, bułanek mój fik, mik, a daje szczupaki aż do nieba; gdyby trzeba było, to nie chwaląc się dosiedziałbym taki, ale ja benc o ziemię i wrzeszczę „oj noga, noga." Podjęli mnie, a nasz chirurg jak jął opatrować i naciągać, tak mi psiawiara naprawdę wyciągnął, że dotąd nalegam; oddano mnie do lazaretu, a tak dobrze udawałem, że Małgosia zemdlała z onego mojego bólu i dowodnie przekonałem się, że mnie ta dziewka miłuje, — wtrącił chorąży z przechwałką.

— No, a dalej? — pytał ciekawie Tadeusz.

— Leżę tedy dzień drugi w lazarecie, a kupuję wiśniówkę chirurgowi, za to, żeby mnie nie ciągnął za nogę, aż tu siostra już uprzedzona przez Małgosię i Grzesia, wpada z lamentem do hetmana, że nie ma mnie komu doglądać, ja tu umrę, u niej zaś jest baba znana znachorka, która mnie bez ochyby wyleczy A skoro zaczęła mu dogadywać jak to baby umieją, hetman mnie urlopował do domu siostry, aż do wyzdrowienia i... ja ot tu przed panem komendantem i koniec·

— No, ale cóż znaczy ta maskarada, jakby na kuligu?

— Ot co znaczy, że strzeżonego i Bóg strzeże — hetman nasz od jakiegoś czasu bardzo podejrzliwy, pościągał do milicyi kat wie skąd jakieś tałałajstwo, a szpiegów z nich narobił i powiadają że się ciągle włóczą po drogach. Owóż ku większemu bezpieczeństwu tak ukartowałem: szwagier mój jak to rok rocznie, wyprawiał się

uczciwszy uszy komendanta, z wieprzakami do Warszawy, ja tedy stanąwszy u niego za parobka, przypędziłem mu nierogaciznę i rad byłem żem sobie nogi rozchodził, bo to nim się z tą chorobą uporałem i żeby się przed szpiegami nie zdradzić, to jakie parę tygodni z łóżka nie wstałem; byłem w strachu, że już chodzić zapomnę...

— Ale, ale, my tu sobie gadu, gadu, — podchwycił Walek jakby sobie przypominając, a tu podobno stoi w tem pisaniu ordonans, ażebym komendanta przywiózł ze sobą jak najspieszniej.

— Tak w istocie, wszystko to jeszcze omówić nam należy, ale ja mój Walku nie mam już konia, bo...

— A to tem lepiej, niewiedzielibyśmy bowiem, co z nim robić i konno podróżować to wzbudzi podejrzenie. Ze szwagrem zaś jest wóz, na którym jechały karmne wieprze, żeby przez drogę nie schudły, a że on od razu szczęśliwie cały towar spieniężył, więc tym wozem nie czyniąc godności waszej deszpektu, wrócimy do domu; konie zaś dobre prędzej więc dojedziemy niż wierzchem.

* * *

Nie myślcie jednak, żeby Tadeusz, chociaż nie dostąpił żadnej stałej nominacyi wojskowej, czas w Warszawie na próżnowaniu trawił; jako żywo, bo chociaż o jego karyerze, wynagrodzeniu i awansach nikt nie pomyślał, atoli przy obszernem naówczas potrzebowaniu zdolnych wojskowych do wprowadzania nowych reform, wiele jak to powiadają, dziur nim zapchano: tam uczył taktyki, indziej musztry zagranicznej, tu pracował nad topografią, był sto razy jeden, głoszono o jego zdolnościach i nauce, podziwiano przytem skromność i... nic więcej.

Był to bowiem przeważnie czas dworactwa, kiedy zabiegi, pokłony i forfanterya popłacały: kto nie wrzeszczał w niebogłosy, a nie błyszczał chociażby szychem, ten latami zasługi niczego nie dostępował. Tak to się działo i z Tadeuszem umiejącym pracą stać się pożytecznym w pokorze, cenić go musieli, więc cenili, ale nic nie dawali bo się nie dopominał.

Między innemi generał Komarzewski, najbliżej wówczas króla położony, był wielce przychylny i szacować umiał zdolności i pracę młodego oficera, a może i podziwiał, że między rojami dworaków i zabiegających nigdy go nie napotkał, a pierwszy to raz po rozmowie z Walkiem, Tadeusz przybył do niego, jakoż uprzejmie był witany.

Jenerał był to człowiek wyższego towarzystwa, wielce światowy, a dworak, lecz przy tem przyjacielski i chętny do oddania posługi, a dla tych zalet mniej doznawał od otaczających zawiści i niechęci, jakie zazwyczaj obudzają w dworakach zbliżeni do tronu i łaski panującego. Przyjął Tadeusza można powiedzieć serdecznie i do wchodzącego zawołał:

— Przecie doczekałem się, że nasza gwiazda taktyczna rozjaśniła mój ciemny firmament! A co jest na wać pana rozkazy? -— Powiadam ci, jesteś wierutnym kontrastem tej przysłowiowej krowy, co wiele ryczy, a mało mleka daje; owoż to zwykle takie krowy u nas na chudej paszy, a przecie raz zaryczysz, bo już wielki czas.

— Kiedy tak, to ja z prośbą do pana generała,—odparł skromnie młodzieniec.

— Przecie... Wszystko co odemnie zależy uczynię, mów waćpan śmiało o co chodzi? awans, subsydyum, patent na kompanię, wszystkoć to od dawna należy i ciągle za waćpana wszystkim głowę psuję.

— Nie mam słów na wyrażenie mojej wdzięczności panu generałowi, lecz na ten raz chodzi mnie o daleko mniej...

— O cóż więc?

— O urlop...

— Urlop! — wykrzyknął z podziwem Komarzewski i jak oparzony odskoczył.

— Jeżeli tego otrzymać nie mogę, w takim razie proszę o abszyt...

— Abszyt! coraz lepiej, — znów jak przedtem krzyknął Komarzewski. — Miły Boże! co w tych młodych głowach siedzi? Waćpan z taką nauką, wzorowej konduity, w pracy niezmordowany, a niezawodnie prócz przyniesienia pożytku krajowi, na drodze do wielkiej karyery i honorów, zamyślasz o abszycie, kiedy lada chwila może się otworzyć pole do działań, chwały i zaszczytów dla ciebie samego. Nie, nie, ja do tego dzieła ręki nie przyłożę, pójdę raczej do Króla Imci, będę kołatał i zdobędę dla waćpana co się da najlepszego, ale urlop, a tembardziej abszyt, język mi się nie obróci.

— Nie wiem jak zawdzięczyć nieocenioną p. generała łaskę, ale...

— Tak „ale” dawaj mi zaraz urlop lub abszyt. Powiedzże mi jegomość po przyjacielsku, coć tak znagla do jednego lub drugiego? czy sprawy majątkowe, choroba dzieci, żony albo ojca? Tego wszystkiego przecie nie posiadasz, więc cóż?

— Najuniżeniej przepraszam p. generała, iż powody lubo są ważne, zostaną moją tajemnicą.

— A więc i ów urlop niech będzie tajemnicą dla wszystkich, zaniechaj go waść, a ja daję parol żołnierski,

że dziś jeszcze z posłuchania królewskiego z próżnemi rękoma dla ciebie nie wrócę.

— Panie generale, rozrzewnia mnie łaska pańska, a razem zawstydza, że ją w tym momencie odrzucić jestem zmuszony i wyznam otwarcie, że okoliczności nakazujące mi wydalenie się, tak są nagłe i niecierpiące zwłoki, iż dla nich w razie nieuzyskania urlopu, zmuszony będę dopuścić się dezercyi wojskowej.

— A co, już i dezercya wojskowa! Dajże radę tym młodym wartogłowom — zaledwie który otrze mleko mamki z wąsów, zaraz ma jakieś sprawy naglące... Rozumiem je, a może coś wiem, że jakaś tam podwika zaprószyła serduszko, ba, jakby to ona jedna na świecie, — prawił z pewną ironią Komarzewski, poczem spojrzawszy w oczy młodemu oficerowi, szeptał do siebie:

— Wzrok taki determinowy, a kaci go tam wiedzą, gotów jakie głupstwo zrobić i będę go miał na sumieniu, a szkoda go bo zdolny i rozumny.

Na głos zaś do Tadeusza rzekł:

— Ba, na upor mospanie nie ma lekarstwa; trzeba atoli waści wiedzieć, że do jakiegobądź uwolnienia, choćby czasowego od służby, król Imć co do jego osoby decyzyę przy sobie zachować raczył; właśnie idę do króla, więc mu prośbę waćpana przełożę, — proszę za sobą.

* * *

Jenerał Komarzewski jako faworyt i prawie nieodstępny od boku króla, miał swoje locum niedługim tylko korytarzem od królewskiego przedzielone; rychło więc z Tadeuszem znaleźli się w apartamentach pańskich. Generał że o każdej porze miał wolne wejście, wszedł do ga-

binetu, młody zaś oficer w antykamerze pozostał, po kilku minutach oczekiwania rozwarły się małe, zaledwie dostrzeżone drzwiczki, wszedł król, a za nim Komarzewski.

Król miał na sobie ten stroj ranny fantazyjny, podziwiany przez wysokich znawców mody, napół kobiecy, napół mitologiczny, w którym jak powiadają bardzo wdzięcznie wyglądał; a do tego strój ten miał mieć jakoby własność rozchmurzać twarz monarszą i utrzymują, iż w nim był najdostępniejszym i najłatwiejszym w szafowaniu łaskami. Zmierzywszy tedy Tadeusza swoim zawsze niezmiernie łagodnym i czarującym wzrokiem, rzekł:

— Powiadał oto nam generał o waćpana jakoby nieprzepartym uporze wydalenia się od służby naszej, ale upór na upór to jedyne lekarstwo; a więc uparłem się, żeby cię wyleczyć i Komarzewskiemu daję kilka patentów obecnie swobodnych, abyś tam sobie który wybrał, — przemówił król słodko tym melodyjnym głosem, któremu rzadko kto, nie wyłączając i płci pięknej, mógł się ostać.

— Najjaśniejszy Panie! — odpowiadał Tadeusz oczarowany łaską i słodyczą majestatu — słowo i skinienie waszej królewskiej mości winno być dla każdego wiernego poddanego rozkazem, któremu ślepe posłuszeństwo należy; atoli głos serca i uczucie dyktuje czasem prawa, a bywa że oprzeć się im jest nad siły ludzkie.

— Jakież to są one prawa? — rzekł N. P. z uśmiechem.

— Nieoceniona łaska w. k. m. mimowoli wywołuje mi na usta zeznanie, na które w innym bym się razie nie odważył: kocham Ludwikę córkę hetmana Sosnowskiego, — mówił Tadeusz ugiąwszy kolano przed majestatem.

— Wiem o tem — ciągnął łagodnie król — a także o niewczesnej krotofili, którą ta „baryła pełna sadła ale i

dowcipu" cześnik Żmudzki na rachunek waszej miłości wyprawił i w skutek czego Plater wziął tę córkę, której mu nie dawano. Wszakże tego nie pochwalam, bo i mnie jako ojcu wielkiej rodziny zwanej narodem, wszelkiego zamachu przeciw władzy ojcowskiej i nieposłuszeństwa w rodzinie tolerować się nie godzi. Sosnowski uparty jak waćpan, córki ci nie da, chociaż nie wiem dla czego, a i nasze wstawienie by się nie przydało. Nie rób moje dziecko skandalu i zaniechaj lepiej tych amorów; zdolny jesteś, wytrwały żołnierz i wierzaj że jak się wyburzysz, szabla ci będzie najwierniejszą towarzyszką... Jedź kiedy wola, bo służba przymusowa nie na wiele się zdała; ale chroń się od wszelkiej burdy, bo w razie czego, pobłażliwym nie będę. Komarzewski udzielisz mu urlop.

Dał mu rękę królewską do pocałowania i na tem się posłuchanie skończyło.

Niebawem zaś goniec królewski pędził traktem do Włodawy.

* * *

EPILOG.

Na rozdrożu, gdzie dwoje młodych przez Walka do ucieczki naglonych, po raz ostatni ze sobą się żegnało, pod lasem, Tadeusz siedząc na jednym koniu, drugiego osiodłanego trzymał w pogotowiu; ukryty za drzewami, utkwił wzrok w jednę drogę, a w niecierpliwem oczekiwaniu nie zważał, że księżyc w pełnym blasku pływał sobie poważnie pomiędzy gwiazdami, które mu się zaćmić nie dawały — i nic prócz drogi nie widział.

Na raz zatętniły kopyta, Tadeusz poprawił się na sio-

dle, luźnego konia cugle pozbierał i naprzeciw jezdnych pospieszał.

— Ach! nakoniec to ona! — grały mu słodkie wyrazy, przy wtórze przyspieszonego bicia serca.

Lecz gdy zbliżający się orszak mógł rozróżnić, szepnął sobie mimowoli, z niepokojem:

— Dla czegoż w tak licznym orszaku?

Z ostrożności chciał się może cofnąć, ale już było za późno, bo przeciw jadący przyspieszyli biegu i oko w oko zetknął się z jezdnymi, a nim miał czas ich rozpoznać, dał się słyszeć głos groźny.

— A może ojciec, niech cię raba suka, na gody weselne przyda się — zawołał Sosnowski jadący na czele zbrojnego hufca.

— Nie udała się waszmości wyprawa, równie jako i jego spólnikom, bo oto ich masz, przywiozłem ci ich na pokaz, a w razie nowych zamysłów na przestrogę.

Kazał ludziom rozstąpić się i księżyc w pełni padł na trzy poczciwie oblicza, Walka, Grzesia i Małgosi, którzy powiązani na wozie pod konwojem jechali.

— Pamiętaj waszeć, że „synogarlice nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla drobnych szlachetków.“ Żegnam, a spodziewam się na zawsze!

Zmówiwszy to dał komendę. orszak zawrócił razem z jeńcami, a Tadeusz sam pozostał na zawsze i....

Koniec powieści...

A miłość?

Pycha ją roztargała; tylko jak biały gołąbek nad wód potopem, wzbijała się nad nią ona biała chusteczka z turniejów, pod którą po latach wielu zastygło serce bohaterskie jej właściciela.

A córka hetmańska? Oddała innemu przeznaczoną rękę — a na cześć jej dodamy, że bez serca i dobrej woli, magnatowi Józefowi Lubomirskiemu, staroście Romanowskiemu.

Po latach, wprawdzie jako wdowa, umyśliła jeszcze dawne ognie uczuć rozżarzyć, lecz już się nie dobyły z popiołów.

KONIEC.

III.

MIRZA TADŻ-EL-FAHER

EMIR AL-OMRACH.

Dla Wiadomości Czytelnika.

Nie byłoby tego wstępu, a lepiej powiem, całej opowieści poniżej podanej, gdybym był przed jej rozpoczęciem dostał książkę Siemieńskiego, która dopiero pod koniec mojego pisania wpadła mi pod rękę — tytuł jej: „Wacław Rzewuski i przygody jego w Arabii, opowiedziane z pism pozostałych po nim, przez Lucyana Siemieńskiego.“ (Kraków, 1871).

Najpierw, nie życzę sobie być posądzonym o literackie zuchwalstwo puszczania się z Siemieńskim w zawody, tem zaś mniej mam prawa co bądź po takim mistrzu wykończać; jezeli tedy po tem, co się wyrzekło, na zasadzie *quod scripsi, scripsi*, pracy mojej po odczytaniu Siemieńskiego nie cofam, czynię to na zasadzie różnicy samej treści, jaka pomiędzy pisaniami zachodzi; oto jest, co Siemieński we wstępie do swojej pracy powiada i jak jej rodzaj określa (str. 5):

„...Dostał się w moje ręce paruset-arkuszowy manuskrypt, pisany po francuzku; ma tytuł: *Sur les chevaux orientaux et provenants des races orientales;* dzieli się na dwa tomy: w pierwszym monografia arabskiego półwyspu

i szczegóły odnoszące się do pobytu tam autora i przygód jego, w drugim wyłącznie mowa o koniach, ich rasach, przymiotach i chowie. Z materyałów ich postanowiłem podać tu, nie już zupełną monografię Wacława Rzewuskiego, ile opowiedzieć przygody jego w *Arabistanie*...“ (Ob. dodatek *A*).

Do tej podróży, jak S. twierdzi, a co na tem miejscu zapisać umyśliłem, prócz awanturniczych popędów, miał Rzewuski inne powody, i oto, co o nich S. powiada:

„...Po długich wojnach napoleońskich przekonano się o potrzebie poprawy rasy koni. Gdy zaś hr. Wacław podziwiany był czasu zjazdu monarchów na kongres do Wiednia, jako jeden z najlepszych jeźdźców, a konie jego, na których się znał i umiejętnie hodował, budziły zazdrość, więc, przez stosunki swoje z pierwszemi osobami, zbliżył się do głów koronowanych, podobał się i zyskał sławę znamienitego znawcy, a ztąd i zaufanie, że powierzono mu zakupno koni arabskich do stajen cesarza Alexandra I-go i króla wirtemberskiego. Szczególniej królowa Katarzyna wirtemberska, siostra cesarza Alexandra, wielka miłośniczka koni, przejęta była dlań prawdziwą admiracyą, i znaczne wyłożyła summy na kupno *arabów*, które Rzewuski miał dla niej wybrać i sprowadzić z pustyni Nedżu (*).“ W pamiętnikach Rzewuskiego są ślady korrespondencyi z królową.

Owoż, kiedy Siemieński przyznaje, że czerpiąc z niejasnych materyałów, po Wacławie Rzewuskim pozostałych, opowiedział li tylko przygody jego oryentalne, ja spisałem, com mógł zebrać o jego przygodach, że tak na-

---

(*) Ob. dodatek *F*.

zwę *krajowych*—z młodości, wychowania i t. d., tudzież o jego dziwacznem, koczowniczem życiu po powrocie ze wschodnich podróży.

Ta właśnie różnica naszych punktów wyjścia z Siemieńskim, a także, iż dwie odrębne epoki z życia Rzewuskiego opisujemy (gdyż ja o jego wschodnie przypadki zlekka tylko potrącam, czemu S całą książkę poświęca)—dodaje mi śmiałości i otuchy do wystawienia mojej pracy na widok publiczny. A chociażby miał kto mnie posądzić o zarozumiałość, iż poważam się stawać w paragonie z S., przecież mam przekonanie, iż obie nasze monografie w pewnym względzie wzajem się dopełniają.

Bez wątpienia, iż Siemieński, silnie opancerzony przeciw krytyce, jako na podstawie poważniejszych materyałów piszący, bo z notat Rzewuskiego ze wschodniej podróży (lubo sam S. o prawdziwości ich nieraz wątpi). Moje zaś źródła w tym względzie szczuplejsze, oparte na kilku listach samego Rzewuskiego i jego przyjaciół, o nim pisanych, oraz na opowiadaniu mojego ojca, dobrze i bliżej znajomego z Rzewuskim; nakoniec, co najważniejsza, na relacyi ks. Jana Komarnickiego, (o którym poniżej w texcie samym obszerniej wspominam), w ostatnich latach nieodstępnego towarzysza R. Jeżeli zaś roszczę prawo do jakiej zasługi, to jedno, żem wiernie oddał wszystko, nic imaginacyą autorską nie przyrobiwszy; wszakże, pomimo to, trudno wymagać, ażeby tradycye, z ust do ust przelatując, mogły dochowywać czystość prawdy dziejowej.

Jeszcze i ten miałem powód do zachowania mojej pracy, iż ta zawiera wiele szczegółów prawdziwych, mało już dziś komu znanych, o których i S. nie wiedział, skoro o nich nie wspomina. Z połączenia tedy naszych mono-

grafij może ktoś, rzeczy bliżej jeszcze świadomy, utworzy jednę całość.

Sam Siemieński w przytoczonej książce nieraz rzuca pewny cień wątpliwości na wiarogodność pamiętników Rzewuskiego, z których czerpał; toż samo ludzie wiarogodni, a zbliżeni do niego, twierdzą, iż Emir w opowiadaniu przygód swoich oryentalnych lubił poetyzować, i dla upiększenia sytuacyi nierzadko rzeczywistość poświęcał... Owoż dla tego zdaje mi się, że na zestawieniu obudwóch waryantów, tradycyjnego z pisanym, prawda może zyskać wyświetlenie; gwoli czego, poczynając od siebie samego, nie szczędząc miłości własnej autorskiej, sam opierając się na powadze S., niektóre rzeczy sprostowałem w obecnej mojej pracy.

Z wielu tych wymienionych względów, uznając za konieczne dopełnić moję pracę Siemieńskim, czynię to w osobnym dodatku, który, stanowiąc odrębny rozdział, jest doraźnym rozbiorem i streszczeniem cennej jego pracy; ztąd może niejednemu oddam przysługę, iż księgę, wydaną przed siedmiu laty, choć w uszczupleniu powtórzę, nieznających zaś jej z ciekawą treścią w skróceniu obeznam, lub do poznania zachęcę.

I.

Habent sua fata oppida!

Czyliż mógł się spodziewać Stanisław Koniecpolski, hetman w. k., zakładając w XVII stuleciu na żyznych brzegach Bohu swój Koniecpol (*), iż z czasem na tej ziemi, z jego potomków po kądzieli, wyjdzie sławny dostojnik Wschodu, piastujący godność rządzcy rozciągłej krainy i znakomitego miasta — z potężnego niegdyś państwa Mahometa—gdzie bujna oryentalna wyobraźnia wieszczej sułtanki Szeherazady, rozweselała 1001 bezsennych nocy słynnego w dziejach Wschodu Kalifa.

Snadź duch oryentalny przez długie wieki unosił się nad tą ziemią, pokrytą kośćmi i przesiąkłą krwią pohań-

---

(*) Dwa są Koniecpole: jeden w b. województwie Sieradzkiem, między Pilicą i Białą—drugi (o którym mowa) w b. województwie Bracławskiem, na dawnej granicy tureckiej, stolica znacznych dóbr ukraińskich hetmana Koniecpolskiego, złożonych ze 170 miast i 470 wsi; tam, z jego polecenia, sławny inżynier francuzki Beauplan, założył silną twierdzę (1634 r.), z której dziś zaledwie pozostały szczątki wałów i słup z napisem: „*Koniec Polski*“, który oglądał jeszcze ks. Marczyński, jak sam świadczy w dziele „Statystyka gubernii Podolskiej.“ (Wilno, 1823)

ców... Zaprawdę bowiem, chyba taki Koniecpolski, najwyższy wódz bitnego wojska, sam wielkiego ducha rycerz, mógł się tylko pokusić o założenie stałych osad na tak zwanym *szlaku tatarskim*, ciągle niepokojonym przez najezdnicze hordy, od czego fatalnie, rozgłośne to miano pozyskał.

Ten szmat ziemi, na kończynach kraju położony, a niemal zapomniany, albowiem od czasu Kazimierza Jagiellończyka, ktory tam, nad wodami Jałańca, surowym odwetem, łupieztwa Tatarom spłacił, nikt prawie odtąd pustoszycieli tych nie uspokoił: dla tego rozkoszne owe doliny, długie wieki stojąc pustkowiem, zaledwie żyznością swoją i obfitością pastwisk przywabiały zuchwalszych hodowców trzód, którzy w jednej ręce kij pastuszy, w drugiej zaś oręż trzymać musieli, aby się najezdnikom opędzać.

Na tych tedy pustkowiach wiekowych, czarodziejska prawica orężna wzniosła osady mnogie, a spokojne, pomiędzy niemi dwa miasta, które, obronione od srogości łupieżców, zakwitły z laty wszelakim przemysłem i rolą, a zażywając wczasu bezpiecznego pod silnem orędownictwem wsławionego wojownika, zawarły w sobie główne podstawy handlu ze Wschodem na kraj cały, i owi niegdyś wojownicy, roznoszący mord i pożogę, z czasem nieśli krajowi pożytek i bogactwo w charakterze kupców spokojnych.

Głównem ogniskiem tego nowozałożonego, a raczej wskrzeszonego do życia kraju, prócz Koniecpola, był także Sawrań, rozłożony na chlebodajnych równinach rzek Sawranki, oraz Jałańca (wsławionego zwycięztwem kazimierzowem), przy ujściu tych rzek do Bohu. Jeżeli Koniecpol zakwitł handlem i przemysłem fabrycznym, to

niemniej dzielnie szedł mu w pomoc Sawrań, obmyty szerokim, ale nieszkodliwym rozlewem wód ożywczych, zasłynął rolą i trzód hodowlą. Silną zaś dłonią wojownika zmuszeni najeźdźcy do zamiany zaczepnego ostrza na lemiesz chlebodajny, wprzód jako jeńcy wojenni, a z następstwem czasu jako rozrodzeni ziemianie, stali się pierwszymi osadnikami Sawrania.

Wszelako nowi ci osadnicy, jako już członkowie nowej cywilizowanej ojczyzny, zmieniając łupieżny obyczaj, wiarę ojców zachowali, jeżeli nie na zawsze, jak część ich niewielka, to na długie lata—bo dziś mała zaledwie liczba wyznawców Islamu pomiędzy nimi została.

Hetman, nowy założyciel, pobudzony szlachetną tolerancyą, a być może zarazem chęcią przywabienia osadników, jednę z wiosek przyległych, Kazawczyn, na utrzymanie mułłów i meczetu wyznaczył. Tam, w malowniczej pozycyi między niebotycznemi skałami, odznaczającemi się rozmaitością boru i kształtem, obrali sobie osadnicy miejsce wiecznego spoczynku, a rylec na granicie pozostawił wieczną pamiątkę zmarłych, obok textu Koranu; owe napisy wyraźne dotrwały prawie do naszych czasów, a jak dziwne skutki wywarły, o tem właśnie opowiadać mamy. *Habent sua fata sepulcra!*

II.

Sto lat minęło od założenia onych osad, szeroko sławnych po świecie, a już i rodu fundatorskiego po mieczu nie stało (*). Niezmierna fortuna rozdrobiła się na kilkadziesiąt rodzin, potomków sławnego hetmana po kądzieli (**). A jako rzecz każda, kiedy raz jeno drobić się pocznie, do niedojrzanych zmaleje atomów, tak się też i z onem silncm państwem koniecpolskiem stało, którego obszarów i potencyi już ani śladu.

Jeszcze w lat pięćdziesiąt po wygaśnięciu Koniecpolskich, trndno-by już było zliczyć przeróżne rody, na szerokiej niegdyś ojcowiznie hetmańskiej osiadłe.

Widzieliśmy powyżej kolligacyą domu Koniecpolskich

(*) *Jan Alexander Koniecpolski*, naprzód koniuszy koronny, dalej wojewoda bracławski, wreszcie sieradzki etc., miał wprawdzie za sobą Elżbietę Febronię, Helenę, córkę Michała Floryana Rzewuskiego, podskarbiego nadwornego, nieporównanej odwagi rycerza, atoli żadnego potomstwa z nią nie zostawiwszy, ostatni nie tylko z tej linii Koniecpolskich, ale nawet ostatni z tego domu i imienia, z tym się światem rozstał w roku 1719. *(Niesiecki).*

(**) Porównaj ciekawe dzieło S. Przyłęckiego „Pamiętniki o Koniecpolskich.“ Lwów, 1842 r.

z Rzewuskimi, którego po kądzieli byli równie potomkami; Sawrań atoli, z dwudziestu przeszło bogatemi wioskami, wszedł do tej rodziny we dwa wieki później, tytułem wiana Konstancyi Lubomirskiej, marszałkównej w. k., żony Seweryna Rzewuskiego.

Przez dziwne losów koleje, ziemia ta, założenia hetmańskiego, dostała się nakoniec ostatniemu z hetmanów polnych koronnych.

Seweryn, złożywszy godność hetmańską w roku 1793, oddał się cały wychowaniu jedynego syna, Wacława, i ulubionym uciechom.

Żona zaś jego, niewiasta uiepospolitego rozumu i znana z biegłości w administracyi ekonomicznej, tudzież zdolności prowadzenia interesów prawnych, tak, iż ją pospolicie *jurystą w spodnicy* nazywano (*), poświęciła się urządzeniu znacznych dóbr, tak dla spraw publicznych, jako i rozrzutności małżonka nadwątlonych. Z konieczności tedy rozdzielili się małżonkowie: on, zniechęcony do kraju, ustawicznie przebywał za granicą, obrawszy Wiedeń za stalszą rezydencyą; a pani hetmanowa, dobra wołyńskie w rozbiór zagmatwawszy, Sawrania i spraw jego pilnowała. Jedynaka Wacława, hojnie uposażonego od natury wdzięcznemi przymiotami ciała i duszy, bo rozumem i pojętnością niepospolitą, wyrywali sobie na przemiany rodzice: ojciec, to matka wyprzedzali się w wynalezieniu synowi nowych źródeł wiedzy, których od pierwszego dzieciństwa był wielce chciwym; oboje odgrzebywali dla

---

(*) Ona-to, poddając pod rozbiór znaczne dobra swojego męża na Wołyniu, Starokonstantynów, tak zawichrzyła rozbiorem, iż najbieglejsi prawnicy przez pół wieku przeszło rozplątać go nie mogli, i do dziś dnia jeszcze nie całkiem jest ukończony.

synalka to mistrzów, to księgi, to ludzi biegłych w kunsztach rozmaitych. Młody Wacław bowiem wszelaką wiedzę i piękno miłował, do muzyki, śpiewu, malarstwa etc. miał skłonności namiętne i nieprzezwyciężone.

Wahał się tedy pomiędzy parą rodzicielską, prześcigającą się w dostarczaniu synowi sposobności utulenia tych pragnień ducha: to przy głębokim rozumie ojca zawisał, który swojego czasu był niepospolitym statystą, to znów coś go nęciło do poetycznej i pełnej oczarowania duszy matczynej; wiedzieć zaś trzeba, że do późnej starości pani hetmanowa zachowała młodocianą świeżość umysłu, wzbudzającą zachwyt ogólny, i pod siwym już włosem była jeszcze ponętną przez wdzięk uprzejmości i urok wszechstronnego rozumu.

Nie wiadomo, jak długo trwałaby owa walka pomiędzy rodzicami, w której młody Wacław przepołowion był uczuciem, jak niby ono niemowlę przez sąd Salomona, gdyby matka nie zwyciężyła, przez dwa silne attaki, do chciwości wiedzy synowskiej i poetycznej jego duszy przypuszczone.

Do pierwszego z nich dostarczyła jej oręża rewolucya francuzka, która Sawrań przemieniła w czarowny Wersal. Wszystko, co błyszczało niegdyś na dworze wykwintnym Maryi Antoniny, przeniosło się do hetmanowej, posiadającej rozległe stosunki w arystokracyi całego świata, a szczególnie francuzkiej. Sawrań napełnił się Polignac'ami, d'Arlincourt'ami, Choiseuil'ami i t. d. A wszystko, co było rozumu i dobrego tonu w Paryżu, starała się skupiać dokoła siebie pani hetmanowa, byle synaczka na tę wędę ułowiwszy, od siebie nie puszczać.

Drugą przynętą, a niemniej silną, był ów dziki Sawrań, pełny starych mogił, kości ludzkich, wiejący dzie-

jami dawnej potęgi i chwały. One stepy i wody, krwią niegdyś zafarbowane, tchnęły jakąś poetycznością i silnie przemawiały do wrażliwej duszy młodzieńca.

Wacław silnie umiłował Kazawczyn, wioskę nieopodal Sawrania, która pomiędzy granitowemi skałami była jakby twierdzą przyrodzoną—pełna do tego pamiątek, na różnobarwnym granicie oryentalnemi hieroglifami nakreślonych, które kołysały dumą świetnej przeszłości poetyczną duszę młodziana. Mówili mi jego spółcześni, iż tam, pierwsze wodze młodzieńczej muzie puściwszy, kilka poetycznych utworów ułożył.

To pewna, że hetmanowa była misterną znawczynią serca ludzkiego i łatwo zbadać umiała jego struny, silniej drgające; widząc więc słabość syna i jego rozmarzoną naturę, dopomogła skrycie sztuką, aby Kazawczyn z gruzów zapomnienia dobywając, rozlać tam zręcznie urok dawnego bytu. Odświeżono ruiny meczetu, dawne pomniki, łaźnie wschodnie i t. p., a przy nich stanął zaczarowany pałacyk, jakby ze starej Alhambry cudem przeniesiony, gdzie młody Wacław, napojony światłem nowem przez uczonych Francuzów, lubiał oddawać się smętnym dumaniom o przeszłości.

Na biedę, do Sawrania, naówczas jeszcze nie tak oddalonego od granicy tureckiej, jak go późniejsze traktaty polityczne uczyniły, przybłąkał się jakiś iman uczony, zmykający przed niełaską sułtana (*). Ten przybłęda miał być wielce biegłym w nauce i językach Wschodu, a młodego Wacława wtajemniczył w napisy na granitach i wiele odkrył mu misteryów życia oryentalnego, do któ-

(*) Patrz przy końcu dodatek *B*.

rego tak się rwał młodzieniec. Owoż zkąd najpierw na duszę, do silnych wrażeń usposobioną, ów duch Wschodu wionął i w piersi ognistej uwiązł na zawsze.

Matka nie sprzeciwiała się, rada będąc imanowi i nauce, byle drogiego synaczka przy sobie zatrzymać i w tej mierze w walce z mężem wyjść zwycięzko.

III.

Dziś, przy naszym jednostajnym i na ogólną normę urobionym bycie, trudno dać wiarę, jako się ówczesne życie dziwnie plątało, a tyle w niem napotykało się niespodzianek i niezwyczajności, iż każda niemal exystencya była tematem do studyów, lub osnową do dramatu.

Kiedy młodzieniec, z rozgrzaną zapałem namiętności piersią, wdychał w nią powietrze bujnej wyobraźni Wschodu, zajrzyjmy, co się działo podówczas na drugim końcu świata, na dworze równie pięknej i wdzięcznej, jak nieszczęsnej, Maryi Antoniny, tej z czasem niezasłużonej pokutnicy, odkupicielki win cudzych, kilku pokoleniami grzeszników nagromadzonych.

Dwór ten jaśniał jeszcze wtedy całym blaskiem wdzięków i rozumu, a odrzucając rozpustę i wszeteczność, zagnieżdżone tam za dawnych władzców, zachował tylko urok ożywienia i dobrego tonu, które, obok innych wad i zdrożności, dwory Burbonów cechowały. Ta bowiem córa Habsburgów, książąt statecznych, o surowych obyczajach, zachowując cechy wrodzonej przystojności

i dumy rodowej, przyjęła lekkość francuzką o tyle, ile ta godności i cnocie nie uwłaczała.

Dwór ten, zaiste, był jednym z najmilszych swojego czasu, słynął wesołością i rozumem; a chociaż królowa lubiła widzieć piękne twarze w swojem otoczeniu, jednakże skromność i dobre prowadzenie były przymiotami koniecznemi dla jej dworu i dam honorowych.

Z tego bukietu piękności, w którym sama była najpiękniejszym kwiatem, wyróżniały się trzy pączki rozkoszne, a świeże, trzy księżniczki wiosny (*princesses printanières*, jak je de Barante nazywa:) najprzód księżna Rozalia z Chodkiewiczów Lubomirska, wojewodzicowa kijowska—znana na dworze pod przezwiskiem *admirable polonaise*, piękności i wdzięków niepospolitych, rozumu wzniosłego, utalentowana w muzyce, śpiewie, malarstwie—słowem, hojnie od Stwórcy uposażona we wsze cenne dary, jakie tylko śmiertelnym posiąść jest dano. Będąc rówieśnicą i towarzyszką królowej jeszcze za dni jej dziewiczych na dworze wiedeńskim, złączyła się przyjaźnią nierozerwaną z tą panią i do miłego jej dworu przyciągnęła.

Spółzawodniczyła z tamtą we wszystkiém księżna Marya Teresa de Lamballe, z domu sabaudzkiego Carignan'ów, nieszczęśliwa niegdyś w małżeństwie z rozpustnym idyotą, Lamballem. Dwie te urocze, a wdzięczne istoty, piastujące godność ochmistrzyń ze wszech miar miłego i ponętnego dworu, cieszyły się osobistą przyjaźnią i pełnemi zaufania względami Maryi Antoniny. Monarchini ta, znana ze swej hojności i miłosierdzia, miała z tych przyjaciółek najgorliwsze agentki swoich dobrych uczynków.

Dopełniał tej ślicznej trójki pączek zaledwie rozkwitły w rannej wiośnie, księżniczka Diana de Polignac, córka zacnej rodziny rycerzy, mężów uczonych, a zarazem doświadczonych przyjaciół domu panującego, we wszelkich ciężkich próbach niedoli, wychowana przez samę królowę na tym wzorowym dworze, umiała przyjaźnią i poświęceniem bez granic łaskę pańską odwdzięczać.

IV.

Lubowałbym się chętnie i ja tą uroczą trójką, a powtarzał, co tam o niej kronikarze francuzcy opowiadają, nie śmiem atoli od założenia odstąpić i powiem tyle, co bliżej mojej opowieści dotyczy.

Nie przypuszczajcie, abym wierzył w gusła, zabobony i kabały, lecz powtórzę tu z wyczytanego, za prawdę nie ręcząc, lubo są rzeczy, o których się filozofom nie śniło.

Nie myślcie znów, aby on dwór młodej pani, pomimo całego, przestrzeganego w nim ściśle *decorum* w surowości obyczajów, był głuchym klasztorem, lub nudną i milczącą szkołą; owszem, rozlegały się tam śmiechy żywe, młodemi piersiami wydawane, i pełno było pustoty, do której dawała początek sama królowa razem z ulubioną trójcą. Najmilszą ich zabawą były wycieczki do ciemnych i ubogich dzielnic miasta na wyszukiwanie i osładzanie nędzy, pielęgnowanie chorych, i te dobre uczynki, dla urozmaicenia których, młode swywolnice przywdziewały najrozmaitsze stroje i różne przybierały postacie:

przekupek, cyganek, lub jak tam rozbujała młoda fantazya dyktowała.

Razu pewnego trójka tych śmieszek rozkosznych, ze swoją panią na czele, pędzona litością i szałem, udała się do jednej z najnędzniejszych dzielnic miasta, gdzie na barłogu kończyła żywot, przyciśniony latami i nędzą, jakaś stara wróżka, słynąca niegdyś z trafnych wyroczni.

Jak zazwyczaj, gdzie te anioły miłosierdzia zstępowały, niosły za sobą ulgę i pocieszenie, tak się też stało i z dogorywającą staruszką, którą szczerze zajęte, częściej odwiedzały; a może do miłosierdzia niemało przyczyniała się sposobność częstej zmiany kostiumów, będącej słabością samej królowej. Razu tedy pewnego, kiedy dowiedziały się o głośnych niegdyś zdolnościach proroczych swojej protegowanej, postanowiły na sobie doświadczyć mądrości tej Pythyi, a pierwsza krolowa, przewodząca w tych pustotach połączonych z miłosierdziem, zagadnęła staruszkę:

— Poczciwa matko, powiadają ludzie, że wam przyszłość nie jest tajną; gdybyście więc byli tak dobrą coś nam biednym przekupkom przepowiedzieć.

A właśnie wesoła czwórka za przekupki była przebraną.

— Jeżeli przypuszczacie. iż mi przyszłość nie jest tajną, tembardziej powinnabym wiedzieć, co się koło mnie dzieje; a więc powiem, że ty jesteś nie tylko wyższą nad przekupki, ale nad wszystkie największe panie tego kraju—rzekła stara, zwracajac się najprzód do Maryi Antoniny.

— A ty — mówiła dalej do księżnej Rozalii — chociaż niższa od niej tutaj, ale tak przez siebie, jak przez

męża, pochodzisz z rodu wielkich rycerzy, słynących sławą i bogactwem.

Z kolei zadziwiała inne dwie, opowiadając im ród, pochodzenie i przeszłość, a tak zakończyła:

— Wiecie, że jestem opuszczoną i samotną, a prócz tego starego kota, nie mam innego towarzysza, nikt mnie zatem nie powiedział o waszych świetnych pozycyach; a zresztą, wasze przebranie w tej nędznej dzielnicy miasta nieświadome; dałam więc wam dowód, iż mało dla mnie tajemnych rzeczy pod słońcem. Atoli o przyszłość nie pytajcie, gdyż nic pomyślnego nie mogę wam oznajmić, a kłamać nie chcę i nie umiem.

Każdy pojmie, że więcej nie trzeba było do zaostrzenia ciekawości młodych, a wesołych śmieszek, i już staruszka, pomimo stałego postanowienia, oprzeć się ich naleganiom nie mogła.

— Ha! kiedy tak chcecie—rzekła przymusem pokonana, zwracając się po kolei do księżnej Lamballe, Maryi Antoniny i księżnej Rozalii,—ty niezadługo wysoko nosić będziesz głowę, ale nie na własnych nogach, po całym Paryżu. Wasze zaś dwie głowy upadną w piasek, jedna po drugiej w lat parę.

— Ty zaś umrzesz na wygnaniu w obcej stolicy, z żalu po twojej pani—zakończyła, zwracając się do młodej księżniczki.

Wesołe subjekta tych przepowiedni okropnych, zaledwie pusty śmiech wstrzymać mogły na przyszły widok krwawych katastrof, które ich niebawem miały dosięgnąć.

Na ten raz u wróżki, prócz czterech wymienionych niewiast, znajdowała się jeszcze jedna istotka, roskoszna a czarowna dziecina, maleńka córeczka księżnej Rozalii,

ulubienica królowej, pieszczotka całego dworu, a znana mu pod wdzięcznem imieniem *la petite Rose polonaise (Różyczki polskiej).* Mała swawolnica, jakby przeczuwając zabawę z owych wróżb wynikłą, uprosiła u królowej, swojej opiekunki, że ją przebraną wzięła ze sobą na te gody.

— Ano moja poczciwa staruszko — rzekła Marya Antonina do wieszczki—czyż pokrzywdzisz naszę milutką Różyczkę, pozbawiając ją przepowiedni.

— Ona, odpowiedziała poważnie stara — zginie na pewien czas w tłumie, żyć będzie między prostakami, owe bogate sukienki zamieni na łachmany nędzy; aż potem ją odszukają i w swoim kraju zaślubi potężnego męża, który będzie pokrywał głowę turbanem.

Wybuchły śmiechem kobiety na tę dziwną przepowiednię, a nigdy tak hojnie dobry uczynek nie nagrodził ich radośną zabawą, jak dzisiaj.

Na wieczornych zebraniach u dworu dało to pochop do nowych krotofil: mała *Rose* przebrana za oblubienicę, ślubowała niby małemu Delfinowi (onemu nieszczęsnemu Ludwikowi XVII), przebranemu po turecku w zawoju i t. d., a wszystko, aby się ono dziwaczne proroctwo spełniło, jakby już inaczej dokonać się nie miało.

Dwór cały napełnił się wieścią o sławnej prorokini, do której jedni z zabobonu, drudzy z ciekawości, wielu nakoniec dla śmiechu i zabawy, pospieszali. Sam król, namówiony przez Maryę Antoninę, udał się tam ze swoimi braćmi, hrabiami Prowancyi i Artezyi, po zdobycie onej smutnej przepowiedni: iż pierwszy umrze bez głowy (Ludwik XVI), drugi bez nóg (Ludwik XVIII, kótry, jak

wiadomo, na kilka lat przed śmiercią, władzę w nogach postradawszy, był noszony w lektyce), a trzeci bez korony (Karol X) (*).

(*) Wszystko wyżej podane czerpałem przed kilkudziesięciu laty z pamiętników rękopiśmiennych hr. Choiseuil-Gouffier, niegdyś Szambelana Ludwika XVI.

Ciekawy ten pamiętnik, jeżeli dotąd jeszcze istnieje, szkoda, że się w cieniu ukrywa; hrabia Ch. bowiem, stawszy się naszym ziomkiem przez ożenek z Potocką, córką Szczęsnego, wojewody ruskiego, spisywał wiele szczegółów ważnych, dotyczących naszego kraju i jego dziejów — mógł zaś wiele wiedzieć, żyjąc przy końcu zeszłego stulecia na szerokiej widowni.

V.

Kiedy nieobaczny dwór ucztuje i weseli się, zarodki przyszłej groźnej burzy nurtują tymczasem, a dawno zasiane ziarna wielkich przewrotów wschodzą niespodzianie dla zaślepionych i bespiecznych w swojej nieoględności. Wiadomo, jak ów uragan rewolucyjny niepostrzeżenie spadł na kraj i dwór Ludwika XVI-go, zaprawdę, najlepszego z króli w całej tej dynastyi. Złowrogie dnie nastały, a on fatalny 5 i 6 Października, krwawo w dziejach Francyi odznaczony, nie dał długo na siebie czekać. Nie naszą wszelako rzeczą o tem pisać; ale ponieważ zaczepiliśmy o przepowiednię, więc, wierząc, lub nie wierząc, w jej istnienie, musimy też wykazać w opowiadaniu, jak się ona spełniła.

Znana z dziejów ucieczka rodziny królewskiej, dała początek urzeczywistnieniu proroctwa: dwie księżne, Lubomirska i Lamballe, wierne towarzyszki doli i niedoli biednej królowej, zarówno i w złym losie nie opuszczające pani a przyjaciółki, czynny udział w onej ryzykownej wyprawie przyjąwszy, oczekiwały nieszczęsnych koronowanych zbiegów w Montmédy. Wiadomo powszechnie, jak

niefortunnie zakończyło się to zuchwałe przedsięwzięcie nocną przygodą w Varennes.

Skoro wieść o tem doszła do oczekujących w Montmédy, wiernych zawsze prześladowanemu dworowi, obie księżne z malutką *Rose polonaisse*, nieodstępną od matki, pośpieszyły do królowej, gdzie je powinność serca tylko ciągnęła. Nieszczęśliwą rodzinę zastały już uwięzioną.

Ile było w mocy słabych niewiast działać przeciwko wzburzonym tłumom, niczego nie szczędziły,—starań, zabiegów, nakoniec i podstępów, ażeby znakomitych więźniów oswobodzić.

Lecz z drugiej strony zbyt czynne, a krwiożercze kluby rewolucyjne nie spały; raz wypowiedziawszy walkę dworowi i jego adherentom, na wszystkich nakładały swe szpony, z kolei więc i na obie księżne. Ujęto je i jednocześnie stawiono przed „trybunał narodowy," który, można śmiało powiedzieć, był naówczas synonimem śmierci.

Pierwsza stanęła piękna księżna Lamballe. Ale jakkolwiek silną była w obowiązkach przyjaźni, nie była zdolną zapanować nad odrazą, jaką w niej obudził ten stek zbirów, rekrutowany ze spodnich warstw społeczeństwa, pod smutną „trybunału narodowego" nazwą.

Słabość białogłowska opanowała nieszczęsną ofiarę; nie umiała dać odporu zarzutom, i do martwej już napoły, bezdusznej niewiasty, wyrzekł srogi trybunał ów brutalnie cyniczny dowcip: „*Élargissez la citoyenne.*"

Odpowiadało to wyrokowi kary śmierci, niezwłocznie spełnionemu na biednej, a pięknej ofierze.

Jeszcze jeden w tej smutnej katastrofie okropny szczegół do zaznaczenia. Kata jakoś nie było pod ręką, i niecierpliwy „trybunał" polecił doraźne spełnienie sprawiedliwości jakiemuś niezręcznemu amatorowi, ten zaś,

nim krwawego dzieła dokonał, ciął pokilkakroć tę białą łabędzią szyję, za uściskanie której niejeden-by życiem zapłacił.

Odłączoną od ślicznego ciała, wdzięczną głowę porwał motłoch na spisę i nosił w tryumfie po ulicach miasta.

Zaprawdę, miał z czego tryumfować! z pokonania bezbronnej i niewinnej kobiety!... Lecz ono ciało zbiorowe, zwane „motłochem,“ nie powoduje się litością i umiarkowaniem, skoro raz namiętnościom puści wodze.

I w ten sposób spełniła się pierwsza przepowiednia wrożki na nieszczęsnej Lamballe, która „niosła wysoko piękną głowę, ale nie na własnych nogach.“

Niepomiarkowana w rozbestwieniu czerń dopuściła się ohydnego okrucieństwa, zanosząc przed bramy więzienia królowej głowę jej drogiej przyjaciółki: niegodziwej tej zabawy omal życiem nie przypłaciła ta nieszczęsna pani, lecz surowy wyrok niebios, gotując jej boleśniejsze tryumfy męczeństwa, przedłużył to cierniowe istnienie.

Wiadomy jest koniec Maryi Antoniny, który niezmyte piętno barbarzyństwa na narodzie pozostawił. Nad tym smutnym obrazem zastanawiać się nie będę, a zaznaczam tu tylko, iż niebawem po zgonie biednej Lamballe, spełniła się druga wróżba złowieszczej prorokini. A teraz przechodzimy do dalszych przepowiedni.

VI.

Księżna Rozalia, ujęta razem z nieszczęsną Lamballe, jako niewiasta charakteru silnego, a bystrego dowcipu, nie tracąc przytomności, dzielnie się stawiła siepaczom. Niemało też ją podtrzymywać musiał święty charakter macierzyństwa, albowiem *petite Rose polonaise* znajdowała się przy niej.

Podczas, kiedy rozjuszony tłum był zajęty znęcaniem się nad pierwszą ofiarą, księżnę Rozalię pozostawiono pod strażą mężnych patryotek, które, uzbrajając się w narzędzia domowego gospodarstyo, miotły, ożogi i t. p., nie sromały się przy boku mężów spełniać obowiązku siepaczy. Drżąca, wylękniona nie tyle może o siebie, ile o dziecinę, z trwogą oczekując kolei swojej męczarni, dostrzegła, że jedna z białogłów, strzegących jej, litościwie do dzieweczki przemawiała. Niefortunna matka chwyciła się tej ostatniej deski zbawienia, a korzystając z większego zajęcia się tłuszczy pierwszą ofiarą, zbliżyła się do onej litościwej niewiasty:

— Kobieto — rzekła jej — nie wiem, kim jesteś, ale musisz sama być matką, skoro litujesz się nad mojem

dzieckiem. Zaopiekuj się niem; nazywam się Lubomirska; mąż mój bogaty los wam za to i waszym dzieciom zapewni; a tymczasem weź to jedno, co mi zostało.

To powiedziawszy, księżna korzystając z chwili odwróconej uwagi tłumu, podała spiesznie litościwej kobiecie zapinkę szmaragdową, otoczoną dyamentami; a był to dar bogaty Maryi Antoniny, dziś w więzeniu pozbawionej najpierwszych potrzeb życia. Cacko to z wielką zręcznością udało się księżnej ukryć w bujnym warkoczu.

Wiedzieć bowiem należy, iż owa fraternizująca czerń, gwoli niby równości i braterstwa, skrzętnie obdzierała wszystkich pojmanych arystokratów, nie tylko z ozdób, ale i z ubrania; a tak to sumiennie wykonywała, iż często widziano prowadzonych na śmierć pół-nagich, zaledwie mających czem wstyd swój przyodziać.

— Ktoby tam wasze arystokratyczne przezwiska pamiętał—odparła prędko, a opryskliwie kobieta—to cacko zachowam, bo w więzieniu, dokąd pójdziesz, zabraliby je bez tego; oddam twojemu wilczątku, którego mi żal, ażeby biedactwa w więzieniu nie zamęczyli; ją zaś, po twojej śmierci, na poczciwą obywatelkę razem z mojemi dziećmi wychowam. Bogactw twoich, ani twojego męża, nie potrzebuję; z arystokratami wspólnego nic mieć nie chcę.

Lubo opryskliwie a surowo rozpoczęła kobiecina, jednak w miarę mowy zmiękło jej serce; zdejmując nagle bogatą sukienkę i burząc starannie utrefioną główkę dziecka, spiesznie mówiła:

— Teraz mała będzie podobną do ludzi, a wydrzeć jej sobie nie dam.

— Słuchaj-no ty arystokratko — zwróciła się nagle

do księżnej—pójdź za moją radą i na żądanie wysokiego trybunału wyprzyj się tych twoich dawnych (*ci-devants)*; nic ci to tam nie zaszkodzi, a jeśli wydrzeć się zdołasz ze szpónów naszych patryotów, to ci oddam to twoje wilczątko,—nazywam się...

Na nieszczęście, w tej chwili przerwał jej mowę głos sierżanta patryotycznego orszaku, który, zwracając się do onej litościwej białogłowy, surowo upominał:

— Hej! ty tam obywatelko z dzieciakiem! czy ci zbyt cięży łeb na karku, że wdajesz się w konszachty z arystokratami?

Ostatnich słów nie słyszała już nieszczęsna matka wnet pociągnięta przed improwizowane forum narodowe, którego zacny prezes zwrócił się do stawionej delikwentki w te słowa:

— Krzycz: „Niech żyje naród! śmierć *dawnyn!* śmierć *Capetowi!* (tak rewolucyoniści przezywali Ludwika XVI).

Krew czysta wzburzyła się na te wyrazy, i już miała na ustach zwykłą odpowiedź prześladowanych: „Niech żyje król!...“ co równie, jak dla świeżo uwięzionej Lamballe, stałoby się wyrokiem śmierci, niezwłocznie wykonanym; gdy owa kobieta, opiekunka dziewczki, przedarłszy się przez tłum, stanęła za sędziowskiem krzesłem, a wznosząc dziecko do góry, matce je nieszczęśliwej ukazała, i rodzicielskie uczucie z piersi bólem uciśnionej wyrwało jej żądane słowa zaparcia się własnych przekonań i najlepszych przyjaciół.

— „*Au dépôt!*“—zabrzmiał ostateczny wyrok.

Mała to była otucha wybawienia, lecz zawsze pewna osłoda, a wielce pożądana dla nieszczęsnej matki, ożywio-

nej nadzieją, iż z czasem dowie się czegoś więcej o litościwej opiekunce swego dziecka. Motłoch wszakże, zawiedziony w swem spodziewaniu, że natychmiast mu dostarczą nowej ofiary, z urąganiami i szyderstwami przeprowadzał księżnę do więzienia, zwanego inaczej „składem dawnych“ (*le dépôt des ci-devants*). Nie dali prześladowanej nawet obejrzeć się za dzieciną i nową jej matką.

VII.

Aleksander Lubomirski, bawiący naówczas w Wiedniu, skoro go wieści, acz głuche z początku, o tych katastrofach doszły, natychmiast do Paryża pospieszył. Zajął się gorliwie losem nieszczęsnej małżonki i odszukaniem zaginionej dzieciny. Pan to był możny, sypał złotem w klubach i komitetach narodowych, aby on miecz rewolucyjny, stokroć groźniejszy od damoklesowego, a nad drogą głową małżonki zawieszony, odwrócić; za odnalezienie zaś dziecka milion franków przyrzekał.

Atoli wszystko poszło bezskutecznie; bo, co do sędziów, wszelkie starania, zabiegi i koszta zaledwie mogły zwłokę sprowadzić. Księżna, w parę lat po śmierci królowej Maryi Antoniny, była zamordowaną (*):

Na zakończenie fatalnych przepowiedni onej starej wróżki, dodamy na tem miejscu, że jeszcze przed ucieczką rodziny królewskiej, emigrujący Polignac'owie uwieźli ze sobą za granicę księżniczkę Dyanę Maryę, najmłodszą z onej ulubionej trójki Maryi Antoniny.

Dyana w Wiedniu, odgadłszy przeczuciem tajoną

przed nią śmierć swej drogiej pani, królowej, zapadła w ciężką umysłową chorobę, a doznając okropnych hallucynacyi, w kwiecie wieku życie zakończyła.

(*) Czytamy w ciekawym *Pamiętniku damy polskiej* z XVIII wieku:" W r. 1789 Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, będąc u komendanta Paryża na obiedzie z żoną i dwojgiem dzieci, byli od tumultu tego zabrani z komendantem i na plac śmierci prowadzeni; ledwie uszli nieszczęśliwego skutku rozhukanego ludu, który, dowiedziawszy się, iż są cudzoziemcami, wolno ich puścił."

Zdaje się, że autorka, w innych rzeczach wiarogodna, myli się w tym względzie. Historyczne bowiem fakta mogą przekonać, że hetman w tym roku nie znajdował się w Paryżu. Przypuszczać więc należy, że pamiętnik pisany po ożenieniu Wacława Rzewuskiego z Lubomirską, córką ściętej w Paryżu, zawiódł pamięć autorki, i ono *qui pro quo* zrodził.

VIII.

Z istot tedy objętych onem złowieszczem proroctwem, pozostawała tylko malutka *Rose polonaise*, zagubiona w tej bezmiernej otchłani Paryża.

Ojciec jej, książe Ałexander, owdowiały przed czasem w tak okropny sposób, o ile możności żal ciężki hamując, oddał się z całą gorliwością poszukiwaniu małego aniołka, córeczki swej, będącej wiernym nadobnej matki obrazem. Nie poprzestając na obiecanym już poprzednio milionie za jej wykrycie, ofiarował połowę kolosalnej fortuny szczęśliwemu znalazcy, lub temu, ktoby przynajmniej udowodnił skon jego dziecka, i wieść mu przyniósł, iż został również osieroconym ojcem, jak mężem; ślubował nakoniec, iż nie opuści tego miasta, dopóki nie zdobędzie jakiejś pewności, chociażby ta najsmutniejszą być miała. Wszystkie swoje sługi i domowników, znających małą dzieweczkę, dla tych poszukiwań do Paryża sprowadził. Dość powiedzieć, iż działał sercem ojca, poszukującego najcenniejszej straty.

Mimo jednak wszelakiej usilności, szło to księciu oporem—już zapewne dla tego samego, iż one poszukiwa-

nia musiały być prowadzone w tajemnicy przed rządem rewolucyjnym i rozbestwionym motłochem; bo według ówczesnych krwiożerczych pojęć, *wilczątko* zamordowanej *wilczycy* (*loup, louve, louveteau*, tak w języku rewolucyjnym zwano arystokratów) było poświęconem na uciesznąpastwę dla ludu, a nierzadkie wydarzały się przykłady, że dzieci mordowano, jeżeli nie na gilotynie, to jeszcze gorzej, bo przez srogie i okrutne obchodzenie się z niemi, palono je jakby na wolnym ogniu; — najlepszy tego dowód na nieszczęśliwym Delfinie, Ludwiku XVII.

Cóż to się dziać musiało w sercu zrospaczonego ojca, trapionego bezowocnem poszukiwaniem dziecięcia?

W czas jakiś dopiero po okropnej śmierci żony, książę, błąkający się, jak cień zaklęty, po najciemniejszych zakątkach stolicy, czy któryś z jego adherentów, natrafił wypadkiem na kupkę dzieci, igrających onem drogiem cackiem, które przed chciwością patryotów nieszczęśliwa ofiara ukryć zdołała i wręczyć poczciwej opiekunce swojego osieroconego dziecka, do odszukania którego klejnot ten był już jedyną wskazówką.

Mała *Rose polonaise*, zabrukana, w zgrzebnej koszulce, wyglądająca raczej jak pokrzywka, niż różyczka, była nie do poznania, chyba przez wdzięk wrodzony i podobieństwo do pięknej matki, której żywym była wizerunkiem.

Byłoby grzechem nie oddać sprawiedliwości miłosiernej niewieście i jej mężowi za szczerą opiekę, którą nad sierotą rozciągnęli, dzieląc zarówno pomiędzy nią i czworo własnych dzieci ciężko zapracowany chleb i zgrzebne łachmany. On był drwalem, a ona prządką!

Za najlepsze świadectwo o sercu i poczciwości tej zacnej pary może posłużyć to, że onę kosztowność święcie

zachowali, lubo spieniężenie jej, przy nędzy domu, mogłoby stanowić fortunę; a co większa, że sierota, pomimo przynęty strojnych sukienek i łakoci, od przybranych rodziców swoich z trudnością a z żalem odciągnąć się dała. Nakoniec, jako dowód najlepszy, że w tym odmęcie brudu demagogicznego były serca niezgangrenowane zepsuciem i fałszywą doktryną, można i to przytoczyć, iż wynagrodzenia hojnego od księcia nie przyjęli, a dług ten święty dał się dopiero w następstwie czasu spłacić dzieciom bezinteresownej pary, których książę z oczu nie spuszczał.

Już więc tylko pozostało do zbadania, o ile proroctwo zaślubienia męża w turbanie sprawdzi się na cudownie odszukanej księżniczce?

IX.

Podczas, kiedy się one złowrogie wieszczby spełniały na drugim końcu świata, Wacław Rzewuski z wyrostka stając się młodzieńcem, wzbijał się rozkosznie w przymioty duszy i ciała. Obdarzony od natury wspaniałą urodą, zdolnościami i talentami niepospolitemi, pod okiem zaś matki, wysoko wykształconej na swój czas pani, otoczony, śmiało można powiedzieć, najprzedniejszymi mężami, jakich świat podówczas posiadał, tak co do wiedzy, jak i kunsztów, bystrym umysłem przejął wszelką naukę i cały zapas piękna i estetyki przyswoił sobie.

Przy kształceniu umysłu nie pozostawiono też i rozwoju ciała odłogiem; albowiem w szermierstwie, konnej jeździe i wszelakich ćwiczeniach zręczności, rówieśników prześcigał. Już-to, co do zajęć, nie miał milszych, oprócz nauki i kunsztów, nad zuchwałe dosiadanie dzikich koni a tych dla niego znakomite stada matka zaprowadziła.

Dziwne czasem natura miewa kaprysy: jednych upośledzając, na drugich wylewa wszelkie dary i ozdoby, w jakie tylko śmiertelnikowi przywdziać się jest dozwolonem. Tak i Wacław, zaledwie z pacholęcia wyrosłszy na

młodziana, już był mężem, co się nazywa uczonym we wszech gałęziach wiedzy, tak humanitarnej, jak i nauk poważnych;—matematykiem i lingwistą, — (znał bowiem doskonale siedm europejskich języków, prócz wschodnich, łaciny i grecczyzny), szermierzem, muzykiem, śpiewakiem, a nakoniec, choć to może rzecz marna, i tancerzem był znakomitym.

Wszakże na tę, tak rozwiniętą a zapaloną głowę, od pierwszej młodości powiał duch od Wschodu, gdyż w dzieciństwie jeszcze jedyną podnietą i zachętą do nauk była swoboda oddania się po ich ukończeniu ulubionym wschodnim marzeniom, nauce poezyi, lub exercycyom wojskowym. Zaledwie tedy wąs się wysypał na dojrzewającej wardze, już rojenia o podróży na Wschód całą duszę Wacława zaprzątnęły.

X.

Tymczasem ojciec, osamotniony a stęskniony, gorliwie się o jedynaka dopominał. Lubo ufał swej małżonce, co do kształcenia syna, jednak przypuszczał, że edukacya, osobliwie w naukach ścisłych, zawsze coś do wypełnienia pozostawi, i dla tego przeznaczył mu poważną akademię wojskową, która, za staraniem Maryi Teresy i sławnego strategika Dauna, stanęła wyżej nad wszystkie spółczesne.

Młodzieniec obrał część naukową strategiczną i kształcił się przeważnie na inżyniera-górnika; a w przeciągu lat dwu nauki, na examin *maturitatis* napisał rozprawę, która pierwszą nagrodę otrzymała, i sam ją na język francuzki przełożył (rozumie się, że i na jeden z ulubionych języków wschodnich, w których w Wiedniu dalej się kształcił). Potem wstąpił do wojska austryackiego (*), a chociaż z chlubą tę nową karyerę traktował, wszakże wyczekiwał woli rodzica, ażeby w dłuższą podróż na Wschód się puścić.

(*) Patrz dodatek *C.*

Nakoniec pomyślnie mu się rzeczy złożyły, bo sam rząd austryacki, bacząc na jego dokładną znajomość języków wschodnich, przyłączył go do naukowej expedycyi oryentalnej, i w ten sposób spełnił gorące pragnienie młodzieńca, w połączeniu z pożytkiem, co się niemniej i poważnemu ojcu podobało, który nierad był rozpoczętą karyerę syna przerywać. Tymczasem zaś, za zezwoleniem władzy, młody oficer puścił się w podróż po Europie, co właśnie w dziwny sposób nie tylko na jego, ale na losy młodziutkiej naszej znajomej wpłynęło.

XI.

Tymczasem książę Alexander Lubomirski, odzyskawszy skarb drogi, który za stracony już poczytywał, schronił się z małą osieroconą jedynaczką do Berlina, gdzie duch przeważnie militarny wszelkie podmuchy rewolucyjne silnie od siebie oddalał, i tam poświęcił się wychowaniu córeczki, która w pączku wiosennych wdzięków dziewiczych uosobiała nazwę *Różyczki Polskiej*, nadaną jej przy dworze królowej.

Z urody był to istny obraz pięknej matki, a urok nieszczęść i męczeństwa, odbijający się na jasnem czółku młodej panienki, do drobnych jej nóżek pochylił głowy co przedniejsze, nawet mitrami zdobne. Przedwczesne jej sieroctwo było przypomnieniem barbarzyńskiego okrucieństwa rewolucyi francuzkiej, nienawidzonej przez arystokracyę; nieporównanym wdziękiem i powabem przenosiła wszystkie współczesne piękności; nadto zaś, jako dziedziczka znakomitego imienia i znacznej fortuny, stawała się niepospolitym kąskiem dla wszystkich; a dwór berliński dla swoich adherentów już dokoła pięknej, rozumnej, a bogatej dziedziczki siatkę matrymonialną zasnnwał, i w pałacu też księcia Alexandra siła się tej hołoty kręciło.

Żadna z dystyngowańszych osób nie mijała domu księcia Lubomirskiego, gdzie rozwijająca się roskoszna córeczka wdziękiem i rozumem wabiła: tembardziej też nie ominął go młody podróżnik, jako z nim spowinowacony przez matkę i babkę.

Wszystkie huryski Wschodu, wymarzone w ognistej, a młodej wyobraźni, zlały się w jednę rzeczywistość, na widok cudownie pięknej krewniaczki, i zatarły w sercu młodzieńca, na długo przynajmniej, ów popęd zwiedzania dziwów oryentu. Wacław nie śpieszył w dalszą podróż, bo tu już cały jego świat pożądany skupił się w jasnem oku dziewczyny. A i jej serduszko, dotąd bez wrażeń i uniesień, pierwszy raz uderzyło nowem, nieznanem życiem.

Za pobytu młodzieńca w Berlinie odbywała się szczególna w swoim rodzaju ceremonia: przybyły naówczas do tej stolicy sędziwy biskup, Ignacy Krasicki, chciał udzielić młodej księżniczce sakramentn bierzmowania.

Oto, co mi opowiadał pewny współczesny, który był przytomny tej uroczystości, gdyż nazwać niepodobna inaczej aktu tego, w ktorym czynny a serdeczny udział niemal cała ludność miasta, nawet i protestancka, przyjmowała;—był to niejako hołd współczucia dla tak tragicznie osieroconej dzieweczki. Kościół staraniem dworu był tak pysznie przybrany, jak jeszcze nigdy nie widziano.

Wszystkie damy dworu wyznania katolickiego kumowały do tego aktu młodej księżniczce.

Sędziwy biskup, w pięknej — a rzewnej przemowie wspomniawszy o matce, ofierze świętej, a czystej przyjaźni, wszystkich do łez rozczulił. Jak utrzymują, było to ostatnie pontyfikalne wystąpienie przed śmiercią, tego kapłana-poety.

Młoda księżniczka dotychczasowe imię Alexandry zmieniła, dla pamięci nieszczęśliwej matki, na jej niegdy imię Rozalii. Biedna córka, przy tem uroczystem zamknięciu, rzec-by można, wieku dziecinnego, żywiej, niż kiedy, uczuła żal sierocy po stracie rodzicielki, a tak rzewnemi zalewała się łzami, iż zaledwie o własnej sile dostać mogła do końca obrzędu, i podtrzymywać ją musiano.

Uroczystość ta, smutno rozpoczęta, zakończyła się jednak wesoło, kiedy dwanaście ubogich polskich dziewcząt, rówieśniczek Rozalii, jej staraniem pięknie przyodzianych, a hojnym sumptem księcia ojca wyposażonych, przystępowało po niej do sakramentu bierzmowania.

Pono życzeniem było króla, aby w tymże dniu odbyły się zaręczyny księżniczki z Ernestem Fryderykiem, księciem gotajskim. Kawaler to był świetny i młody, z panującego domu, i książę Alexander życzył go sobie, bo też partya to była w całych Niemczech nie do pogardzenia a konkurent po starym ojcu tron książęcy dziedziczyć miał; lecz Lubomirski nie chciał swej woli narzucać córce, która, bodaj że za ujrzeniem pięknego kuzynka, silnie ku niemu się skłoniła.

A jako zazwyczaj Niemcy lubią ze wszystkiego zysk ciągnąć, powiadają, że malarz jakiś zrobił trafny wizerunek młodej księżniczki, w stroju uroczym, jak do tego solennego aktu przystępowała, sztycharz odbił w tysiącach exemplarzy i zarobili nieźle; po niemiecku: *co figiel to grosz!*

Mój opowiadacz twierdził, jako ów sztych nabył, a nie mógł odżałować jego utraty.

XII.

Młodej wszakże parze do pobrania się nie dość było wzajemności gorących uczuć; — stanęła im na zawadzie ta okoliczność, że obadwaj ojcowie sprzeciwiali się połączeniu w powinowactwie, gdyż, jak się wyżej rzekło, w młodzieńcu od dziada już dwa razy krew Lubomirskich płynęła.

Natenczas bowiem większe poszanowanie dla przepisów Kościoła sprawiało to, iż związków w krewieństwie, które kościół w konieczności tylko dopuszcza, bardziej się wystrzegano; a uzyskać dyspensę w takim razie od papieża przez oszukaństwo, nie tak łatwem było, jak się to w późniejszych czasach praktykowało.

Nie przeciwiąc się tedy gwałtownie miłośnym zapałom, z początku podawali za pretext wczesny wiek panny, która w istocie zaledwie z dzieciństwa wychodziła. Rozdzielono więc młodych.

Wacława powołały obowiązki wojskowe, atoli już o wyprawie na Wschód ani słyszeć nie chciał. Jedno w nim tylko pozostało z dawnych zachceń oryentalnych, a mianowice, iż gorliwie kształcił się w językach wschodnich i księgi w nich pisywał.

Rozalia pozostała w Berlinie przy ojcu, cieszącym przyszłą nadzieją westchnienia księcia gotajskiego, którego protegował, chcąc córkę na tron książęcy wynieść.

Możeby w ten sposób jakoś się rozchwiało, gdyby nie to, że *ce que femme veut, Dieu le veut.* Pani hetmanowej matce niepomału schlebiał ten związek z panną niejako *historyczną*, iż tak powiem, przez tragiczny zgon matki i jej przyjaźń dla nieszczęsnej królowej; a do tego i rekuza, dana udzielnemu księciu, o którego wszystkie arystokratki niemki dobijały się, i krasa niepospolita panny, i wiano wspaniałe, i imię znakomite, — wszystko to razem wzięte sprawiło, iż matka, dla jedynaka ów wielce rozmiłowanym sercom, pożądany związek, pomimo oporu obydwóch ojców, do skutku doprowadziła.

W parę lat po poznaniu się oblubieńcy stanęli na ślubnym kobiercu.

Kiedy mianowicie i gdzie ślub się odbywał? niewiadomo mi napewno; zdaje się, iż w Wiedniu, dokąd po udzielonem zezwoleniu książę Alexander z córką swą przybył.

Jednę tu okoliczność zanotuję, którą, zacytowany już raz przezemnie, Choiseuil w pamiętnikach swoich zapisał: iż nazajutrz po ślubie był bal kostiumowy u matki nowożeńca, i pan młody wystąpił w tureckim stroju, do przyrządzenia którego miał przyczynić się samże Choiseuil, jako biegły w tej rzeczy, albowiem za rządów monarchicznych należał do składu poselstwa francuzkiego w Stambule.

A miał bardzo wspaniale wyglądać nowożeniec, tak, iż oczy wszystkich, szczególnie niewiast, z zachwyceniem go ścigały.

Wielka też miała być uciecha całej kompanii z tej

krotochwili, rozeszła się bowiem wiadomość o onej wróżbie, iż księżniczka miała poślubić męża, turbanem tureckim głowę pokrywającego.

Lubo tedy na pozór spełniła się ostatnia przepowiednia onej starej wróżki, jednak pozwólcie, abym z obowiązku opowiadacza poszedł dalej.

XIII.

Życie kwieciem się słało młodemu małżeństwu; bo w rzeczy samej czegoż tu chcieć więcej nad to, gdy wspólna miłość połączy wdzięki, rozum i bogactwo? — a niech tam filozofuje kto, ile mu się podoba, ale zawsze jest to troistość, dająca tyle szczęścia, ile go tylko śmiertelni na tym padole płaczu posiąść mogą. Stadło, pod świetną, zda się wróżbą skojarzone, spędzało na wędrówkch po świecie swój miesiąc miodowy. Wprawdzie przy tych warunkach nie tylko miesiące, ale i całe długie życie starczyłoby czem osłodzić; lecz mizernemu człowiekowi na jego nędzę jest dana jakowaś trująca wszelką pomyślność żądza, którą mądrość narodów zawarła w przysłowiu: *wszędzie dobrze, gdzie nas niema.*

W ten-to sposób błogość największą zwykł on, rwąc się do śnionych ideałów i mrzonek, zamieniać w najcięższą mękę tantalową, „pożądaniem" zwaną, a pędząc za nieznanem, choćby i dosięgnął celu, nigdy nie powie: — „Dosyć już — stanąłem u mety!"

Gdyby los takiego Wacława Rzewuskiego spuścił na ziemię w czasach błędnych rycerzy, zaledwie może zaspokoił-by pragnienie tego niespokojnego ducha, rwącego się do zdobycia coraz to nowych, a burzliwszych wrażeń; ale dla tej piersi, wrzącej wulkanicznym ogniem żądz i ma-

rzeń, życie magnata, hreczkosieja, lub robigrosza, na które go przeznaczenie i stan obecnego położenia kraju skazywały, było niewystarczającem (*).

I nie dziw!... Czemu-to lew szamota się i rzuca w ciasnej klatce menażeryjnej? —bo żądzę obszernych przestrzeni przyniósł na świat ze sobą.

Owoż, skoro miesiąc miodowy dla szczęśliwej pary spowszedniał (**), skoro nad głowami, jaśniejącemi młodością i wdziękiem, zmienili wiele firmamentów; zaczęli szukać po-za obrębem swojego bytu tej pomyślności, która w nich spoczywała.

Przerzuciwszy tedy wiele stref i nieba, z kolei zawadzili o Krzemieniec, przedstawiający wówczas rozkosze, jakie z mądrego a trudnego zestawienia dwóch, tak rzadko w parze kroczących, żywiołów — *utile dulci* — wyniknąć mogą.

W pierwszej ćwierci bieżącego stulecia towarzystwo Krzemieńca przedstawiało dziwną różnorodność; była to mozaika pełna pstrocizny, o jakiejby dziś zamarzyć trudno: najpierw w oczy uderzał niezmordowany pracownik na niwie oświaty, Czacki, w otoczeniu poważnego grona mężów nauki, mozolący się nad węgielnym kamieniem sławnej w następttwie szkoły, już w samym zaczątku wabiącej roje wychowańców i, za przykładem fundatora, siła dbałych o dobro przyszłych pokoleń, obywateli, niosących na ten cel święty hojne ofiary. Obok zaś tego poważnego orszaku ludzi poświęcenia, stanął świat płochy, zfrancuziały, hulaszczy, może nieco rozpustny i zanadto rozbawiony, a złożony z kwiatu arystokracyi trzech najbogat-

---

(*) Patrz dodatek *D.*

(**) Patrz dodatek *E.* i *K.*

szych prowincyj: Wołynia. Podola i Ukrainy. Niedaremnie więc Krzemieniec uzyskał miano *małego Paryża*, a jego towarzystwo cechę dobrego tonu całemu krajowi nadawało.

Ale, ale... żeby mnie czasem jaki moralista za to wyrażenie „dobry ton" nie potępił, a nie pomyślał, że czas ten chwalę dla tego, iż był po części i moim; powiem na usprawiedliwienie tego nienormalnego stanu towarzystwa, że w owoczesnych ludziach wrzały gorąco, jeszcze się nie dość wyburzywszy, pewna krewkość, ruchliwość i nadmiar życia.

Z pod obcych tedy stref i nieba młode stadło, jednostajnością istnienia zestarzałe, wpadło do tej Lety bystro ciekącej, a odżywiając siebie samych wszystko dokoła nowem życiem darzyło.

Pobyt młodej pary zapisany jest jako ważna epoka w kronikach towarzyskiego bytu Krzemieńca. Napomknąwszy tylko o nadobnej pani Rozalii, która wszędy siała urok swoim powabem i wdziękami, dawała *ton prawdziwie dobry* otaczającym, i lekkomyślność rowieśnic umiała zamienić w przystojną powagę; zatrzymajmy się nieco dłużej na Wacławie Rzewuskim, który tu dopiero dał się w całej pełni poznać rozmaitemu towarzystwu, roztoczył w rozleglejszem kole przymioty bogatego umysłu, jednem słowem: dobył niejako niepospolitego ducha, co, przeskakując od najpoważniejszych przedmiotów do najpoziomszych błahostek, we wszystkiem celował, zadziwiał i nieprzepartym urokiem ku sobie pociągał.

Mało jest kilku rysów pióra, tembardziej, iż rzeczy naszej do rozwlekłości nie stosujemy — ażeby objąć całą jego ruchliwą działalność i opisać wszystkie sprzeczne charaktery, jakie na siebie przybierał.

Najpierw Rzewuski zjednywa sobie cenną przyjaźń poważnego Czackiego, który go tytułem honorowego członka rady szkolnej zaszczyca. Zadziwia głęboką nauką uczony areopag profesorski; toczy z nim dysputy, które w sąsiedniej klasztornej poczajowskiej drukarni wytłacza. Staje się rozrzutnym dobroczyńcą ubogiej, a chciwej wiedzy młodzi szkolnej i prócz datków doraźnych, siła stypendyów funduje.

Krzemieńca, *alias małego Paryża*, nie mijały ówczesne znakomitości artystyczne, dbając o jego uznanie. Zjawia się sławna Catalani (*); Rzewuski występuje z nią na publicznym koncercie, śpiewają dueta, i *diva* swojego czasu mistrzem go w tym kunszcie ogłasza. Sam też układał pieśni i melodyę do nich dobierał, a grą na fortepianie wszystkich oczarowywał.

Z utworów muzycznych Rzewuskiego najbardziej cenionem przez znawców jest „*Requiem* na zgon Tadeusza Czackiego,” wykonane na jego obchodzie żałobnym, a następnie kilkakrotnie wydane w Wiedniu.

W istocie była to dusza nawskroś poetyczna, i niepodobna wyliczyć hojnych darów, jakie rozrzutna natura wlała w tę oryginalną, marzącą, a pełną życia istotę.

Dobrze świadomi dziejów szkoły krzemienieckiej utrzymują, że po śmierci Czackiego ważyły się szale pomiędzy hr. Filipem Platerem, a Wacławem Rzewuskim, który z nich ma zająć miejsce głównego zwierzchnika szkoły, przez Czackiego osierocone. A lubo książę kurator, Czartoryski, dla zadość uczynienia przedśmiertnej

---

(*) Chociaż Andrzejowski („Ramoty starego Detiuka“) pobyt Catalani w Krzemieńcu na czas po wyjeździe Rzewuskiego oznacza. jednak w tym względzie idę za podaniem innych wiarogodnych świadków.

woli Czackiego, wizytatorem, a raczej kuratorem szkoły mianował hr. Platera, jednak Rzewuskiego wielce poważając, stanowisko to w przyszłości jemu przeznaczał. A jak powiadają, sam Czacki, przechylając się za Platerem, czynil tak bardziej z przyjaznych rodzinnych stosunków, i pono plan sobie ukartował mieć go za zięcia. W Rzewuskim zaś oceniał niepospolite zdolności i ważny przymiot dla zwierzchników szkoły — umiejętność jednania sobie serc młodzieży.

Co do tego ostatniego, nie od rzeczy będzie przywieść tu, co o Rzewuskim powiada współczesny mu Andrzejowski („Ramoty starego Detiuka"), który bardzo trafnie maluje oryginalny ten charakter:

„Hr. Wacław czuł osobistą swoją godność, ale skromny, najgorliwszych starań dokładał, ażeby, przejąwszy się duchem Czackiego, dobru ludzkości i usłudze współziomków i życie, i majątek poświęcić; ale działał prywatnie i prawie skrycie. Mało kto znał piękne jego zamiary. Ale kto je poznał, wielką cenę do jego charakteru przykładał. Nie był jednak bez „ale." Oryentalizm był jego manią. Ubiór arabski, arabskie do koni przywiązanie, arabskie ćwiczenia, twardy sposób życia, były dziwactwem nawet rozśmieszającem; ale przy tylu świetnych przymiotach, przy wielkiem bogactwie umysłowem, dziwactwo to nikło w oczach ludzi, mających serce i patrzących w serce. Ogłada obyczajowa, wysoki talent do muzyki, dar piękny tłómaczenia się ojczystym i obcemi językami, robiły hrabiego miłym i pożądanym w każdem towarzystwie. Chwalono i krytykowano hrabiego w świecie salonowym; ale uwielbiali biedni i uciśnieni, szanowali uczeni dobrze myślący."

„Hr. Rzewuski — mówi Andrzejowski — wszędzie

mile przyjmowany, utrzymywał się zawsze w granicach dostojnej godności. Żonaty, nie był celem marzeń dla matek, mających córki na wydaniu, i tem swobodniejszym był w stosunkach z domami, do których uczęszczał. Ale hrabia nie w samem tylko arystokratycznem żył kole; i domy kilku profesorów miłym dla niego były pobytem. Serca uczniów do siebie popularnością swoją pociagał, ale umiał ich utrzymać w granicach przyzwoitych. Lubił widzieć ich na lekcyach konnych; sam biegły jeździec, uczącemu nie jedno ważne prawidło ekwitacyi pokazał, a w wolnych czasach od nauki, za zezwoleniem zwierzchności szkolnej, z uczniami konne przejażdżki za miasto odbywał. Tam dopiero rozwijał całą swoję umiejętność, i zręcznością zadziwiał. Zachęconych przykładem swoim przyuczał do śmiałości i zręczności w obejściu się z koniem i użyciu go w zamierzonych gonitwach i sztukach...“

„Młodzież pokochała hr. Wacława, ale do tego przywiązania łączyło się uszanowanie, które wesoła, ale poważna uprzejmość hrabiego natchnąć umiała. Żył on w domu skromnie, rzadko dawał wystawne obiady, u stołu jednak jego codzień żywiło się 12 — 15 osób, chociaż dwór jego stanowił jeden tylko sekretarz Rodakowski. Jacyż-to byli ci współbiesiadnicy? Oto najbiedniejsi uczniowie, wskazani przez prefekta. Nie dość, że mieli chleb powszedni, ale i garderobą ich, z polecenia hrabiego, zajmował się Rodakowski. Rzewuski był hojny dla drugich ale nikt nie znał uczniów, lub innych potrzebujących, którzy od niego mieli wsparcie. Jeden tylko Jarkowski, prefekt, wiedział o tych uczynkach szlachetnych; milczal, bo dał słowo hrabiemu, ale nie szczędził należnych mu pochwał i unosił się młodzieńczym zapałem, oddając sprawiedliwość wielkim zaletom Rzewuskiego.“

XIV.

Z Krzemieńca datuje bliższa znajomość Rzewuskiego, jako poety, z innym śpiewakiem, Padurrą, znanym w piśmiennictwie pod mianem *Tymka Padurry*, który pisywał najwięcej po ukraińsku. A właśnie podówczas Rzewuski, zabaczywszy na chwilę oryentalizmu, bawił się w kozaczyznę, i przez bujną fantazyą ród Rzewuskich od jakiegoś niby *kozaka Rewuchy (?)* wyprowadzał.

Owoż przyjaciel jego Padurra, natchniony powodzeniem tego koryfeusza Krzemieńca, napisał wiersz, w którym równał go do orła; znana mi tylko jedna strofa z odpowiedzi Rzewuskiego, którą z własną melodyą śpiewywał:

„Ne litaje cèj Rewucha,
Win ne oreł, win ne ptak;
Ot tak sobi tne wid ucha,
A kudy kiń, to kozak."
(A gdzie go tylko rzuć, zawsze kozak).

Gdybym-to miał więcej materyałów do rozjaśnienia

stosunku tych dwu dusz poetycznych, niezawodnie wiele ztąd ciekawych rzeczy można-by wysnuć (*).

Wspomniałem już o tem, jak Rzewuski celował zręcznością niepospolitą we wszelkich ćwiczeniach cielesnych i konnej jeździe, co jego przyjaciel Padurra trafnie określił w wierszu jemu poświeconym:

„. . .Win rodywsia na stepach
Orłom stawsia z człowika,
Bo zris w kińskich stremenach." (**)

Nie od rzeczy więc będzie, gdy przytoczę tu parę przykładów tej zręczności:

Krzemieniec leży w kotlinie, zewsząd otoczonej wyniosłemi skałami; najstromsza z nich, a zaledwie dostępna dla skrzydeł ptasich, racic kozich, albo nóg bosych małych chłopiąt, zwie się *Górą królowej Bony*, z powodu, iż tam widać jeszcze ruiny zamku, który pono dla trudności dostępu, nigdy dokończonym nie był. Wierzchołek tej góry obrosły najbujniejszym lasem, środek zaś jest nagą gładką skałą o naturalnych schodkach, deszczową wodą wypłókanych.

U stóp skały rozkładają się najpyszniejsze ogrody, naówczas ulubione miejsce letnich przechadzek i zabaw Krzemieńczanów. Tam-to wyprawiano podwieczorki, pik-

---

(*) Padurra już w podeszłym wieku, zmarł 1871 r., w Koziatynie, w domu swojego przyjaciela, p. Maryana Wasiutyńskiego, którzy, jak utrzymują, posiada wiele ciekawych szczegółow z życia poety; jeżeli tak jest w istocie, szkoda, iż to światło pod korcem ukrywa, sam będąc literatem.
(*Przyp. autora*).

(**) „On się zrodził na stepach,
Orłem stał się z człowieka,
Bo wyrosł w końskich strzemionach."
(Strofę z odpowiedzi Rzewuskiego wyżej podałem).

niki i rozmaite fety. Jednę z takich zabaw urządzono w czasie rozpoczęcia wakacyi dla uczni, kiedy wszyscy rozjeżdżali się do domów na wypoczynek, kto po trudach, a kto po miłem próżnowaniu.

Wszystko, co żyło w Krzemieńcu, od pysznych do skromniutkich, zgromadziło się na tę ucztę pożegnalną; uczeni, uczący się, a równie ci szczęśliwcy, którym los bezkarnie próżnować dozwalał, na traktament wysadzali się. Młodzież bawiła się w piłkę; starsi uczniowie bili się w palcaty, dosiadali koni, których przeważnie Rzewuski dostarczał, bo prawie całe stado utrzymywał w Krzemieńcu. Sam też harcował na swoim białym Arabie, zrodzonym na pustyni, a opłaconym sowicie; — miał to być bowiem w końskiej hierarchii niepośledni arystokrata, *pan z panów*, a przeszło sto pergaminów arabskich w drzewie genealogicznem posiadał.

Patrząc wtedy na te konne popisy, ktoś z przytomnych rzucił kwestyą dziwaczną:

— A kto wyjedzie konno na *Bonę?*

Zapewne kwestya ta przeszła-by jako żart, ale dla Rzewuskiego takie żarty miewały w sobie więcej, niż połowę prawdy; to też, siedząc na swoim arabczyku, odrzekł na to:

— A no o zakład, tylko gruby.

— Ha! kiedy ma być gruby, to proponuję całą złotówkę; — odparł sławny niegdyś z męztwa i odwagi, a przytem znany z miłego humoru, pułkownik Marcin Tarnowski.

— Trzymam! — zawołał jeździec, wspięty razem z koniem już na przyczołku niedostępnej skały.

Nim uspokoiły się serca bijące trwogą, nim ucichły okrzyki przerażenia i spazmy lękliwych niewiast, już dziel-

ny harcerz doprowadził syna pustyni na sam szczyt góry, zkąd powiewał chustką ku zdumionym i nieochłodłym z przerażenia widzom, na znak tryumfu.

Lecz niedługim był zachwyt świadków tego niezwyczajnego pochodu; albowiem zjazd z tej góry stokroć był trudniejszy i hazardowniejszy, niż wejście na nią. Przewidując niebezpieczeństwo, zawsze do poświęceń gotowa młodzież, zrzucając obuwie, wołała:

— Zniesiemy dzielnego jeźdźca i konia na ręku!

A po tych słowach cała skała okryła się kilku setkami ochotników, drapiących się po nagim granicie z szybkością kóz dzikich, — temu zaś poświęceniu applauz tysiąca dłoni towarzyszył.

Atoli jeździec, snadź liczący na własne siły i do obcej niezwyczajny pomocy, skłonił się na zawdzięczenie dobrej chęci poczciwej młodzieży, zebrał cugle dzielnego arabczyka i puścił się z powrotem na dół, czyli na śmierć widoczną, jak się wszystkim zdawało... To też trwoga taką ciszę grobową zasiała pomiędzy niedawno jeszcze rozbawioną drużynę, iż przelot drobniutkiej muszki pomiędzy tymi ludźmi dałby się niezawodnie słyszeć na rozległej przestrzeni, jakby w ciasnej komorze. Uznani niedowiarkowie padali na kolana, kobiety odchodziły od zmysłów, a nikt ratować ich nie śpieszył; tak każdy z sercem zamierającem czekał okropnego rozwiązania tego zuchwalstwa.

Cóż dopiero powiadać o młodej żonie, która, w tym szalonym kroku przewidując rychłe wdowieństwo, padła jak martwa. Cała ta scena trudna jest do opisania.

Tymczasem koń utykając, a na nim jeździec jak przykuty, odbywali noga za nogą tę śmiertelną wyprawę, która jak długo trwała, miarą czasu trudno oznaczyć; to tyl-

ko pewna, że całe wieki dłużyła się dla przelęknionych widzów...

A cóż to za powitanie być musiało, kiedy się już pozbyli trwogi, mając żywych przed sobą, jakby zbiegów z innego świata, jeźdzca i konia! — Lekarze zakrzątnęli się około pani Rzewuskiej; ktoś z tłumu krzyknął do zuchwałego jeźdźca:

— Twoja żona nie daje znaku życia!

— Ja jeden ją ocucę — rzekł śmiało.

I po tych słowach zbliżywszy się do omdlonej, pochwycił ją w ciepłe a miłujące objęcie.

— Rozalio! to *ja* i *on* żywi i cali na twoje usługi — zawołał, wskazując na stojące przy nim wierne zwierzę, które jakiemś żałosnem parskaniem, swej pani okazywało kompassyą.

I odgadł Wacław, że on jeden był zdolen to serce dla niego bijące, do życia przywrócić. Jakby cudem wskrzeszona, niewiasta zawisła na drogiej szyi małżonka, między nim a wiernym koniem dzieląc pieszczoty.

A co tam się działo pomiędzy przytomnymi?...

Stary Tarnowski, dla zasług swych powszechnie synowskim szacunkiem otaczany, a ztąd poufale z góry wszystkich traktujący, zburczał śmiałka z żołnierską rubasznością:

— Wartoby takiego waryata do pana prefekta odesłać, aby go na *niedźwiadkum* położył i... (*)

— Za taką złotówkę, pułkowniku, choćby w piekło pójść warto — odparł Rzewuski.

(*) Alluzya miejscowa szkoły krzemienieckiej, której powszechnie szanowany, zacnej pamięci prefekt Jarkowski, do odbywania exekucyi nad winowajcami miał stołek, niedźwiedzią skórą obity, i mawiał z łacińskiem zakończeniem do delikwenta: „*Kładź się synkum na niedźwiadkum.*“

Uściskali się młody zapaleniec ze starym rycerzem i. . dobrze im było! (*).

Wybaczcie mi czytelnicy, że stare dzieje, może dla was już nieciekawe, odgrzewam i *na gorąco* chcę podać... ale czemuż, gdy was bawią zmyślone przygody jakichś kochanków i rozmaite androny silących się na dowcip spółbraci piórowych, nie mielibyście udzielić łaskawego ucha prawiącemu wam o przygodach ludzi, co żyli, jak my ze krwią i kośćmi, z grzechami i usterkami, lubo i na zasługach im nie zbywało.

Po tej przemowie raźniej mi będzie zapuścić się w głąb rozpoczętej opowieści, gdyż jeszcze coś mi wątku do niej pozostało.

(*) Powtórzone dosłownie z opowiadania spółczesnych, a wiarogodnych świadków.

XV.

Aby nie nadużyć cierpliwości czytelnika, pominę wiele szczegółów co do zręczności w ćwiczeniach cielesnych Rzewuskiego, który zapędzał w kąt wszelkich gimnastów, wołtyżerów, tancmistrzów, fechtmistrzów i t. p. kunsztmistrzów z profesyi; tylko się nieco dłużej zatrzymam przy sztuce szermierskiej, którą Rzewuski posiadał w wysokim stopniu doskonałości. Czas to był bowiem, kiedy wszelakie ćwiczenia rycerskie, szczególniej konną jazdę, celne strzelanie i fechtunek rozmaitego rodzaju ceniono wysoce, a bez pewnej w nich wprawy wychowanie światowe było uważanem za niezupełne.

Ztąd-to może poszło, iż ono *burczymuchowstwo* i zawadyactwo trochę we krwi szlacheckiej leżało; w zeszłym jeszcze stuleciu byli rębacze, że tak powiem, z profesyi Hetman Ksawery Branicki, Gula Piotrowski, Żminda Mazurkiewicz, może najsławniejszy z nich, pułkownik Janikowski (*) i wielu innych.

Owóż, nie byli to „ojcowie bezdzietni"; a sztuka ich

(*) Ob. „Ostatni sejmikowicze" Jaxy Bykowskiego.

szermierska, z czasem bardziej udoskonalona, ociesana, z burd oczyszczona, w salonowe wytrawniejsze formy przybrana, przeszła na synów, i był to czas, kiedy nie na palcaty, lub na florety z gałkami, ale bez ceremonii na ostre narażając się na ciężkie szwanki, *z dobra dziwa*, bez najmniejszej urazy, krwawiąc się zajadle, szli o lepsze i próbowali zręczności, a poczciwe piersi, kat wie za co, wystawiali na śmiertelną igraszkę.

Rzewuski słynął równie w sztuce szermierstwa, a chociaż burczymuchą nie był, jednak, jako kawaler światowy, a fantazyi pełny, nie zawsze w sali fechtunku na suchych guzach kończył swoje popisy, nie jedno się i krwawo rozwiązało.

Ba!... czasy-bo to były jakieś burzliwe, a wierzajcie mi, iż wtedy tak łatwo było wyrąbać się, jak niby dziś... co? (przypuśćmy) przejechać się złotemu młodzieńcowi w dorożce pierwszej klasy do Szwajcarskiej Doliny.

Lecz cała bieda, iż palmę zawadyactwa w tej okolicy naówczas trzymali bracia R. (Poprzestaję na początkowej literze, gdyż jeden z nich może dotąd żyje, a przynajmniej żył do niedawna, a potomstwo, choć bardzo zacne, lecz drażliwe). Owóż braciom R., wsławionym i w Warszawie za czasów Księztwa Warszawskiego, rębaczom, poszło nie po myśli, że ktoś im w poprzek wiekowej drogi sławy staje. Przybywszy tedy na sławny karnawał do Krzemieńca, wszyscy trzej szukają zwady z Rzewuskim— o co było nietrudno: przy ochocie, gdy się krew gotowała, dosyć było lada pozoru, który każdy skwapliwie chwytał.

Pojedynek z braćmi R., według ogólnego mniemania, bacząc na ich wytrawność i grę znakomitą, równał się konnemu wjazdowi na górę *Bony* Rzewuskiego. Wyzwa-

nego więc przez nich Rzewuskiego na rękę już zawczasu opłakiwano, i z żalem powszechnym mary mu gotowano.

Bracia R., że to byli gracze, a i zarozumialcy nieposlédni, przez furfanteryą zażądali pojedynku *quasi* publicznego.

Rzewuski, rozumie się, przyjął już z samego popędu własnego animuszu; ale, oho! niechby człek światowy wówczas czegoś podobnego nie przyjął, to poszedłby precz z towarzystwa tam, gdzie raki zimują. Bo mówię, że taki był czas.

Na dzień tedy naznaczony uprzątnięto magazyn wojskowy ogromnych rozmiarów, i ten napełnił się widzami, śród których i sekundantów było także nie mało, każdy bowiem ze spektatorów tę rolę na siebie przyjąć zażądał.

Rozumie się, iż Rzewuski budził ogólną sympatyę, raz, jako młodzian wielkiego serca i rozumu, a cichy przy tem i skromny, wszystkich miłujący; a potem, iż był obrany za cel żywy, za manekina niejako, do zadośćuczynienia ambitnej próżności starym rębaczom i zawadyakom. Z przeszło tedy sta świadków tego oryginalnego zapasu, ledwie dziesiąta część stanęła przy braciach R., a reszta przy ich przeciwniku, dla wszystkich wielce sympatycznym.

Otóż to sęk, iż gdzie się zbierze kupka szlachty, tam zaraz jakiś dyabeł gorętszego ferworu nadmucha i burda gotowa.

— A cóż to, mości panowie, czyliż długo będziemy znosić siekaniny tych *kucharzy powiatowych* (tak braci R. przezywano, co nam szlachtę na kotlety sieką? A weźmijmy-no się do nich po swojemu i nie dajmy zrąbać tak zacnego i statecznego kawalera! — zawołał Gerard Bykowski, także burczymucha zeszłowieczny, strasznie ogni-

sty do korda i wszelkiej burdy, sławny zaś z tego, że był zawsze rąbany jako *curtum visum*; atoli do wielkiej fantazyi nic mu to nie przeszkadzało, i pierwszy zawsze stawał do każdej rozprawy i każdą rozdmuchiwał. Obecną zaś swoję wocyferacyę poparł czynem: dobywszy serpentyny, rzucił się na braci R., a szlachta za nim.

Nie wiadomo, coby się stało, gdyby nie przytomność Rzewuskiego, który, zasłaniając sobą braci R , puścił pałaszem młyńca własnego wynalazku, zwanego „*od stu dyabłów*" — wołając w gniewie co siły:

— Wara!... chyba po moim trupie do nich dojdziecie. A piękna mi wasza przyjaźń, taki mi despekt na honorze czyniąca: wygląda to, jakobym ja tu was wezwał na nikczemną zasadzkę, zamiast stanąć do honorowej rozprawy. Oblał tedy od razu jakby zimną wodą ten niewczesny ferwor szlachecki; widząc zaś, że ostygają, zakomenderował z energią:

— Szerpentyny do pochew!

I wnet schowały się wszystkie jak jedna; on zaś im dalej prawił:

— Każdy z panów R. z natury rzeczy może mieć po dwóch sekundantów; bo jednemu rozprawiającemu się bratu dwaj inni sekundować będą. Ja także na dwóch poprzestanę, nawet na jednym; lecz wybór w tak licznem gronie łaskawych i życzliwych jest mi nader trudnym...

Nie dano mu dokończyć i wnet sto głosów zawołało:

— Ja!... ja!... ja!... Mnie! mnie weź!

— Pokazuje się, że wybór jeszcze mi bardziej waszmościowie, przez swój wielce dla mnie szacowny sentyment, utrudniacie.

I znów się wyrwał gorący Bykowski:

— Wiecie, waszmościowie, co ja poradzę?...

Oto wybijmy się wszyscy pomiędzy sobą, a kto wyjdzie cały, ten będzie miał zaszczyt sekundować.

Śmiech ogólny powstał z biednego pana Gerarda, a zewsząd wołano:

— To już pewnie jegomość nie będziesz sekundował, boś pono nigdy jeszcze cało nie wyszedł... Spojrzyj w zwierciadło na pozszywane oblicze i t. d.

Wistocie zapalczywy pan Gerard wyglądał jak zraz posiekany, a już się miotać i nowego guza szukać poczynał; lecz zahukała go szlachta.

Zabawnie się poczynały te krwawe zapasy. Aż w końcu ozwał się Rzewuski:

— Skoro mam tylu łaskawych, co mi wielki zaszczyt przynosi, tak zaś sercem, jako i rozwagą, jednego nad resztę wynieśćbym nie umiał; pozwólcie, niech tę cenną ze wszech miar dla mnie ochotę los w ten sposób rozstrzyga: oto podrzucę czapkę, a ten, kto ją złapie, uczyni mi wielki honor, sekundując w tej rozprawie. Reszta zaś przytomnych zobowiąże się *parolem*, że się do niej mieszać nie będzie.

— Zgoda!.... zgoda!...— zawołali jednogłośnie. Jeden tylko Bykowski mruczał, bo jako krótkiego wzroku, czapki złapać nie spodziewał się.

Uszykowali się tedy wszyscy w szeregu przed wozownią; Rzewuski rzucił czapkę, a Bobr (*) młodziutki naówczas, zaledwie w świat wchodzący, zręcznie ją pochwycił. Zawołała szlachta:

— Co? on, taki młokos, ma być wybrańcem z pomiędzy nas tylu starszych?... i t. d.

— Kiedyśmy na los puścili, więc jego wolę szanujmy

(*) Od Bobra miałem te szczegóły.

a zresztą mości panowie, *verbum nobile* i zaprawdę czas niestosowny do takich alterkacyj, lubo te nie inaczej, jak tylko schlebiać mi mogą, świadcząc o niezasłużonej na mnie łasce waszmościów. Bo oświadczam wam, iż jeżeli na umówione kondycye nie piszecie się, to miłej a zaszczytnej dla mnie przytomności waszej w tej sprawie z wielkim żalem pozbawić się będę zmuszony; — rzekł stanowczo Rzewuski i tem jakoś szlachtę umitygował, iż się przystojnie zachowała.

Młody Bobr był uradowany, iż mu się taka sekunda na wstępie w świat przydarzyła.

Uspokoiło się w ten sposób wszystko i w należyte karby weszło. Bracia zaś R., widząc ten ogólny affekt dla adwersarza, bardziej się jeszcze przeciw niemu rozjątrzyli.

Bobr, acz młody, ale gładki chłopak, rzecz znał, jak wszyscy natenczas od wczesnej młodości; zmierzył broń i ustawił jak się należy.

Miała się tedy zacząć rozprawa z zastrzeżeniem do pierwszej krwi, wszakże bez zastrzeżenia cięcia, co przy zręcznych, a zajadłych graczach śmiertelnemu pojedynkowi się równa.

Bracia R.; wprawni szermierze, wykalkulowali w ten sposób, ażeby najsłabszy z nich rozprawę poczynał, a najmocniejszy w razie potrzeby, wsiadł na znużonego już przeciwnika, jeśli ten wyjdzie cało z rąk pierwszych dwóch.

Nie wytrzymała szlachta na widok tej spekulacyi szermierskiej: ktoś tam ze spektatorów się ozwał:

— Co to jest? prosimy panów R. wybierać z pomiędzy siebie na losy,

Rozumie się, że za nim poszli inni i znów począł się huczek, który jednem surowem spojrzeniem Rzewuski

uśmierzył, że do stojącego przed sobą adwersarza, wyrzekł z uprzejmością:

— Służę panu.

We dwa pacierze już pierwszemu R. krew z ucha pociekła; rzucił on się z jeszcze większą wściekłością na przeciwnika, ale młody Bobr, baczny na kondycyę, przytomnie go zastawił.

— Służę panu! — zawołał zaperzony drugi brat, zajmując miejsce ranionego.

— Pół godziny wypoczynku było wymówionem — ozwał się Bobr.

— Ja odstępuję od tej kondycyi — rzekł Rzewuski.

— A ja, wybaczysz pan, stoję przy niej, — odparł, grzecznie, wszakże stanowczo, Bobr.

Rzewuski, jako znający prawa sekundanta, skłonił się mu uprzejmie i milcząc odszedł na stronę.

Tu znów widzowie nie wytrzymali, a obsypując sekundanta hucznemi oklaskami, wołali:

— Bravo, Bobr! A co? los nie ślepy, wie, co robi? Młody, ale roztropny i zna rzecz. A i ci kucharze łapczywi na kotlety, tak-by siekać bez odpoczynku chcieli.

Znów musiał mitygować Rzewuski; bracia zaś widząc to przeciw sobie oburzenie, tracili fantazyę.

Po upływie pół godziny stanął drugi brat. Walka szła uporczywie i zakończyła się wytrąceniem przez Rzewuskiego przeciwnikowi pałasza, co nietylko równało się *pierwszej* krwi, ale ją przewyższało. Brat, a sekundant tak stracił głowę, że w porę nie zastawił, jak to było jego obowiązkiem, i gdyby nie zimna krew, a powściągliwość Rzewuskiego, miałby on wszelkie prawo skończyć tę awanturę tragicznie; lecz w tejże chwili, jakby na komendę, pałasz opuścił.

Zostawał jeszcze trzeci brat, najsłynniejszy rębacz, a rzecz szła nie na przelewki, tak, iż między burzliwymi dotąd widzami cicho się zrobiło, jak mak siał.

Naprawdę, gdyby brat trzeci był umiarkowańszym, to, ponieważ obrazy nie było, a tylko próba na takie rozjuszenie wprowadziła, byłby powinien z exkuzą usunąć się od pojedynku, tembardziej, iż szlachetny, a umiarkowany przeciwnik życie jego bratu darował. Atoli ten R. był znany jako człek gwałtowny, i teraz już mu krwią oczy zaszły, a chodził jak lew w klatce, oczekując upływu onej pół godziny.

Skoro się zwarli, wprawdzie Rzewuski z krwią zimną, lecz R. rozjuszony do ostateczności,—dech prawie zamarł w spektatorach; tylko słyszeć się dawało głośniejsze serc bicie, wtórując brzękom oręża, jakby kto jednym młotem stukał.

Ciosy przeciwnika były tak gęste i silne, iż zaledwie Rzewuski zdążał je odpierać.

Wszakże każdy świadomy rzeczy wie to dokładnie, iż zbytnia sierdzistość i zapamiętałość są najzgubniejszemi w podobnych razach; jakoż po kilku minutach walki krew trysła z ramienia R. i szabla razem z ręką opadła. Pomimo to wrzeszczał nie swoim głosem:

— Może na lewą rękę? Mówiono mi, że waćpan równie się bijesz, jak na prawą, — służę.

Nim sekundąnt i szlachta mieli czas interweniować, — co bezwątpienia nastąpiłoby, w tejże chwili przeciwnik osłabiony gwałtownym krwi upływem, padł bez zmysłów na ziemię.

Dwaj ranieni bracia R. pozostali pod opieką trzeciego i chirurgów, a szlachta porwała Rzewuskiego i młodego sekundanta na ręce i obnosiła po mieście...

. . . .

Takie to były jeszcze wówczas: krewkość i animusz w ludziach!

„A czyli to dobrze?” — masz prawo zapytać, czytelniku.

Lecz pozwól, abym ci *directe* nie odpowiedział, lecz całą winę zwalił na duch czasu.

Jak dzisiaj byłby pogardzony i wykluczony ze społeczeństwa każdy burda i pojedynkowicz, tak naówczas podobnego losu doznałby szlachcic robiący *geszefta*, grający na giełdzie i t. p... Czas płaci, czas traci—mówi przysłowie. Co zaś do mojego osobistego poglądu, wolę powtórzyć z poetą:

„*I swego czasu śpiewak nie obwini*”.

Wszelako, pomimo tego, iż wiele jeszcze podobnych przygód do zapisania by się znalazło, lubować się nie myślę w onym czasie, kiedy tyle, że tak powiem, pereł ducha marnowali ludzie gwoli szałom i rozuzdanej fantazyi, pomiatając cennemi darami bożemi.

XVI.

Rzewuski stał się bożyszczem rozbawionego towarzystwa; wszędzie go było pełno, i, jak mówią, woda-by się bez niego nie oświęciła -- bo w rzeczy samej, czegoż mu brakowało z darów bożych, jakie na śmiertelnego spłynąć mogą? Młody, piękny, dorodny, hojny, a wspaniałomyślny, ztąd też powszechnie miłowany, — pełny rozumu, wiedzy i talentów, wszystko, przez dotknięcie jakby czarodziejskiej ręki, do perfekcyi podnosił.

Pomimo tego jednak ów robak oryentalny wgryzł mu się głęboko w piersi i toczył żądzą zbadania Wschodu. Wprawdzie urządzał on sobie pewną podobiznę tych marzeń swoich, dalej prowadząc studya nad Koranem i wschodnimi językami; rad też młodzież szkolną w nich ćwiczył, gwoli zaś jego miłości, wielu było z nich mogących się już jako tako z nauczycielem porozumieć. Dodawszy do tego konie arabskie, zdobne rzędami bogatemi Wschodu, i muzułmanów w jego usługach zostających, zdawało się, że dla zaspokojenia tej mary ulubionej, przy wesołem życiu, powinno było-by mu wystarczać. Atoli rwał się zadługo do ziszczenia snów młodości, ażeby im dał się rozwiać bez skutku.

Podróż wszelka za granicę kraju, dla utrudnionych kommunikacyi, była naówczas najeżona tysiącami przeszkód; a cóż dopiero podróż na Wschód, bardziej niźli dziś, barbarzyński. Nie tak często ludzie tam docierali, wszelako można było pojechać i wrócić; więc znajomi łzą żalu żegnając w Rzewuskim, duszę towarzystwa, mówili mu słodkie „do widzenia.“

Jeżeli gdzie, to w tem miejscu opowiadania jestem najbardziej zakłopotany dla braku materyałów i pewniejszych podań o podróży wschodniej Rzewuskiego. Znamci wprawdzie siła o tem legend i anegdot, atoli wysuwać ich naprzód nie śmiem, dla braku krytyczności w tej mierze, albowiem Rzewuski przeszedł w pieśń, myt i nakoniec w baśń, jak to się dziać zwykło ze wszystkimi ludźmi, przekraczającymi ciasne szranki powszedniego żywota.

Jedni twierdzą, iż pozostawił on pamiętniki i rzetelne notaty ze swoich oryentalnych przygód (*); drudzy barwią cały ten okres jego życia wymysłem poezyi — tak, iż rozstrzelone na wsze strony promienie wyobraźni trudno jest skupić w jedno prawdziwe ognisko.

O! gdyby to młodość umiała słuchać, a starość pamiętać była zdolną, mniej-by rzeczy ginęło we mgle zapomnienia! Pamiętam jak dziś, kiedy we wczesnej bardzo młodości mojej, dziwy podróży wschodniej, z ust samego Rzewuskiego wychodzące, na długie godziny mnie, ruchliwe chłopię, przykuwały do jednego miejsca. Dziwny on bowiem dar opowiadania posiadał: głos jego dźwięczny, pełny zapału, poetyczne obrazowania, zda się, brzmią ży-

(*) W trakcie pisania nieznaną mi była zacytowana wyżej książka Siemińskiego.

wo w pamięci;—a zaprawdę, młodzi i starzy zasłuchiwali się w tej pełnej uroku mowie.

Z całej tedy podróży wschodniej Rzewuskiego podam tylko, co jest, zdaniem mojem, prawdą rzetelną, a najprzód uważam za konieczne sprostować błędne mniemanie niektórych, jakoby się on jedynie przez zbytek i marnotrawstwo wsławił i zaszczytów dostąpił. Jako żywo wszystko zdobył męztwem i krwią własną; jakkolwiek bez wątpienia, i wspaniałość a hojność, wrodzone mu, przyczynić się do tego mogły.

Rozpoczął podróż po Grecyi i Turcyi, szlakiem wytkniętym przez Byrona, jako turysta i poeta. Ślady tej podróży zostawił w opisie Palmiry i w korrespondencyach w Dzienn. Wileńskim; atoli najwięcej przedstawia zajęcia podróż jego do Egiptu, która dała poznać bliżej tę oryginalną rycerską naturę.

Przybywszy tam, Rzewuski trafił na wojowniczy peryod sławnego Mehmeda-Ali, kiedy ten krwawą walkę z niesfornem pokoleniem Mohabitów prowadził. Zaciągnąwszy się do jego szeregów, jako prosty ochotnik, męztwem i odwagą zdobył sobie w kilkunastu znaczniejszych potyczkach tytuł mirzy i dowództwo większego oddziału.

Wiedzieć należy, że pierwszy Mehmed-Ali, zwalczywszy przesądy islamizmu, od swoich cudzoziemskich wojowników nie wymagał turczenia się, a nie bacząc na plemienność i pochodzenie, męztwo hojnie wynagradzał; ztąd w szeregach swoich posiadał wielu Europejczyków: Anglików, Francuzów i t. d.; i nimi to przeważnie wojował, a sławę zdobywał.

Dalsze odznaczenia i dowody męztwa nowego mirzy ściągnęły nań nowe zaszczyty. Nakoniec ciężka rana,

otrzymana w nogę (która mu do końca życia dolegała), zmusiła go na czas jakiś opuścić bitne szeregi.

Wtedy w nagrodę zasług i waleczności otrzymał tytuł *Emira Al-Omrach* (*). Zaszczyt to wielki u muzułmanów, gdyż tak się tylko tytułują potomkowie dawnych kalifów, wywodzący ród swój od Proroka, i przydano mu nazwę *Tadż-El-Faher*, co znaczy „wawrzyn sławy.“ Przy tych godnościach zamianowanym został rządzcą, czyli emirem Bagdadu i Alepu, na miejscę świeżo zmarłego poprzednika.

Dowód tedy najoczywistszy, iż Rzewuski onych tytułów a dostojeństw wschodnich nie zdobył pieniędzmi i rozrzutnością, jak niektórzy mniemają, ale ceną odwagi i krwi własnej.

Wtedy już, gdy w skutek rany musiał wojaczkę porzucić i na nowem emirowstwie w Bagdadzie osiadł, roztoczył zbytek, będący w jego naturze, a wspaniałość magnacką, nacechowaną rozkoszami bujnego Wschodu.

Dźwignął z ruiny sławne pałace możnych kalifów Harun-Al-Raszyda i Abdallah-al-Mamuna, tak zwane *Dar-al-Salam* (przybytek pokoju), a w nich z niesłychanym przepychem rezydencyą założył. Otoczył się uczonymi imanami, stając się, jak owi sławni poprzednicy, orędownikiem kunsztów i nauk. Na dworze Emira Tadż-El-Faher gromadzili się swoi i obcy uczeni: artyści, poeci, słowem wszystko co było znakomitszego.

To tylko smutna, że na owę wspaniałość poszły liczne setki tysięcy, a w nich z dziesiątek pięknych wiosek poberezkich utonęło. Podczas, kiedy zadziwiał Wschód

(*) Patrz dodatek *G*.

przepychem, matka hetmanowa suszyła głowę, jak wszystkiemu podołać.

Wszakże lat zaledwie parę trwała owa pokojowa exystencya emira—albowiem była to natura niestworzona do zagrzania miejsca.

Zaledwie jako tako podleczył ciężką ranę, gdy zasłyszawszy o nowym wojowniku, przybranym synu sławnego Mehmeda-Ali, Ibrahimie-baszy, który z innem niepokornem pokoleniem Mohabitów krwawą walkę poczynał—do jego szeregów pospieszył (*).

Na ten raz wszakże niedługą była jego wyprawa, ponieważ odnowiona rana zmusiła go wrócić do Bagdadu, na dawne stanowisko emira.

Ale i tu lekarze europejscy jęli mu zalecać powrót do domu, utrzymując, że dopiero powietrze rodzinne północy będzie skutecznem na niezgojoną ranę.

Tak się tedy skończyła oryentalna wyprawa emira, który, lubo zamierzał na swój ulubiony Wschód powrócić, i tam nazawsze się osiedlić, lecz inaczej losy zrządziły.

(*) Patrz dodatek *G*.

XVII.

W niedokładnym, na jaki mej pamięci stało, opisie oryentalnej peregrynacyi emira, z podań złożonym, niepodobna mi było ogarnąć w całej doniosłości owego miotania się ognistego i żywego ducha, które, w pełni szczegółów rozwinięte, niezawodnie na całą-by epopeję starczyło (*). Jam w powiadaniu był oględnym; wolałem niedopowiedzieć, niźli w błąd czytelników wprowadzić, i z tego jeszcze, co się podało, szczęśliw będę, jeśli ktoś rzeczy świadomszy, sprostuje mnie, a poprawi; mojem bowiem zadaniem jest dowieść, iż Rzewuski, chociaż zmarnował bez celu wiele darów natury i zdolności niepospolite, jednak nie był prostym dziwakiem i magnatem rozrzucającym jeno dary fortuny. Tkwił bowiem w tej istocie pewny zasób obfity poezyi życia i rycerskiego ducha, brakło im tylko do rozwoju szerszej areny...

Z licznym wschodnim taborem, z całem stadem rasowych koni wrócił tedy emir do kraju. Sawrań obrał za rezydencyą prawdopodobnie dla tego, iż miej-

(*) Patrz dodatek *F.*

scowość ta stepowa, oblana rzekami, obfita w wypasy, przypominając mu Szczęśliwą Arabię, do hodowli koni najlepiej się nadawała.

Miasto Sawrań leży w pięknej równinie, i chociaż dokoła otoczone stepami, posiada wewnątrz wiele sadów i ogrodów;—wogóle pozycya miła i powabna dla oka, lubo górzystych widoków pozbawiona.

Od razu wprawdzie obrał dwa miejsca na własną rezydencyą, jedno w dobrach Starokonstantynowskich w Kuźminie, w pięknej miejscowości, gdzie już umieścił cenniejsze stadniki w pysznych stajniach, przez się pobudowanych (*); młoda zaś generacya źrebiąt chowała się na bujniejszych Sawrańskich stepach. Sam właściciel z karawaną przelatywał sześćdziesięciomilową przestrzeń od jednego stada do drugiego.

Wszakże smutne następstwa onego wschodniego bohaterstwa niedługo na siebie czekać dały, i letargiczne dotąd zaufanie kredytorów, ogromem fortuny wywołane, nagłem przerwało się rozbudzeniem a najwpierw w dobrach Wołyńskich, na których znaczniejsze długi ciążyły.

Prawda, że pani Hetmanowa matka, zwana *jurem w spodnicy*, zręcznie ten kłębek kredytorski motała. Miała to być niepospolita głowa, jak powiadano, do stroju i do łoju; ciągle przesiadując w pierwszych stolicach świata, z Paryża, lub Wiednia, prowadziła prawne interessa, sama w sprawach przysyłała pozwy, repozwy, repliki etc., które dla zawołanych jurystów za wzór prawnego stylu służyć mogły. Atoli z drugiej strony nie zapominała hetmańskiej dawnej spezy i oszczędnością się nie odznaczała.

(*) Dotąd pozostały ślady tych pysznych budynków.

Zaprawdę, że przez takie dwie otwarte szluzy zbytku i rozrzutności całe morze bogactw wypłynąć-by mogło. Na widok zasilenia i tak już zbytkownej stajni Emira, przez sprowadzony cały kosztowny tabun z Arabii (*), zaburzyli się kredytorowie i dobra Starokonstantynowskie oblegli. Pani Hetmanowa bawiła naówczas za granicą, bronić się więc komu nie było. Urzędnicy sekwestracyjni najprzód uderzyli na Kuźmin, gdzie rzecz najkosztowniejsza, owe konie arabskie znajdowały się; wyprowadzono je tedy do spisania protokolarnego inwentarza; żydki liweranci z Berdyczowa i Starego Konstantynowa już zawczasu zęby na tę zdoaycz ostrzyli.

Sam Rzewuski był zanadto dumny i godny, aby opór władzy stawić w tej mierze; atoli szepnął swoim kozakom i beduinom, lub może oni sami wpadli na ten pomysł, że kiedy całe stado było już na podwórzu, mastalerz, trzymający uzdę pierwszego stadnika, puścił mu cugle, niby przypadkiem; a gdy inne konie rwać się za nim zaczęły, inni stajenni zmuszeni byli iść za przykładem pierwszego, kilku zaś, niby dla dognania rozbiegłego stada, na grzbiety rączszych koni wskoczywszy, za zbiegami popędzili, i w ten niewinny sposób stado całe oparło się aż w Sawraniu, o mil sześćdziesiąt, gdzie jeszcze sekwestr nie był rozciągnięty.

Opowiadający mi tę scenę, już po latach kilkunastu,

(*) „Emir wyprowadził z Nedżu (mówi Siemieński) 137 sztuk koni a w tej liczbie 33 klacze. Znalazłem spis imienny wszystkich tych czworonogów, dostarczonych Katarzynie Pawłównie, królowej Wirtemberskiej, Cesarzowi Alexandrowi, wielkiemu wezyrowi Derwiszowi paszy, i tych, które zatrzymał dla siebie: dla pierwszej sprowadził 13 klaczy i 12 ogierów, dla drugiego 3 klacze i 5 ogierów, dla trzeciego 12 ogierów — sobie zostawił 18 klaczy i 54 ogiery (!!)...—Powszechnie ceniono konie przez Rzewuskiego dla siebie sprowadzone na 2 miliony złp.

jeszcze upadał ze śmiechu,—tak-to miała być zabawną konsternacya wszystkich urzędników i gorliwość żydów, puszczających się w pogoń za stadem; a jeden z nich omal życiem szlaahetnego zapału nie opłacił. Sam Emir, udając obojętnego na tę katastrofę, nagabającym go śmiało odpowiadał:

— Znałem w pewnem pokoleniu Beduinów pewnego ogiera, który jeden mógłby to stado dogonić, ale tego za żadneby pieniądze nie sprzedano.

* * *

Miałem prawdziwe szczęście we wczesnej swej młodości tego pięknego męża oglądać, a było to na lat parę przed jego tajemniczą śmiercią. Jakbym dziś miał przed oczyma wyniosłą postać Emira: był to mężczyzna lat czterdziestu przeszło, więcej niż średniego wzrostu, z dużą, jasno-blond brodą, twarzy miłej i uprzejmej, pomimo jakiegoś tęsknego smutku na niej rozlanego (*); żwawy w ruchach i ciągle je zmieniający, z wyjątkiem, kiedy ze wschodnią bezczynnością trawił nieraz całe godziny na rozmyślaniu przy dymiącym *kalianie*, siedząc na nizkiej sofie z podgiętemi po turecku nogami. Strój jego codzienny składał się z szerokiego białego burnusa, z lekkiej tkanki wełnianej, którym w razie potrzeby mógł razy kilka całe ciało owinąć; głowę pokrywał turban lekki, biały, u spodu, przy czole zielonemi festonami zakończo-

(*) Tak z oblicza jako i postawy Emir był bardzo podobnym do portretu swojego dziadka, Wacława Rzewuskiego, hetmana w. k., który pomiędzy kilku rodzinnemi wizerunkami w Sawraniu znajdował się. Wiadomo, że hetman po powrocie z wygnania do śmierci nosił długą brodę, co jeszcze to podobieństwo zwiększało.

ny (co było znakiem godności emirowskiej). Rękę po łokieć miał okręconą paciorkami najczęściej bursztynowemi, któremi podczas bezczynności jakby różańcem przerzucał, to powolnie, to szybko, stosownie do tego, jak się w tej pałającej głowie myśli burzyły.

Ażeby bliżej poznać Emira, opiszę rezydencyą jego w Sawraniu. Na rozległej a malowniczej równinie, zewsząd otoczonej staremi drzewami, krył się dom długi, parterowy, w kształcie dawnego dworku szlacheckiego, z sakramentalnym o czterech słupach ganeczkiem,—snadź dawne skromne gniazdko szlacheckie przez przybudówki dorastało rozmiarów dworu pańskiego. Nie dopytałbyś się tam żadnej szkoły architektonicznej, korynckich fryzów, jońskich kapiteli i t. p.; wszelakoż ludzie tam mieszkiwali i działo im się niezgorzej, a tyle się pokoleń wyhodowało!

Jeżeli powierzchowność sporego, acz skromnego domu nie uderzała wspaniałością i przepychem, za to stajnie świeżo wzniesione odznaczały się tak zewnętrznem, jak również i wewnętrznem starannem urządzeniem, wygodą i zbytkiem wszelakim, jakiego tylko swoim ulubionym dzieciom pustyni Emir mógł dostarczyć. W rzeczy samej bowiem stajnie były prawie stałem mieszkaniem pana, który się nie rad ze swojemi końmi rozłączał.

Lecz jeżeli co mogło zwrócić i zastanowić najwybredniejszą uwagę, to ogrody Sawrańskie, na wzór Bagdadzkich pałaców *Daral-Salam* urządzone. Najprzód dla przechowania roślin stref gorących wzniesiono ogromne cieplarnie, gdzie drzewa niezmiernej wysokości zimowały.

A trudno coś wspanialszego i piękniejszego sobie wyobrazić nad widok onych roślin, kiedy je latem pod otwartem niebem powystawiano: na rozległych stepowych

obszarach miałeś naówczas całe lasy cedrów Libanu, palm wysmukłych, cyprysów, i przeróżnych plant exotycznych, których, jako nieświadomy tej rzeczy, wyliczyć nie potrafię.

A indziej znów bujna fantazya, zamieniwszy szmat ziemi w wydmę piasczystą, utworzyła na niej najpiękniejszą oazę, otoczoną cieniem drzew szerokolistnych i odświeżoną żywej wody strumieniem; dalej łąki najrozmaitszem kwieciem ubarwione... i czego tam nie było!

Wprawdzie ten przepych wcale nieodpowiednio wyglądał przy dworku, arcy-skromnym na zewnątrz; lecz za to jego wnętrze przedstawiało różnobarwną mozajkę, na jaką dzisiejsza symetrya zdobyć się nie potrafi.

Mówcie bowiem, co chcecie, ale ja zawsze twierdzę, iż w najmniejszym sprzęciku, niemal w odłamku cegły, garstce piasku, pewnej odrębnej cechy czasu właściwego można się dopatrzyć. Komu się jeszcze widzieć zdarzało stare dwory zeszłego wieku, ten niezawodnie dojrzał w nich charakteru dziwnie sprzecznego ich właścicieli, u których duma przebijała się przez przybraną pokorę, miłość braterska przez chęć wywyższenia się, równość przez zbytnie mniemanie o własnej wyższości; kiedy w jednej i tej samej piersi wiele cnót najwznioślejszych z najpoziomszemi krzyżowało się wadami.

Ztąd-to i w dworach ich nie bywało onej symetryi, wziętej pod linią, do jakiej nasze oko przywykło; a jak w sercu ich wszystko się społem mieszało, tak i w domach znajdowałeś zbytek obok skromności, przepych w parze z prostotą: obok złota i drogich sprzętów, cynę z czerepami; przy arcydziełach mistrzów — bohomaz częstochowski; rzęd bogaty turecki obok prostej kulbaki; karabellę, oprawną w drogie kamienie, obok żołdackiego

miecza; drelich przy złotogłowiu; ściany wapnem bielone, zbratane z adamaszkowem obiciem; — słowem, pstra mozaika, o jakiej dziś zamarzyć trudno — a na wszystko jakoś miejsca starczyło!

Po tem, co się rzekło, nie będę wam opisywał domu Rzewuskiego, był bowiem jednym z tych, dziś do rzadkości policzonych, a bodaj, niestety, w rubryce zatracenia zapisanych. Miałeś i tam tysiące krzyżujących się zabytków takiej i owakiej przeszłości. Lecz jeżeli co tchnęło prawdziwą oryginalnością, to inna część domu, będąca *już Emira* mieszkaniem, a na wzór wschodni urządzona. Było tam komnat kilka, a z nich najbardziej utkwiła mi w pamięci jedna obszerna, z obiciem ponsowem w złote gwiazdy; dokoła pod ścianami znajdowały się sofy nizkie, tureckie, takąż materyą złoconą pokryte. Ile tam było siedzeń, przy każdem z nich był bogaty *kalian*, cybuch osobnego kształtu, przechodzący przez wodę, a przy nim duża fajka, złotem i drogiemi kamieniami sadzona.

Za temi bogatemi izbami następowały łaźnie wschodnie, całe z przednich marmurów w przeróżnych arabeskach i hieroglifach, to złocone, to rozmaitem bogactwem zdobne. Dalej—o dziwo!... w domu chrześciańskim byłby i meczet, gdyby ks. Komarnicki, proboszcz miejscowy, powagą swoją nie postawił krzyża na półksiężycu i świątyni proroka nie przerobił na piękną domową kaplicę.

Wiedzieć bowiem należy, iż przez dziwną sprzeczność, dawnym ludziom tylko właściwą, Emir, pomimo tych popędów oryentalnych, był gorliwym katolikiem, wszelkich praktyk wiary ojców ściśle przestrzegającym; dziwnie on to jakoś godził z mniemanem wyznaniem alkoranu, obserwując jego ablucye, ramazany, bajramy i t. p.

Juz to Rzewuski miał pewny popęd do ascetyzmu i chętnie lgnął do wszelakiej religijnej surowości: wszelkie posty, tak katolickie, jako muzułmańskie, rad ściśle zachowywał, dodając coś do nich z własnej imaginacyi i różnym umartwieniom ciała chętnie się poddawał.

Prócz tych dwóch obserwowanych wyznań, i trzecie sobie z czasem przyswajał: jedna z wiosek klucza Sawrańskiego była cała zaludniona osadą *starowierców*, do sekty *mołokanów* należących. Wiadomo, że mołokanie prowadzą życie wstrzemięźliwie, a zachowując częste posty, za jedyny zbytek i rozkosz poczytują mleczne jadło. Polubił tych skromnych osadników Rzewuski, czynsze im darował, u duchownych ich uczył się zasad wiary, szkółki dla nich zakładał, rad z nimi przebywał i byłby został mołokanem, gdyby znowu nie ks. Komarnicki.

Zaprawdę, iż do tej oryginalnej natury nikt lepiej nie mógł się nadać, jak ten proboszcz, czujny, lecz wyrozumiały, który przez mądrą tolerancyą nie dopuścił dziwactwom Emira przekroczyć zgubnej granicy niedowiarstwa. Można powiedzieć, że obaj dobrali się, jak w korcu maku,—bo obaj, przy nauce i niepospolitym rozumie, mieli też wspólne gusta, jako zagorzali myśliwi i amatorowie koni, co wszakże księdzu nie przeszkadzało być gorliwym kapłanem.

Nie będzie to zapewne zbytniem odbieżeniem od rzeczy, gdy pamięci tego mądrego kapłana ustęp jeden poświęcę.

XVIII.

Ksiądz Jan Komarnicki, kanonik katedry Kamienieckiej, dziekan Bałcki, proboszcz Sawrański, był swojego czasu jednym z najdowcipniejszych ludzi i wierszopisem humorystycznym niepospolitym. Pisywał satyry okolicznościowe i wiele bajek i pieśni ludowych w języku małoruskim. Jeździec sławny, myśliwy zawołany, wiele zalet człowieka światowego umiał połączyć z wzorową gorliwością kapłańską. A czy to na siodle, czy na stanowisku myśliwskiem, czy na mównicy, lub w konfessyonale, rozumny i poczciwy ks. Jan wszędzie był na swojem miejscu, wszędzie przodował. W istocie rzecby można, że księdza i Emira los jakby umyślnie stworzył jednego dla drugiego.

Ten ks. Komarnicki słynął swojego czasu z niepospolitego dowcipu, który tak w towarzyskich pogadankach, jak i w okolicznościowych wierszach szeroko wylewał. Sławny jest wiersz jego „Oda do hr. Mieczysława Potockiego z powodu ogrodzenia kościoła w Kopijówce.“ Rzecz tak się miała: ów Potocki, słynący z niezliczonych milionów, ale i nienaśladowanego skąpstwa, zawdzięcza-

jąc proboszczowi w swoim majątku, Kopijówce, ks. Dobrzańskiemu, iż mu tonącemu życie uratował, kościół jego prostym płotem ogrodził. Te były pierwsze próby poetyczne młodego jeszcze naówczas księdza Jana.

Z czasem naśladując swojego przyjaciela a kolegę Emira, Tymka Padurrę, zaczął pisać po małorusku i temu ostatniemu, co do formy przynajmniej, wyrównał. Sławny jest jego wiersz p. t. „*Tworenje sekretara.*" W jednej z ksiąg rossyjskich, traktującej o poezyi małoruskiej, znalazłem o nim chlubną wzmiankę.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć na tem miejscu o przejściu jego z ówczesnym biskupem Kamienieckim, ks. Machwiczem-Mackiewiczem. Biskup-to był wzorowy, jako kapłan, a zwierzchnik dyecezyi surowy, i, jak utrzymywano, w nauce teologicznej wyćwiczony, ale co do wiedzy światowej i wymowy nieco zacofany. Przy jednej z wizyt dyecezyalnych, strofując ks. Jana za pisanie wierszy, ozwał się:

— Powiadam waszeci, że kapłanowi nie przystoi pisać wierszy, osobliwie *po chłopsku;* ja tego tolerować nie mogę i nie będę.

Odpowiedział tedy z pokorą strofowany:

— Ośmielę się zwrócić wysoką uwagę J. W. Pasterza, że mieliśmy nawet biskupów poetów, nie dalej szukać, jak ks. biskup Krasicki.

— Ba! biskupowi w swojej dyecezyi wszystko wolno, ale waszmościom wara! (*).

I na tem się skończyło, że ksiądz poeta razem z muzą poszedł na czas pewny na rekollekcye do Kapucynów Winnickich.

(*) Autentyczne.

Nie weźmie mi za złe czytelnik, że tu przepiszę jednę z udatniejszych prób jego, utworzoną z okazyi sekwestru na majątku Rzewuskiego (*). Jest-to głos jego wiernego towarzysza, Żerebki, niegdyś kozaka, a potem beduina, do swojego pana.

Tę pieśń słyszałem przed kilkunastu laty śpiewaną przez teorbanistę (pono ostatniego!), księcia Romana Sanguszki, Widorta, a syna teorbanisty emirowego. (Podaję z tej pieśni wyjątki).

„O teper, brat'ku Rewucho,
Złydni nam wsim dopeczut',
Teper opustymo ucho
I wirni sia rozteczut'.

Nemajemo swojej chaty,
Teper i charczy nematy,
Ni sukmany na chrebet.
Szczo bidny majem czynyty?
Nemajem z witki prożyty,
Łyboń pidem na szerbet?

Wse własť tobi widyjmały,
Teper ni *cabe* ni *sob*; (*)
Teper my sowsim propały,
Choť poczuchajmosia w łob.

Podumajmo, szczo z nas bude,
Jak skiepkujut sobi lude,
Jak z pjanaho czumaka,
Szczo prohulaw mażu soły,
Taj pustywsia bosy, hoły,
Tańciowaty tropaka.

(*) Patrz dodatek *H.*

(*) *Cabe*, *sob*, nawoływanie ukraińskie na woły, oznacza: *w prawo* i *w lewo*, a w tym sensie i w mowie potocznej często używane.

Nema chliba, nema chaty,
Nema do czoho sia wziaty;
Wże trynadciata zyma,
Jak szlajemoś bez tałanu,
Jak czużomu służym panu,
A hroszy bis dawno ma.

Bat'ku! kołyb deputaty
Taj kommissyi prezes
Chtiły nauki zważaty,
Szczo ty z Arabji prynes;

Tob tebe ne wyhaniały,
I dekretiw ne pysały,
Zmowywszy sia wsi w szesty;
Bo chot' zdatyś na sud babśki,
To nema, jak po arabśki
Administracju westy.
. . . .

Tylki szczo im howoryty,
O arabśkoj mudroti?
Nema z nymy szczo czynyty,
Pomraczemy w temnoti.

Buwże chto z nych w Pałestyni,
Abo w hlibokoj pustyni,
Za piskami... aż tam het!
Hde kaminja bez trawyci,
Hde ani krapli wodyci
I ne roste oczeret? —

Czy koczowały na poli,
Stroiły czerdak, szałasz?
Hulaw kotryj w Anatoli
Na konyku Adabasz?

Czy wyprawlaw swoju ruku,
Brosaw spysu, strelaw z łuku,
Zubamłginp i eżadrżaw?

Obczerkawsia talizmanom,
Do wschid sońcia nad Dywanom,
Szczob w niczym ne poterpaw?
. . . .

Czy buw kotoryj Emirom
Beduińskim w Besarib?
Czy kuryw lulku z wezyrom,
Baczyw Mahometiw hrib?

Czy prowożaw karawanu
Z Mezaribu do Adanu,
Baczyw Dżami, taj Kaab?
Czy mandrowaw czerez speki,
Z pokłonamy do toj Meki,
Hde mołyt'sia wsiak Arab?

Czy chodyw kotryj z zawojom,
Gindżał borodu nosyw?
Buw odit tureckim strojom,
Czy w meczeti hołosyw?

Znaje-l pyśmo w Alkorani?
Sediw z Turkom na dywani,
Czy jiw tureckij szupeń?
Baczyw win seraj sułtańskij,
Abo obrad muzułmańskij?
Spytaj!... a stane jak peń.

Druhych berutsia uczyty,
A sami temni jak nicz;
Może schotiat szcze zrobyty
Z diłami neschodniu ricz?

Szczoby rejestry spysaty
I wsi hroszy im widdaty —
Czy czuwaw ce kto koły?
Szczob krom praci i roboty,
Z didycza zbyraty szczoty,
Jak za koni i woły?

Małyb tobi, bat'ku luby,
Dokuczaty cym pustym,
Potiahaty do rachuby,
Mazat' czernyłom hustym?

Łutsze posidłajmo koni,
Zaberim spisy w dołoni,
Taj machajmo na Epir.
A jak pomre twoja maty,
Tohdi wernem sia do chaty,
I pokażem szczo Emir!..."

Każdy, komu narzecze to nie obce, dostrzeże w tych pełnych humoru wierszach niezaprzeczony poetyczny talent. Dla nieobeznanych z tą mową podajemy poniżej przekład tych wierszy, przez Siemieńskiego dokonany, z niezrównaną dokładnością.

„Ojcze Rewucho! złe czasy dla nas nastały! Twoi wierni, opuściwszy uszy, rozlecą się po świecie. Nie mamy ani swego kąta, ani z czego żyć, ani co włożyć na grzbiet. Cóż począć? chyba pójść na tureckie sorbety!

„Majątek ci odebrano; — człek skrobie się w głowę i nie wie, co tu zrobić ze sobą. A ludzie gotowi śmiać się z nas jak z pijanego czumaka, co przehulawszy mażę soli, chodząc goły i bosy, skacze *tropaka* (taniec ukraiński). Pomyśl-no, ojcze, co począć w tej biedzie. Wszak to już trzynasta zima, jak się tułamy bez celu po obcych ziemiach...

„O gdyby to prezes kommissyi i deputaci chcieli uwzględnić tę mądrość, jaką wyniosłeś z Arabii; to pewnieby cię nie wygnali z domu, a nie wydawali na ciebie wyroku i choć-by zdać się i na babski sąd, to przecież niema lepszej administracyi, jak arabska.

„Czy był który z nich w Palestynie, albo na puszczy

tam, za piaskami, daleko, gdzie ani trawa nie rośnie, ani wody niema, ani oczeretów...

„Czy koczował z nich który pod szałasem, pod namiotem? czy na koniu przeleciał wzdłuż i wszerz Anatolią? Czy rękę wprawił w ciskanie dzidą, w strzelanie z łuku? Czy w zębach kindżał nosił, lub czy się opasał talizmanami, aby mu uroki szkodzić nie mogły?

„Niech się kto z nich pochwali, że był emirem beduińskim, ze palił lulkę z wielkim wezyrem, lub zwiedzał grób Mahometa. Niech się pochwali, że przewodniczył karawanie z Mezaribu do Adany, że oglądał Kaabę, czołem bił w Mekce i modlił się jak Arab.

„Czy który z nich nosił zawój na głowie, kindżał za pasem, długą brodę, ubierał się po turecku, modlił się w meczecie, czytał Alkoran, siadywał z Turkami na dywanie, jadł z nimi groch z kapustą, widział sułtański seraj?— pytaj się ich, a każdy stanie jak pień.

„Chcieliby drugich uczyć rozumu, a sami ciemni, jak noc. Kto wie, może jeszcze gotowi zrobić jaką grubą niedorzeczność, i zechcą, żebyśmy spisywali regestra i oddawali im pieniądze? Tego-by jeszcze brakowało! Z dziedzica ściągać rachunki, jak z konia lub wołu, to za wiele!

„Jeżeli-by, kochany ojcze, mieli ci tak dokuczać i czernić atramentem — to już siodłać konie, chwytać za dzidy i rnszać do Epiru... A jak Bogu ducha odda pani hetmanowa, wrócim do domu i pokażemy, co to znaczy nasz Emir!...“

*
* *

Z Emirem i ks. Komarnickim, dopełniał tej trójki

oryginalnej znakomity poeta Tymko Padurra; dziwak to był przy całym talencie i wielkich zdolnościach, żyjący w jakimś urojonym świecie, który sobie z różnorodnych zlepków przeszłości stworzył; niczego z rzeczywistości nie zdawał się widzieć dokoła siebie, i, jak Emir marzył o Wschodzie, tak ten śnił o kozaczyźnie, mawiał i pisywał po małorusku. Lnbo z Emirem łączyła ich przyjaźń nierozerwana i koleżeństwo, jednakże rozterki pomiędzy nimi nie ustawały: jeden wszystko chciał *turczyć*, a drugi *kozaczyć*; ciągłe ztąd swary i sprzeczki, rozumie się, zawsze dobrą harmonią zakończone, najczęściej z łaski ks. Jana, który dowcipem swoim te dąsy i zatargi starych dzieci umiał w żart obrócić.

XIX.

Życie Emira domowe, a śmiało można powiedzieć stajenne, upływało z wielką jednostajnością; zawsze pomiędzy swojemi końmi w stajni, lub w stodole, nie znał z dalą od nich noclegu, ani słoty, ani zimna nigdy go nie zmusiły do zaniechania tego zwyczaju.

W Sawraniu, pomimo tego trybu życia, gość bywał wielce pożądany; atoli taki tylko, który się nie formalizował, mógł być pewnym najlepszego przyjęcia. Bywały wypadki, że parę dni bawiąc się w miłem towarzystwie ks. Jana i Padurry, gospodarza nie oglądał.

Na Rzewuskiego przypadały bowiem jakieś dziwne *zadumy arabskie*, czy spleen'y angielskie, przez czas których, (a trwały niekiedy i tygodniami), pijąc kawę i paląc lulkę, milczał uparcie, a nawet zwracanej do siebie mowy zdawał się nie słyszeć. Lecz za to innym razem wynagrodziło to gościowi jego miłe i zajmujące towarzystwo. Atoli biada odwiedzającym, którzy natychmiastowego oglądania gospodarza natarczywie domagali się; natenczas Emir stawił się z całą grzecznością dobrze wychowanego człowieka, ale był uroczysty i pochmurny, zrzucał

turban (co było oznaką okropnego humoru), przyjmował natręta według wszelkich wymagań ceremeniału, ale z chłodem widocznym.

Przeciwnie zaś, kiedy gość nie stawał w poprzek zajęciom i fantazyom gospodarza, najmilej mógł czas przepędzić: Emir zasiadał do stołu, a rozochocony, zapominał o swoich wschodnich potrawach, które umyślnie jakiś Arab mu warzył, niekiedy nawet (co wszakże rzadko się wydarzyło) raczył się z miłym gościem zabronionym przez Proroka napojem, a wesołości szczerej i ochocie oddawał się.

Po obiedzie rad gości zabawiał pięknym śpiewem i muzyką; do téj ostatniej używał fortepianu, ale częściéj jakiegoś oryentalnego istrumentu, którego nazwy dzisiaj już nie pomnę, wiem tylko, że przypominał mandolinę, mniejszym nieco od niej będąc; różnił się w tém tylko, że koniec pudła miał nie zaokrąglony, ale równo ucięty i tylko trzy struny posiadał. Wtórował mu zawsze, czyto w pieśniach arabskich, czy małoruskich (bo i te rad śpiewywał), jego teorbanista, Widort, biegły w swoim rodzaju muzyk (*).

Drugim nieodstępnym od boku Emira, był Kozak Żerebka, dzielna osobistość, a zasługująca na wzmiankę. Chłop sawrański, od pierwszej młodości towarzysz Emira nieodstępny, rósł razem z panem i dziwaczał, a odbywając z nim podróże, przybrał język i zwyczaje Wschodu, strój jednak uporczywie odrzucał, i jedno, co gwoli onej oryentalności dodał do kozackiej odzieży, to fez czerwony z dużym niebieskim chwastem, którym zawsze głowę po-

(*) Syn jego, niedawno zmarły, także znakomitym był teorbanistą. Zakończył życie w domu księcia Romana Sanguszki.

krywał. Twarz to była charakterystyczna dawnych Nalewajków i Doroszeńków, postać wzniosła, ruchy żwawe, pomimo starości, wąs zawiesisty, czasem po-nad uszy zawinięty.

Spółzawodniczył on ze swoim panem w ćwiczeniach i zręczności do jazdy wierzchowej, i, w istocie, kiedy zaczęli harcówać, lub szli na wyścigi, było się na co napatrzyć.

Być-by trzeba znawcą niepospolitym, ażeby dokładnie sławne stado Emira opisać,—wszelako i bez konesorstwa można się było zachwycać pięknością jego koni. Dotąd tkwi mi w pamięci Muktar-Tab, źrebak biały, dziwnej urody, nieodstępny towarzysz Emira, z którym on nawet posłanie dzielił. Osiodłany, sam przychodził do swojego pana, a gdy już przy nim się znajdował, kilku najsilniejszym ludziom wziąść-by się nie dał; dopiero na jedno jakieś magiczne słowo Emira, przez wierne źwierzę tylko rozumiane, stawał się powolnym jak dziecko.

Kiedy miał humor po temu, Emir lubiał wspominać o swoich przygodach i podróżach, a wspomnienia te często wypowiadał rytmicznie przy wtórze swojego instrumentu, w kształcie improwizacyi.

Takiem bywało życie domowe Emira. Rad zawsze gościom bez ceremonii poczynającym, tak zwanych wizyt nie oddawał. Każdej wiosny z całem stadem wyruszał na koczowisko. Już tu zupełnie działał po arabsku; rozpinał namioty, rozniecał ognie, a pijał tylko kawę (wogóle odznaczał się Emir wstrzemięźliwością). Każdy rad był tej gościnie, a nawet zwykle pozostawiał jakąś łąkę niekoszoną, ażeby się pięknemu stadu i oryginalnemu dworowi arabskiemu przyglądać.

Wszakże i tu się tak działo, jak z gościną domową: jeżeli gospodarz przy tej okazyi uporczywie w dom swój

zapraszał, Emir zwijał obóz i, dalej wyruszywszy, już tam więcej nie wracał. Lecz jeżeli odwiedziny gospodarza dobrej woli gościa pozostawiono, przybywał, i, gdy mu towarzystwo do smaku przypadło, chętnie gościł dni kilka, osobliwie, gdy na uprzejme niewiasty natrafił. Należało mu tylko zostawić wszelką swobodę, nie zmuszać do ogólnego stołu, warzyć kawę z fusami i poduszki do tureckiego siedzenia przygotować. W ten sposób traktowany, Emir stawał się najmilszym gościem, uprzejmym dla dam, ciekawym opowiadaczem; a gdy się dostał, do fortepianu, byle go tylko o to nie proszono, czarował grą i śpiewem, w których istotnie był mistrzem.

W gościnie strój Emira bywał wyszukany i bogaty: wdziewał kaftan najczęściej biały, a przy większych okazyach—karmazynowy, suto haftowany, na głowę zaś turban zielony, gęsto nawinięty, a po środku zdobny zapinką z ogromnego szmaragdu, dyamentami otoczoną; do tego były rozmaite garnitury paciorek z drogich kamieni, do przerzucania w ręku.

Jeszcze jednem dziwactwem Emira, było nieustanne szukanie zakopanych skarbów. Tym końcem miał posiadać jakieś tajemnicze kabalistyczne arkana arabskie: po zwinięciu każdego koczowiska, (co się zawsze w tajemnicy odbywać zwykło, nikt bowiem nie wiedział, kiedy karawana Emira przybywała, a kiedy ulatniała się), znajdowano doły, w jakieś dziwne zygzaki pokopane. Bez wątpienia, że Emir nie czynił tego z chciwości, był bowiem nie tylko hojnym, ale i rozrzutnym; a jest podanie, iż, gdy na ziemi pewnego szlachcica pieniądze odkopał, te mu w całości wręczył.

I tyle o tym nadzwyczajnym i ze zwykłych obrębów społecznego bytu wysuniętym żywocie męża niepospolite-

go rozumu i znakomitych talentów. Jak cały żywot i cel onego był dziwną zagadką dla spółczesnych, tak i śmierć tajemnicą okryta.

W roku 1831 z pod Daszowa, Emir znikł bez śladu. W kilkanaście dni potem jego koń wierny, *Muktar-Tab*, bez siodła i uzdy, sam, zziajany i smutny, znalazł się w Sawraniu. Emira odtąd żywego nikt nie widział, ani ciała jego nigdy nie odszukano.

O tym tajemniczym końcu są różne wersye: najprzód; iż jeden ze sług Rzewuskiego, dla zdobycia znacznej kwoty, przy nim znajdującej się, zamordował go, a ciało zatopił w niezgruntowanych moczarach pod Sawraniem. Do tego dodają jeszcze, jakoby koń wierny Emira, co się wkrótce po jego stracie na śmierć zatęsknił, smutny i spokojny, ujrzawszy raz tego człowieka, którego o zamordowanie pana podejrzewano; miał go sromotnie pogryźć i zbić kopytami, tak, iż ledwie się ucieczką salwować zdołał.

Inni utrzymują, iż Emir, zmyliwszy pogoń nieprzyjacielską, nakazał koniowi samopas wracać do domu (co, pomimo zmyślności, przypisywanej temu synowi stepu, byłoby trochę nieprawdopodobnem, gdyż w prostej linii Sawrań od Daszowa jest najmniej o mil piętnaście oddalony), a sam szczęśliwie przedostał się przez warty i czaty i dotarł na Wschód swój ulubiony, gdzie jeszcze lat kilkanaście, utajony w prostej kondycyi, przeżył pomiędzy miłymi sobie synami pustyni. Jedno i drugie możliwe; dotąd wszakże, o ile mi wiadomo, śmierć ta była nierozwiązaną zagadką (*).

(*) Patrz dodatek *I*.

Tak żył i umarł syn, wnuk i prawnuk hetmański (*), nad którego kolebką fortuna sypnęła hojnemi dary: bo świetność urodzenia, ogromny majątek, a z czasem rozum, naukę niepospolitą, siłę ciała nadzwyczajną, talent znakomity muzyka i poety—wszystko posiadał; nadto zaś los mu zesłał towarzyszkę życia, o której względy najmożniejsi swojego czasu dobijali się. Atoli (za winy ojców może) zagniewane nieba nie dały potomkom zachować skarbów drogich, tak szczodrze wydzielonych.

Jeszcze mi jedno wyjaśnić pozostało, dla czego poruszyłem starą pamięć i wątłe nici wspomnień dziecinnych na ten kłębek niedosnuty nawinąłem? Oto chciałem dla głębszego badacza rzucić kilka zarysów ówczesnego społeczeństwa i ludzi, lubo przez czas niezbyt od nas dalekich, ale od których rączym krokiem odbiegamy, tak, iż dziś to minione pokolenie jest dla nas *wilkiem żelaznym*— a kto wie, czy dla jutrzejszych mitem się nie stanie?

Owoż przy tych warunkach, według mojego przekonania: *Kto wie, a nie powiada, ten grzeszy!*

Jeszcze raz powtarzam, iż wszelkie sprostowanie błędów, jeżelim je poczynił, przyjmę bez urazy, a z wdzięcznością, byleby się znalazł rzeczy świadomszy, któryby na tę postać, mądrą i natchnioną, jaśniejsze od mojego światło rzucił.

*
* *

O pani Rozalii Rzewuskiej, której przyszłość ze wszech względów, bo co do wdzięków, fortuny, rozumu,

---

(*) Przodkami w prostej linii Wacława Rzewuskiego po mieczu byli: hetmanowie w. k. Stanisław, Mateusz († 1728), Wacław († 1779) i hetman polny Seweryn († 1811).

świetnie zapowiadającą się, dziwactwa małżonka za wcześnie zwichnęły, powiadać nie będę; stała się ona bowiem przez ostatnie kilkadziesiąt lat żywota warszawianką, przeważnie w tem mieście przemieszkując. Mówią, iż pozostawiła pamiętniki;—te bez zaprzeczenia byłyby wielce ciekawe, raz dla czasów i towarzystwa, w których żyła, potem dla zdolności jej pisarskich; — była bowiem niepospolitą belletrystką (w języku francuzkim, niestety! jak wiele spółczesnych jej Polek). Lecz co do samych pamiętników, chce mi się wątpić o ich istnienin; weszło to już bowiem w zwyczaj i modę, iż każdemu na widniejszem stanowisku—tworzenie pamiętników przypisują, a gdyby pani R. je pozostawiła, przypuszczać należy, iż dotąd (we 12 lat po jej śmierci) jużby się ukazać powinny były. Czy nie lepiej by zatem, aby, nie spuszczając się na to, ktoś z bliższych znajomych tej pani jej żywot spisał.

Dodać do tego warto, iż pani R., prócz belletrystyki francuzkiej, zajmowała się polską starożytnością; a ślady tego pozostały w *Pamiętnikach o dawnej Polsce* Niemcewicza, który z wdzięcznością zeznaje, iż mu kilka cennych materyałów z przeszłości dziejowej ta pani własnem dostarczyła staraniem.

KONIEC.

DODATKI.

A. Prócz wymienionych we wstępie materyałów, Siemieński wspomina jeszcze o korrespondencyi Wacława Rzewuskiego z królem i królową wirtembergską, z Lady Esterą Stanhope, tudzież o brulionach listów do oryentalisty Hammera i innych osób; dalej powiada:

„Jest jednak źródło, z którego dałaby się czerpać historya jego przygód, a może całego życia najautentyczniejsza i ściśle dokładna.... Lecz gdzie jest to źródło? wskazać go niepodobna, chociaż w manuskryptach często się powołuje na te własne: „*Memoires secrets sur les affaires d'Orient*“ i inne swojego życia...“

„O ile dorozumiewać się mogę, wyjechał on z misyą na Wschód, mającą na celu działanie przeciw wpływom angielskim, za pomocą tajnych stowarzyszeń, rozgałęzionych od wyższego Egiptu do Benares. Ambasador rosyjski w Stambule, hr. Strogonow, polecał mu założenie Akademii oryentalnej, exploatacyą jakichś kopalni złota i miedzi, i innych pełno projektów, które to *pro memoria* oznaczone są urywanemi wyrazami; plany te miały cały wschód zbudzić do życia....“

Przytoczyłem ten ustęp nie bez celu, — zdaje mi się bowiem, że tych ostatnich dokumentów należałoby szukać w archiwach spraw zagranicznych w Petersburgu, i ktoś wstęp tam mający, powinien by się tem żająć; co dziś łatwiejszem by było, gdyż po tylu latach tajemniczość dyplomatyczna tych materyałów już zapewne

przeminęła. Może komuś, nieznającemu dzieła Siemieńskiego, wpadnie w ręce to pisanie i stanie się powodem zdobycia tego cennego materyalu, — co daj Boże!

B. „W roku 1811 — (data śmierci ojca jego hetmana Rzewuskiego) w Wiedniu (Siemieński str. 9), znajdujemy go przebywającego u siostry swej, hrabiny Jarosławowej Potockiej, dokąd przybył gość dla niego wielce pożądany, a był nim Ramir-pasza, były admirał turecki, który wracał z Petersburga, a bawił 5 dni. Skompromitowany w rewolucyi serajowej, przy wyniesieniu na tron Mahmuda, z polecenia samego sułtana udał się pod opiekę Rossyi, i miał sobie wyznaczone na pobyt miasto Mikołajów nad Bohem. Otóż ten Ramir, bardzo sobje upodobawszy Wacława, jako biegłego w językach wschodnich i pełnego nauki, nalegał nań, aby go w Mikołajowie odwiedził, co też on uczynił.".

To przytaczam, jako dowód biegłej znajomości Wacława w języku i sprawach wschodnich, które, prawdopodobnie, jak moje podanie niesie, studyować począł od wczesnej młodości.

C. Oto, co mówi Siemieński o karyerze wojskowej Wacława: „...Syn, lubo nieobojętny na wielkość i sławę Napoleona, nie sprzeciwiając się woli ojcowskiej, wstąpił w szeregi wojska austryackiego do pułku Kinmajer-huzarów, dosługując się stopni, odznaczył się w bitwie Aspern, jedynej, co stronie do zwycięztw przywykłej dała tryumf wątpliwy..."

D. Przyznaję się, iż może za ozięble i niedokładnie skreśliłem charakter i umysł tego męża, nacechowanego wyższym polotem i zdolnościami; dla skompensowania powtórzę, co o nim powiada Siemieński (str. 4—5):

„Taki człowiek, gdyby go miała Anglja stałby się głośnym w świecie; powoływanoby się na jego powagę, otoczono by go czcią i zaszczytami. W naszem społeczeństwie nie miało to ani znaczenia ani rozgłosu, czego dowodem los jego prac naukowych, które, niewydane, byłyby bez śladu przepadły, gdyby troskliwa ręka pewnego obywatela podolskiego (*), znającego się na ich wartości; nie była ich od zguby uratowała."

Poważę się dodać od siebie: że o brak uznania i czci nie mo-

(*) Czcigodny pan Piotr Moszyński.

żna obwiniać ówczesnego społeczeństwa, które w danym razie umiało Rzewuskiego wyróżnić i na właściwem stanowisku umieścić. Wina to raczej rozstrzelenia ówczesnego towarzystwa i zaszłych wypadków, które nie dozwalały skupiać się i centralizować wybitniejszym jednostkom w naukowe stowarzyszenia i korporacye. Co zaś do ogłoszenia dzieł Rzewuskiego drukiem, należy zwrócić uwagę, w jakim stanie bezczynności znajdowało się nasze wydawnictwo ówczesne: był to czas gdy nie wydawcy szukali autorów, ale vice versa zaś co do dzieł poważniejszych i uczonych, zaledwie starczyły gorliwe starania Uniwersytetu Wileńskiego na zadosyćuczynienie elementarnym wymaganiom. Zresztą i pan Siemieński twierdzi, iż Rzewuski nie wykończal pism swoich do druku; być może, iż ówczesna stagnacya i obojętność wydawnicza ku temu nie zachęcały.

Najwłaściwiej w tem miejscu podać dzieła Wacława Rzewuskiego drukowane, co w tekście opuściłem: „*Mines de l'Orient exploitées par une societé d'amateurs sous les auspices de M. le conte Vinceslas Rzewuski.*“ (Wiedeń, 1809, 3 tomy, edycya zbytkowna, nakład autora.) *Lettres à M. M. les collaborateurs de Mines de l'Orient.* (Warszawa, 1817). *Podróż do Palmiry, z zastanowieniem się nad wiatrem, Samieli zwanym, w pustyni tej panującym.* (Dziennik Wileński, 1821.)

Był także czynnym spółpracownikiem niemieckiego czasopisma *Fundgruben*, które i pieniężnie zasilał.

Jako kompozytor muzyczny, miał Rzewuski sławę swojego czasu; jego melodye kraj obiegały, były wielce cenione i wzięte. Komplet ich, o ile mi wiadomo, znajdował się u ś. p. Kazimierza Lubomirskiego, znanego muzyka, który o wydaniu ich zamyślał — szkoda, gdyby zginęły!

E. „Z niektórych notatek, rzuconych niedbale (Siemieński, str 14), nasuwa się domysł. że między nim a nią, (to jest Wacławem i jego żoną) stanęła jakaś *trzecia istota*, która całą jego duszę zajęła.“

Tę okoliczność, lubo mi znaną, pominąłem; lecz skoro Siemieński o nią potrąca, powiem, iż „tą trzecię istotą była pani J., dama, znana z wdzięków i niepospolitego rozumu, z wyższym talentem muzycznym, które to zalety dochowała do śmierci (zm. 1847 r.). Trwał ich stosunek miłośny łat kikanaście, dopóki J. nie rozwiodła

się z mężem, przypuszczając, że i on pójdzie w jej ślady; lecz krok ten tak rozdrażnił Emira, że odtąd juz jej nie widywał.“.

Była jeszcze inna „trzecia istota“, prosta dziewczyna z Kuźmina, dóbr Konstantynowskich; ta pono najdłużej zajmowała jego serce, towarzysząc zawsze w męzkim stroju w koczowicznem życiu Emira po kraju, sławnie bowiem jeździła i znała się na koniach. Umarła w skutek upadku z dzikiego konia. Czy nie będzie to ta sama Oxana, na cześć której złożył Emir poemat? (cytuje go Siemieński).

Nakoniec jedna jeszcze „trzecia istota“, która zgon jego czyli zginienie, o kilka dni przeżywszy, z rozpaczy umarła, — była to niejako pani O., żona zamożnego obywatela.

F. Oto są słowa mojego textu, przy zakończeniu opowiadania o podrózy wschodniej Emira:

„...Jam w opowiadaniu był oględnym, wolałem nie dopowiedzieć, niźli w błąd wprowadzić, i z tego jeszcze, co się podało, szczęśliw będę, jeśli ktoś, rzeczy świadomszy, sprostuje mnie i poprawi ..”

Owóż na tego poprawiacza nie długo czekałem, bo była nim wymieniona księga Siemieńskiego, którą odczytawszy, zrazu chciałem według niej podróż tę podać; atoli gdybym tego, stosownie do chęci, dopełnił, musiałbym całą sporą księgę chyba przedrukować; swojemi bowiem słowami streszczać to, co S. obrobił z rękopismu samego podróżnika, i za swoje podawać, byłoby to plagiatem. Dla tego wolałem trzymać się mojej wersyi, jaka jest, ale spisana ze słów ks. Komarnickiego, który ją słyszał od jednego ze sług Emira, towarzyszącego mu w tej podróży. Zatem, co ja napisałem, będzie zaiste wyglądać kuso, jak każda tradycya wobec poważnego materyału; a jednak przydać się komuś może dla krytycznege zestawienia, lub wyświecenia jakiego faktu, niedopowiedzianego przez samego autora-podróżnika. Dla tych-to powodów miłość własną poświęcając, i tego rozdziału nie przerabiam.

Nareszcie i Siemieński, przepisujący z notat samego podróżnika, mając to tylko pod ręką, co mu się podobało na widownią wystawić, lub czem chciał błysnąć, bohaterstwo swoje pódnieść, albo się miłosną awanturką pochwalić, nie może dotrzeć do zbadania celu i tajemnych zamiarów podróży; bo ile razy z czemś wyraźniej·

szem wymówi się, natychmiast powołuje się na one *Mémoires secrets sur les affaires d'Orient*, dotąd nie odszukane.

A więc z tego, co Siemieński powiada (str. 17): „W ogóle nic on (Wacław) nie mówi, zkąd się wybrał w tę podróż, ani w którym roku, ani którędy jechał. Przelotne napomknienia pozwalają się domyślać, że spodróżował wprzód Turcyę europejską, bawił dłuższy czas w Stambule... W papierach pozostałych po Rzewuskim nie trudno o bardzo szczegółowe napomknięcia, tyczące się nie tylko jego osoby, lecz i tajemniczych myśli i uczuć; jednak niema w nich historycznego porządku i tej nici jednego ciągu, coby wiązała te *disiecta membra*...“

Ztąd widać, że i S. nie czuje się w swojej relacyi i źródłach mianych pod ręką, na pewnym gruncie. Co dla mnie jest jeszcze jednym powodem do pozostania przy mojej podaniowej relacyi.

G. O tytule *Emira al-Omrah*, który istotnie jest wyróżniającym zaszczytem na Wschodzie, jakby u nas księcia z krwi panującej, Siemieński nie wspomina; snadź, że o tem w notatkach Rzewuskiego nie znalazł, a jednak sam on tytuł ten sobie nadawał; najlepszy dowód, że widziałem list Rzewuskiego, we względzie literackim nic nieznaczący, bo pisany do sąsiada w interesie gospodarskim, ale swoim zwyczajem Emir go podpisał tureckiemi literami, z tłómaczeniem polskiem w nawiasie: *Mirza-Tadż-El-Faher*; *Emir al-Omrah*.“

G. Jeszcze jedna okoliczność mogła-by służyć na poparcie tego tytułu: oto Wacław nie aprehendował linii innej Rzewuskich z Pohrebyszcz, Adama, kasztelana Witebskiego (ojca Henryka znanego w piśmiennictwie), a wróciwszy ze Wschodu szydził z ich tytułu hrabiowskiego, i sam go nie używał; na kopercie, którą oglądałem, zaadresowanej do „Hrabiego Wacława Rzewuskiego“ napisał własną ręką, w guście instrukcyi do posłanego Ukraińca — *Tutki w Sawrani nema grafiw Rewuśkich, tilki je ataman Rewucha załotaja boroda*“ (tak się nazywał od jasnej barwy rudawych włosów,) *a po arabśki Emir al-Omrah*; *grafiw szukaj sobi w Czudnowi, ta Pohrebyszczach*“.

Otóż, pomimo że Siemieński nazywa go inaczej: „*ab del Niszamem*“; ja zachowuję mój waryant, opierając się na podaniach, płynących z dość poważnego źródła. Tę różnicę dwóch wersyi na-

leży złożyć na werwę improwizatorską samego Emira, którą wierny przepisywacz jego notat, Siemieński, niejednokrotnie w wątpliwość sam podaje i krytyczność w czytaniu zaleca.

Lepiej powiem, że to wojowanie Emira pod sztandarami Mehmeda Alego i Ibrahima-baszy (*), a szczególnie pierwszego, pod względem chronologii wydaje mi się wątpliwem; lecz po powrocie Emira do kraju z podróży wschodniej, w tę improwizacyę wierzono, jak w ewangelią i długo po śmierci jego ona się powtarzała. Co do rany na nodze, wiem to od późniejszego jego lekarza, iż na prawej nodze miał szwank jakiś, często mu dolegający.

H. Siemieński powiada (str. 111): „Musiały to być przykre chwile dla tego Farysa, kiedy go swemi paragrafami pętała palestrancka biuralistyka, kładąc rękę na dochody, że może nieraz nie było za co i odziać poczciwych wiernych Kozaków, co ze swoim panem hulali po Arabistanie, ani utrzymać tego ślicznego stada, co było jego dumą i rozkoszą“.

Tu pozwolę sobie zaprzeczyć Siemieńskiemu, który w tej mierze był źle poinformowany: było wprawdzie *krucho*, jak mówią, koło fortuny, lecz nie dochodziło jeszcze do tej ostateczności, żeby nie było czem sług żywić i odziewać, tembardziej, że pani Hetmanowa, chcąc zapewnić spokój swojemu jedynakowi, ewikcyonalną summę swojego posagu na Sawrań przeniosła, a dobra Starokonstantynowskie pod rozbiór oddała; więc do śmierci matki, która go przeżyła, miał byt dostatni zapewniony; po śmierci zaś pani hetmanowej, brak jej rozrzutności znacznie-by interesa poprawił. Bez wątpienia był to wykręt trochę jurystowski, i, ażeby go uszlachetnić, Wacław dobrowolnie zdawał rachunki z administracyi swej wierzycielom.

Co do mieszkania jego w stajni, to więcej pochodziło z fantazyi i zamiłowania do koni, niźli z konieczności. Prawda, że życie Emira w Sawraniu było bardzo wstrzemięźliwe i skromne: za pokarm używał ryżu, lub zastępował go po prostu kaszą jaglaną na wodzie, kawałka baraniny przyprawionej po arabsku; za napój —

(*) W jednej z poezyi, przytoczonej przez Siemieńskiego, sam Rzewuski nadmienia o wyprawie z Ibrahimem, lecz w texście notat o niej nie wspomina.

kawę z fusami; trunków zabronionych przez Proroka nie pijał. Wprawdzie na utrzymanie stada i ono koczownicze życie, przy całej oszczędności, wydawał tyle, iżby się dziesięć rodzin uczciwie tem mogło wyżywić; zawsze atoli, w porównaniu z dawną spezą zwać to nędzą można. Ztąd zapewne i Siemieński doszedł do tej konkluzyi, — wesoły zaś ksiądz Komarnicki skorzystał z okazyi do pieśni lecz w istocie. gdyby im źle bardzo było, przypuszczać należy, że od żartów byłby się wstrzymał.

I. Oto co Siemieński o śmierci, a raczej zaginieniu Emira, powiada (str. 131):

„Różne krążyły podania o jego zniknięciu. Jedni mówili, że uszedł z pogromu i gdzieś przebywa na ukochanym Wschodzie; drudzy, że podczas obławy w okolicznych lasach zabił go chłop, złakomiony widokiem jego trzosa; inni, że zamordował go własny kozak w zemście za odebraną sobie kochankę; nakoniec, że dostawszy się już do granicy Galicyi, udał się do kmiecia z Hawryłowiec pod Żwańcem, aby ten, jako trudniący się przemytnictwem, ułatwił mu przejście granicy.... Na nieszczęście chłop dopatrzył pieniądze u zbiega, zniósł się z żydem ze Żwańca i zamordował starca wśród nocy“. Ostatnią tę wersyę podał autor *Zameczków Podolskich*; i wcale być może, iż podanie miejscowe przechowało ten szczegół o jakimś przekradającym się starcu... atoli Rzewuski nie mógł się liczyć do „starców“ i na takiego nie wyglądał, urodzony w roku 1784, miał w roku 1831 lat 47.“

Podanie zacytowane przez autora *Zameczków* dość jest rozpowszechnionem w tej miejscowości, a przeto zachodzi jeszcze jedna wątpliwość, azali owym „zabitym starcem“ mógł być Rzewuski? który, jeżeli powziął zamiar salwować się ucieczką za granicę z pod Daszowa, prawdopodobnie przeniósłby drogę przez Wołyń, daleko krótszą i bezpieczniejszą, i wolną prawie od kwaterunku wojskowego, nad tę podolską, gdzie właśnie w owym czasie parę korpusów było skoncentrowanych. Już dla tego samego wersya ta mniej jest wiarogodną.

Co zaś do schronienia się Emira na Wschodzie, powiada Siemieński (str. 133): „Znalazł się po nim (Rzewuskim) samozwaniec.... Ciekawy o tem szczegół podaje Maurycy Mann, w swojej *Podróży na Wschód.* Powiada on, że w Egipcie poznał się z mie-

szkającym tam od lat wielu doktorem Hermanowiczem, który w wyprawie do Hadżazu w r. 1840 dowiedział się, że na górze Dżebel-Kerat, o sześć godzin drogi od Mekki, żyje starzec, używający wielkiej powagi między Arabami, że nazywa się Hadajad-bej i że jest Polakiem".

„Zaciekawiło to doktora; dotarł do miejsca i przekonał się, że ów starzec jest rzeczywiście Polakiem; a gdy go o nazwisko pytał, w odpowiedzi usłyszał: „Rzewuski".

„Doktor, który był rodem z Opola w Lubelskiem, znał hr. Wacława, gdy przyjeżdżał tam czasami do swojej żony i dzieci, łatwo mu więc było zrobić porównanie tego, którego widywał dawniej, z tym, którego widział przed sobą. Z porównania wypadła uderzająca rożnica i wzrostu i wieku..."

„Był to samozwaniec, który, korzystając z pięknych wspomnień, jakie Emir między trybutami zostawił, odział się płaszczem jego sławy..."

Z zestawień tedy tych waryantów niech mi wolno będzie trwać przy swojem, że Emir zginął pomiędzy Daszowem a Sawraniem. Za podstawę mojego twierdzenia może i to posłużyć, że już w parę tygodni po potrzebie daszowskiej, szeroko o tem mówiono (*). Jedno jeszcze, co dla rehabilitacyi wiernego kozaka Żerebski przytoczyć powinienem, a co mi wiadomo z pewnego źródła, iż ten Żerebka sam poległ pod Daszowem. Zbrodni zaś nad Rzewuskim dokonał prawdopodobnie jeden z otaczających go kozaków, których miał natenczas przy sobie około trzydziestu. Co zaś do tego, jak głosi poemat pseudonima Romana Szkarłupki, że powodem do zabójstwa była zemsta miłośna za wydartą kochankę, położę to na karb wyobraźni poetycznej, a to tem bardziej, że lat dziesiątek przed śmiercią, Rzewuski był wiernym kochankiem pani O. (o czem wspominam w dodatku pod literą *E.*).

K. Jeszcze raz niech mi się dziwić wolno będzie, że o hr. Rozalii Rzewuskiej, tak niedawno zmarłej, za świeżej pamięci nic nie napisano, a dama to była niepospolitego rozumu i warta wspom-

---

(*) W „Kuryerze Litewskim" z roku 1831, Nr. 75, wspomniano, że według zeznań jeńców wojennych, polegli w tej potrzebie Wacław Rzewuski i Alex. Sobański. (Co do ostatniego wieść była błędną).

nienia; już same jej przygody: okropna śmierć matki i nędza jej dzieciństwa, mogłyby natchnąć pióro powieściopisarza, lub dramaturga; więc to uporczywe milczenie tem jest trudniejsze do pojęcia.

Siemieński we wspomnianem dziele, także zaledwie kilku niewyraźnemi rysami odznacza tę postać, i oto co między innemi o niej powiada:

„...Pamięć morderstwa matki, ginącej pod gilotyną, wilgotne ściany więzienia, w które z nią razem była wtrącona (*), znęcanie się nad niemi tłuszczy ulicznej, obryzganej krwią ofiar, nareszcie sieroctwo i nędza, w jakiej zostawała, nim ją z tego piekła wydobyto: wszystko musiało zostawić niezatarte wrażenia w umyśle i wstręt wszczepić do rewolucyi i do wyobrażeń z nią spowinowaconych“.

„Ci, którzy ją bliżej mogli poznać, oddawali hołd wysokiemu jej rozumowi i rozległej nauce. Co do wyobrażeń i wiary politycznej, siostra jej męża nazywała ją żartobliwie Ludwikiem XIV, a zaś o jednej ujemnej stronie jej charakteru Andrzej Koźmian w pamiętnikach swoich tak mówi:

„Brak serca, który jej zarzucają, zastępuje silnem uczuciem obowiązku. W przyjaźni i stosunkach towarzyskich ściśle przestrzega dopełnienia tego co jest, lub co mniema być obowiązkiem; a choć czuje się różnicę między dowodami przychylności, ofiarami, poświęceniem nawet, do których serce pobudza, a do których rozum jest podnietą; choć miłość serca jest ciepłem słonecznem, które ogrzewa, upładnia, słabemu daje zdrowie i siły; a miłość wyrozumowana jest gorącem pieca ogrzanego, a więc ciepłem, które zimna czuć nie daje; dobrze przecież, że i takie ogrzewa, kiedy słońca śród zimy brakuje...“ (Koźmian).

„Rygorystka w obowiązku, dopełnianego względem drugich i to

(*) Moja wersya, oparta na cytowanych w texście pamiętnikach hr. Choiseuil-Gouffier, różni się w tem, że przed wtrąceniem do więzienia księżnej Lubomirskiej, jej mała córeczka była wzięta przez pewną litościwą kobietę z gminu. Lubo o autorytecie Siemieńskiego nie wątpię, jednak tym razem stoję przy swojem, już to dla powagi naocznego świadka hr. C., potem zaś bacząc na znęcanie się rewolucyonistow francuzkich nad dziećmi arystokratów, przypuszczać można, iż mała dzieweczka, w dostatku i zbytku chowana, z trudnością wyszłaby cało z tej piekielnej kryjówki.

z wdziękiem zniewalającym i pełnym delikatności, zawsze jest niepospolitą kobietą, przynajmniej dla świata... Dla męża tak bujnej myśli, tak szlachetnych porywów i tak czułego serca, jak był Wacław, nie wystarczało to może.... Potrzebował on słońca, a nie sztucznej temperatury kaloryferu. ."

Przytoczyłem tu ten zwięzły, ale dosadny i jędrny rys charakteru żony Wacława, który dla przyszłego jej biografa posłużyć może za wskazówkę.
